MAGAZYN OPINII

Pismo.

STYCZEŃ 2026 | NR 1 (97)

REPORTAŻ

Chirurgia plastyczna *all inclusive*

PORTRET

Jak raper został burmistrzem Nowego Jorku?

WOKÓŁ KSIĄŻEK

Dlaczego pisarze nas oszukują

FELIETON

Nowy cykl Agaty Romaniuk

CENA: **24,99 zł** (W TYM 8% VAT)
ISSN 2544-5022 INDEKS 422258
9 772544 502609 01>

epuasa.pl fc0d95e1fd

MAGAZYN OPINII

Pismo.

STYCZEŃ 2026 | NR 1 (97)

epuasa.pl fc0d95e1fd

FELIETON // OD REDAKCJI

Szukając opowieści

URSZULA KIFER
(ur. 1981), redaktorka naczelna „Pisma. Magazynu Opinii" i prezeska Fundacji Pismo. Pracowała jako dziennikarka i redaktorka m.in. w Wirtualnej Polsce, Gazeta.pl, „Newsweeku" i „Rzeczpospolitej". Przez pięć lat współtworzyła Fundację Reporterów, jako sekretarzyni redakcji i szefowa działu *fact-checkingu*.

Nie wiem, jak Wam, ale mnie 12 ostatnich miesięcy minęło w mgnieniu oka. Nieco ponad rok temu miałam przyjemność przywitać się z Wami w roli redaktorki naczelnej. Od tamtej pory na każdą zasłyszaną historię patrzę jak na potencjalny temat dla „Pisma", a na każdą osobę, która potrafi mądrze i pięknie opowiadać – jak na potencjalnego autora lub potencjalną autorkę. Bo czuję, że w tym skomplikowanym, nieraz dziwacznym i strasznym, a na pewno nieustannie zalewającym nas informacjami świecie wszyscy najbardziej potrzebujemy mądrych i pięknych opowieści. Takich, które nie tylko pomogą nam lepiej zrozumieć rzeczywistość wokół nas, lecz także staną się naszą inspiracją oraz wzbudzą tak potrzebny zachwyt. A jednocześnie będą wiarygodne i tworzone z największą starannością – zarówno w kwestii weryfikacji informacji i dbałości o język, jak i estetyki szaty graficznej.

Od ośmiu lat każdy kupiony przez Was egzemplarz „Pisma", a zwłaszcza każda opłacona prenumerata są dla nas dowodem, że robimy coś potrzebnego. Doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, że wolny czas to dobro deficytowe, chcemy więc, aby ten spędzony na lekturze naszego magazynu był dla Was udaną inwestycją w samych siebie. Jednocześnie zależy nam na tym, żeby „Pismo" było żywym organizmem, ewoluującym w odpowiedzi zarówno na zmieniające się realia, jak i na Wasze czytelnicze potrzeby. Nad tym procesem będę miała przyjemność czuwać już nie tylko jako redaktorka naczelna, lecz także nowa prezeska Fundacji Pismo wydającej miesięcznik, który trzymacie w ręku. Dziękuję za zaufanie mojemu poprzednikowi Piotrowi Nesterowiczowi – założycielowi, byłemu redaktorowi naczelnemu i wieloletniemu wydawcy „Pisma". To wielki zaszczyt i wielka odpowiedzialność.

Razem z całym zespołem mamy wiele planów. W styczniowym numerze z radością witamy debiutującą na naszych łamach felietonistkę Agatę Romaniuk. Z kolei nasza stała autorka Karolina Lewestam rozpoczyna nowy cykl felietonów. Pracujemy też nad tym, żeby kwietniowy, setny numer „Pisma" był okazją do wspólnego świętowania jakościowego dziennikarstwa. A jeśli chcecie dodatkowo docenić to, co robimy, po raz pierwszy w tym roku będziecie mogli nas wesprzeć, przekazując 1,5 procent podatku.

Mam nadzieję, że w 2026 roku uda nam się Was pozytywnie zaskakiwać – a jednocześnie wciąż dawać Wam wszystko to, co sprawia, że po „Pismo" sięgacie: przestrzeń do refleksji, zaspokojenie ciekawości i przyjemność obcowania ze sztuką.

rysunek ANNA GŁĄBICKA

eprasa.pl fc0d95e1fd

MAGAZYN OPINII
Pismo.
STYCZEŃ 2026

PROZA

czy pomożesz mi przetrwać te arizońskie noce | 6
MAŁGORZATA ŻARÓW

POEZJA

******* | 3
MAGDALENA ORLIŃSKA

Pokoje jak przystań | 13
DORTA JAGIĆ

strategia nie/myślenia | 46
URSZULA MORGA

OBRAZ

W KADRZE **Korzenie i gigant** | 4
ARTEM HUMILEVSKYI

FOTOREPORTAŻ **Uczyń mnie piękną** | 30
YUFAN LU

KOMIKS **Saturn** | 66
KAROLINA GRUCA, MICHAŁ ROMAŃSKI

W RAMACH **Ryż z groszkiem** | 82
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA o SONII BOYCE

MINIATURY
WYCINKI W TERMOSIE | GOSIA KONIECZNA

OKŁADKA **Wyjść z twarzą**
PATRYK HARDZIEJ

FELIETON

2 | MYŚLI ZNIKĄD **Ostatni list od K.**
KAROLINA LEWESTAM zapowiada nowy cykl felietonów

94 | **O przejmowaniu kontroli i pułapce niechęci do pesymizmu**
MAGDALENA BIGAJ śle listy z cyfrowego roju

96 | COŚ NA RZECZY **Mała troska**
AGATA ROMANIUK debiutuje w roli naszej felietonistki

APTECZKA

55 | **Co w niej trzyma…**
OTTESSA MOSHFEGH, pyta MATEUSZ ROESLER

REPORTAŻ

14 | **Ciało w budowie**
OKTAWIA KROMER sprawdza cenę pogoni za ideałem urody

74 | **Bezruch**
SYLWIA GUTOWSKA żegna się z kioskami

PORTRET

42 | **Mamdani. Spacerem po władzę**
ASTEAD W. HERNDON rozmawia z nowym burmistrzem Nowego Jorku

STUDIUM

56 | **Kto ma prawo do miasta**
AGATA SKRZYPCZYK zastanawia się, co to znaczy miasto dobre do życia

WOKÓŁ KSIĄŻEK

84 | **Gorzka prawda nie tylko o *Słonych ścieżkach***
PATRYCJA BUKALSKA próbuje zrozumieć, dlaczego pisarze kłamią czytelnikom

Pismo. MAGAZYN OPINII

Pismo. Magazyn Opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezeska zarządu: Urszula Kifer
Członkini zarządu: Inez Jaworska

Redaktorka naczelna: Urszula Kifer **Redaktorki prowadzące:** Katarzyna Kazimierowska (sekretarzowanie redakcji), Magdalena Kicińska, Zuzanna Kowalczyk **Weryfikacja faktów:** Marcin Czajkowski **Felietony:** Magdalena Bigaj, Karolina Lewestam, Agata Romaniuk **Redakcja:** Joanna Dolecka, Sylwia Niemczyk, Magdalena Orlińska, Zofia Sawicka, Ilona Turowska **Korekta:** Tatjana Krajowska-Kukiel, Dorota Śrutowska **Dyrekcja artystyczna:** Karolina Mazurkiewicz **Skład i łamanie:** Marta Juchnowicz-Bierbasz **Wydanie cyfrowe:** Ewa Pluta (wydawczyni) **Menedżerka fundraisingu, marketingu i sprzedaży:** Inez Jaworska **Marketing:** Anna Ostrowska **Media społecznościowe:** Marta Szymczyk **Prenumerata i subskrypcja:** Marcin Lipiec, Łukasz Tofil **Koordynator projektów i współprac:** Mateusz Roesler

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

eprasa.pl fc0d95e1fd

FELIETON // MYŚLI ZNIKĄD

List od K.

—

KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma".

Drodzy Czytelnicy „Pisma"!

Przez kilka ostatnich lat odpowiadałam na Wasze listy. Dzisiaj ta wspaniała przygoda (ależ to jest wyświechtany zwrot! Ale co zrobić, jeśli to naprawdę była wspaniała przygoda?) się kończy.

To dla mnie duża zmiana. Dotąd każdy koniec miesiąca był naznaczony rytuałem: z ekscytacją otwierałam skrzynkę mailową, czytałam wszystkie nowe listy; jeden z nich zawsze wydawał mi się najpilniejszy albo najbliższy temu, co gryzło i mnie. A potem chodziłam z tym listem w głowie, piłam z nim herbatę, robiłam z nim zakupy i wyprawiałam z nim dzieci do szkoły, aż wreszcie słowa zaczynały się schodzić, odpowiedź zaczynała się formować i powstawał tekst, który czytaliście potem w „Piśmie".

Dlaczego *Rozmowy z K.* się kończą? Lepszym pytaniem jest: dlaczego się w ogóle zaczęły? Nie da się ukryć, że za decyzją o rozpoczęciu takiego cyklu musiał stać jakiś rodzaj buty – w końcu komu się wydaje, że może rozumieć czyjeś problemy, komentować je, ba, nawet dawać innym rady? Tu trzeba pewności siebie, jakiejś dezynwoltury; przekonania, że ma się coś do powiedzenia i że potrafi się to powiedzieć w sposób, który coś zmieni albo coś pomoże. Żeby odpisywać na listy, trzeba myśleć o swoich słowach nie jak o bańkach mydlanych unoszących się w powietrzu ku chwilowej uciesze dzieci, ale jak o wrzucanych do wody kamieniach – wolno i zdecydowanie spadających na samo dno. Nie twierdzę bynajmniej, że nie było w tym tego rodzaju *hybris*, ale były też inne rzeczy. Ten cykl rozpoczął się w pandemii, kiedy wszyscy tęskniliśmy za rozmowami; obok buty była w tym pomyśle jakaś straceńczość, jakieś rzucenie się w ludzi, w ich ciemność i jasność zarazem; nadzieja na dotknięcie Innego, na rozmowę i ciepło. I chyba bardziej niż w swój osąd uwierzyłam w swoją empatię.

Ale dzisiaj buta oceny wydaje mi się równie bezzasadna, jak wiara, że potrafię kogoś naprawdę zrozumieć. Do prawdziwego rozumienia potrzebny jest bowiem jakiś rodzaj stabilności. George Lakoff i Mark Johnson, którzy identyfikowali głębokie struktury metaforyczne naszego języka, zauważyli, że o komunikacji myślimy czasem jak o przesyłaniu paczek: jest dwóch interlokutorów i pudełko (słowa). Myśl, znaczenie, przekaz są wkładane w język i wysyłane, a druga osoba rozpakowuje tę paczkę i odbiera przesyłkę. Nie sądzę, żeby to był właściwy opis tego, czym jest komunikacja, ale tu mi się przyda: otóż mam wrażenie, że znajdujemy się w momencie, w którym pocztę kompletnie pogięło. Pudełka mają złe nalepki i udają, że zawierają coś innego. Wpychamy do nich znaczenia, które się w nich nie mieszczą albo w nich giną. Piszemy na nich adresy wybranych osób, a listonosz je gubi, niesie na śmietnik lub wrzuca do skrzynki internetowego tłumu trolli. A co więcej, nawet jaźń, ja, ta osoba, która próbuje pakować i wysłać paczki, też jest niestabilna – w momentach transformacyjnych, a w takim się znajdujemy (ma miejsce transformacja dyskursu, transformacja polityczna, technologiczna, geopolityczna i Bóg jeszcze wie jaka), trudno mi zakładać nie tylko, że nadawca (*ja*) wie, co mówi, lecz także że to samo powiedziałby za chwilę.

Dlatego nowa formuła mojego pismowego felietonu nazywa się „Myśli znikąd". Niektórzy na pewno słusznie zauważą w tej frazie nawiązanie do książki Thomasa Nagela *Widok znikąd*. Nagel próbuje dojść do ładu z paradoksem, jakim jest bycie wolnym umysłem w deterministycznym świecie – może w ogóle nie ma takiego terytorium jak jaźń, ale i tak nam się wydaje, że patrzymy na świat z jej środka. I teraz, zamiast posyłać rady, będę Wam posyłała różne inne myśli. Nadawca jest niepewny, język okazuje się słabym pudełkiem, poczta może szwankować, ale istnieje szansa, że to i owo uda mi się Wam wysłać. I dziś, ze swojego nikąd, cieszę się na to, co niepewne i nowe.

Wszystkie opublikowane na łamach „Pisma" listy i odpowiedzi Karoliny znajdziecie także w wersji audio na stronie: **magazynpismo.pl/idee/rozmowy-z-k**

rysunek ANNA GŁĄBICKA

eprasa.pl fc0d95e1fd

POEZJA

***

MAGDALENA ORLIŃSKA

—

Tkanka historii nieznośnie trwała, nigdy nie zniknie.
Byłaś zbyt mała.
Musiałaś mieścić się w starych narracjach. Powtarzać uległość,
słyszeć, jak matka
zaszczepia lęki. Razem z przodkami.
W lustrze z łazienki
widziałam ciemność i w nią wpadałam
(też mdlałaś Alicjo, gdy byłaś sama?)

MAGDALENA ORLIŃSKA

(ur. 1980), redaktorka (również w „Piśmie"), poetka. W 2007 roku wygrała konkurs im. Haliny Poświatowskiej w kategorii przed debiutem, w 2008 konkurs Praska Przystań Słowa. Publikowała m.in. w „Arteriach" i „Gazecie Wyborczej".

eprasa.pl fc0d95e1fd

W KADRZE

zdjęcie i tekst

ARTEM HUMILEVSKYI

KORZENIE – PODRÓŻ W POSZUKIWANIU TOŻSAMOŚCI
cykl z lat 2022 – (2026)

Po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji zacząłem pracować nad nową serią zatytułowaną *Korzenie*. Wspólne nieszczęście obudziło w Ukraińcach jakiś nieuświadomiony kod – wszyscy, nawet ci mieszkający w najodleglejszych zakątkach świata, poczuli zew swojej ojczyzny, swojej tożsamości i wolności.

Cykl powstał podczas wojny i dotyczy ducha, siły korzeni i więzi między nami. W nowych pracach kontynuuję podróż do odkrywania wewnętrznej jaźni, którą rozpocząłem w poprzedniej serii *Gigant*. W *Korzeniach* zastanawiam się nad nią na innym poziomie, teraz jako częścią społeczności, i szukam nowych skojarzeń tożsamości, które nie będą wynikać wyłącznie z koncepcji narodu. Proponuję nowe obrazy ideologii opartej na fantazji, w których ujawniam podświadome symbole duchowe i pokazuję, jak subtelnie są w nas wplecione.

—

ATAK POWIETRZNY (2022)

Podczas pandemii wszyscy wiedzieliśmy, że najbezpieczniejszym miejscem na ziemi jest nasz dom, ale kiedy wybuchła wojna na pełną skalę, nasze domy stały się śmiertelnymi pułapkami.

Więcej informacji i zdjęć z tegorocznego cyklu na **magazynpismo.pl/w-kadrze**

eprasa.pl fc0d95e1fd

ARTEM HUMILEVSKYI (ur. 1986), fotograf, ekonom, inżynier. Członek szkoły fotografii artystycznej i konceptualnej MYPH. Laureat wielu nagród, m.in.: Global Peace Photo Award 2022, PinchukArtCentre Prize 2022, finalista Rotlicht Festival 2023, Kolga Tbilisi Photo Award 2025, Rovinj Photodays Award 2025. Urodził się w Mikołajowie w Ukrainie.

Mecenasem cyklu „W kadrze" jest **Fotofestiwal – Międzynarodowy Festiwal Fotografii w Łodzi**.

FOTOFESTIWAL
SZTUKA | WSPÓŁPRACA | SPOŁECZNOŚĆ

eprasa.pl fc0d95e1fd

czy pomożesz mi przetrwać te arizońskie noce

tekst MAŁGORZATA ŻARÓW

—

Kiedy po niego przyszli, Wilhelm był akurat w Arizonie, gdzie wywoływał deszcz na pustyni i obserwował niezwykłe światła.

Stanęli we trzech, w płaszczach, wczesnym popołudniem, na schodach pod wejściem do obserwatorium, zdziwieni tym miejscem. Samochód zostawili na drodze i podeszli na wzgórze piechotą, jeśli więc któryś z nich obrócił się za siebie, musiał westchnąć na widok rozciągającego się aż do jeziora lasu i najzieleńszej trawy, jaką można sobie wyobrazić. Musiało wydać mu się przez moment, że znalazł się w pradawnej puszczy, poza którą nic już nie ma, nieskażonej (to bardzo mylne wrażenie) cywilizacją, nie tego spodziewał się po doktorze. Dzień był pogodny.

Zapukali. Nie byliśmy zaskoczeni. Wilhelm przewidział, że przyjdą: oni albo tacy jak oni, w płaszczach, a jeśli będzie za ciepło na płaszcze, to w ciemnych garniturach. Pierwsza będzie jednak rzucała się w oczy ich sztywność, kręgosłupy jak pale wbite w ziemię i twarde brzuchy, stała płytkość ich oddechów. Wszyscy oni albo tacy jak oni na to cierpią. To wielka ironia, że moglibyśmy im z tym pomóc, gdyby tylko nie spiskowali przeciwko nam.

Powiedział też, że nie mamy się czym martwić i w ostateczności prezydent zainterweniuje. (Ale to już naprawdę w ostateczności i najpierw Wilhelm będzie musiał przejść mękę, dramat i próbę charakteru, niezłomnie wystać przy swojej racji, uprzeć się, a się nie wyprzeć, aż dobry ojciec Eisenhower zszybuje siłami powietrznymi i zabierze go do siebie).

Tego dnia, kiedy przyszli, wszystko przebiegło dokładnie tak, jak powiedział Wilhelm:

Stoimy wszyscy w drzwiach, oni wciąż na zewnątrz. Ten w kapeluszu zasłania słońce. Drugi, wysoki i najsztywniejszy, obrócił się bokiem i z rękami za plecami przygląda się kamiennym ścianom obserwatorium, podziwia architekturę. Najmłodszy z nich, który czuje się jeszcze niekomfortowo w roli straszydła w płaszczu i w tej sytuacji, wyjmuje zapisane na maszynie kartki. To jest zakaz (...) przez linie stanowe, nakaz (cośtamcośtam) Agencja Żywności i Leków, podejrzenia, łamania, z datą.

Od czasu Eksperymentu często kręci nam się w głowach i nie słyszymy dobrze.

W trybie, podpisano. Tu jest pieczęć. Chcielibyśmy zobaczyć się z doktorem. (Próbuje się nawet do nas uśmiechnąć, jednak nie starcza mu determinacji i kończy w smutnej połowie).

Wilhelma nie ma. Niepotrzebnie się fatygowaliście, trzeba było najpierw zadzwonić.

Zapada niezręczna cisza, w trakcie której oni starają się porozumieć bez słów co do dalszych kroków, a nam wieje po nogach. Ten w kapeluszu, albo ktoś bardzo podobny do niego, kiedyś już nas odwiedził. Wypytywał Wilhelma o różne rzeczy, a potem dostaliśmy oficjalne pismo. Wiemy, co się stało z wynalazcą spektrochromu, który też był, w pewnym sensie, wizjonerem, i co by nie myśleć o chromoterapii, nie powinno się tak traktować ludzi.

W końcu mówią, że chcą się rozejrzeć. Pytamy za czym, a oni, że chcą zobaczyć akumulatory.

Nie ma problemu, pacjenci korzystają z nich cały czas. Tylko na miejscu, dodajemy, bo ten najwyższy już pomyślał, że przyłapał nas na wyznaniu winy.

A co ze zwrotami?

Stoją w magazynie.

Są wadliwe.

Nie, wszystko z nimi w porządku.

Ale zostały zwrócone?

Wydaje nam się, że udzielamy odpowiedzi na inne pytanie niż zadali, a oni nie zadali pytania, które powinni. Ten w kapeluszu zauważył dziury po kulach w drewnianym szyldzie przy wjeździe na posesję, odnotował to sobie w notesie, ale nie wspomina o tym teraz ani słowem.

Odzywa się głos z głębi domu: kto przyszedł?

FDA po Wilhelma.

Co? FBI?

eprasa.pl fc0d95e1fd

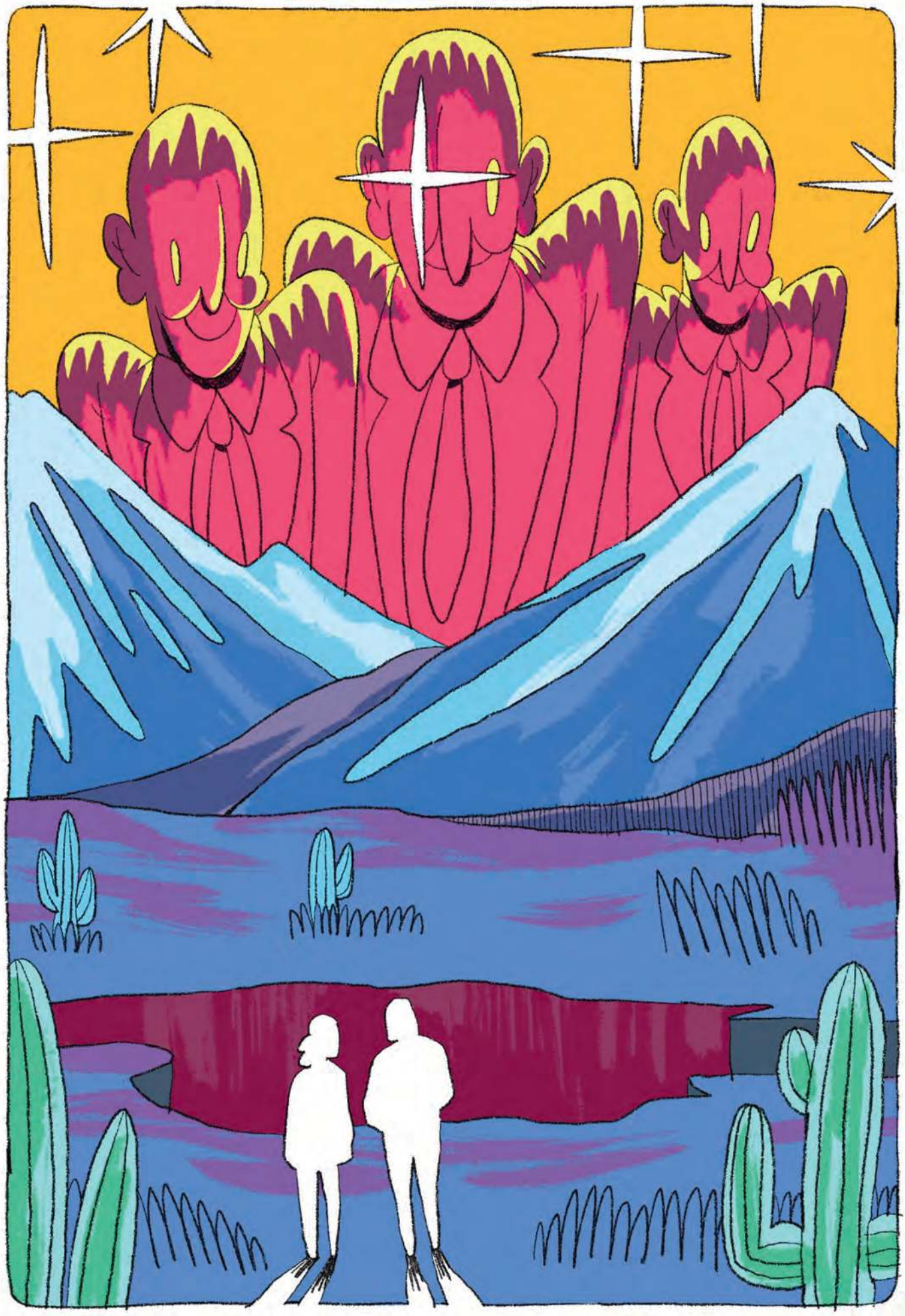

rysunek RAFA JANKO

eprasa.pl fc0d95e1fd

MAŁGORZATA ŻARÓW (ur. 1988), pisarka. Zadebiutowała powieścią *Zaklinanie węży w gorące wieczory*, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Czarne w 2022 roku. Laureatka Nagrody Literackiej GDYNIA. Mieszka w Warszawie.

FDA, odkrzykuje ten najmłodszy, wydobywając z siebie gruby głos, jakby faktycznie był z FBI.

Proszę na nas poczekać, założymy tylko buty, obiecujemy i zatrzaskujemy im drzwi przed nosem.

Chodzimy trochę w kółko, bo chociaż Wilhelm uspokajał nas, że wszystko będzie dobrze, to Wilhelm jest teraz ponad dwa i pół tysiąca mil stąd, a to tylko ciałem. Głową jest jeszcze dalej. Wyżej. O to chodzi, że podczas gdy on patrzy coraz bardziej w niebo, my musimy podejmować decyzje przy samej trawie i uważać na słowa w jego imieniu. Przed wyjazdem Wilhelm schował pistolet w szafce na buty.

Postanawiamy zabrać ich do laboratorium, gdzie stoją jeszcze dwa akumulatory, których nikt nie używa od czasu Eksperymentu. Wychodzimy więc przed dom i pokazujemy na drzewa: tamtędy, chodźmy. Idziemy przodem, ten w kapeluszu tuż za nami, a dwaj pozostali rozpraszają się na ścieżce. Ten najmłodszy ogląda się jeszcze na budynek obserwatorium, jakby spodziewał się dostrzec Wilhelma ukrytego za firanką albo z lornetką na tarasie na dachu. Tymczasem ten najwyższy przystaje przy krzakach borówek. Nie powinien ich jeść, ale nie będziemy przestrzegać agenta żywności, w dodatku na służbie, przed opłakanymi skutkami promieniowania.

Chyba nie połyka.

Zaraz obwieszcza: tu była ruszana ziemia. Pozostali dwaj podchodzą i razem oglądają spulchniony skrawek ziemi za krzakami borówek, ledwo przysypany liśćmi. Zmieściłoby się tam co najwyżej blaszane pudełko z kolorową pokrywką. Coś tu było zakopane. Wyraźnie chcieliby rozgrzebać. Jeden z nich podnosi nawet patyk i dźga miękki grunt: od samego początku dochodzenia nic innego nie robią. Mamy ochotę przynieść im szpadel, żeby zmarnowali czas i uwalali sobie spodnie, ale nauczeni doświadczeniem wiemy, że nawet szpadel może im się wydać podejrzany, nawet w zakopanych skarbach w puszce mogą dostrzec obciążające dowody. Przypominamy im, że ich władza sięga naszych książek i urządzeń, ale nie sięga ziemi. Chodźmy dalej.

Laboratorium jest zamknięte na klucz i nie wchodzimy tam, jeśli nie musimy, ze względu na promieniowanie. Przed drzwiami leży metalowa krata, na której kiedyś opłukiwaliśmy podeszwy przed wejściem i po wyjściu. Zarosła ją trawa, a na samym środku pędy wypuścił biały aster. Staramy się nie nadepnąć na niego, otwierając drzwi. Wpuszczamy agentów przodem. W środku jest dosyć ciemno: budynek ma duże okna, ale jest otoczony drzewami. Podłogę i metalowe stoły pokrywa kurz. Ten najwyższy dotyka oscyloskopu, po czym szybko cofa rękę, rozcierając w palcach lepką warstwę.

Ten najmłodszy zatrzymuje się przed pantostatem, ale nie dotyka. Pyta: co to jest? Ten w kapeluszu rzuca mu karcące spojrzenie.

Stoimy w progu, przed nami rozciąga się powidok po laboratorium. Chociaż następstwa Eksperymentu są przede wszystkim niewidzialne, to poczucie niepowodzenia niemal wisi tu w powietrzu.

A to?

Fluorofotometr.

Wolelibyśmy, żeby żaden z nich nie zainteresował się stojącym w kącie licznikiem Geigera.

W końcu stają przed akumulatorami. Obmacują i opukują ścianki, jakby mogli jeszcze dowiedzieć się czegoś nowego, czego nie dowiedzieli się przez lata dochodzeń, inwestygacji, prób, testów, wywiadów i eksperymentów przeprowadzanych na własną rękę. Tak jakby w ogóle mogli się czegoś dowiedzieć. Wilhelm od początku przewidywał, że zaślepią ich uprzedzenia i żaden agent nie dostrzeże prawdy, choćby prawda sama się do niego łasiła. Nasze badania wymagają odpowiedniej wrażliwości na pewne fenomeny. Osądzać je można jedynie ze środka, mierzyć naszymi metodami.

Pytamy ich, czy sami kiedykolwiek korzystali z akumulatora. Gdyby chcieli, możemy przeprowadzić demonstrację. Ten najwyższy wzrusza ramionami. Wchodzi do akumulatora, ale nie zamyka drzwi. Proszę. Powinienem teraz dostąpić uzdrowienia? Nic nie mówimy. Oni wiedzą równie dobrze jak my, że to tak nie działa: dostali od Wilhelma szczegółowe instrukcje i opis działania. Tymczasem ten w kapeluszu domyka drzwi i w okienku widać tylko wykrzywioną nagle twarz najwyższego agenta. Hej, halo, tu jest ciemno.

Poczekaj, aż zaczniesz się świecić.

Przecież możesz w każdej chwili wyjść, zauważa ten najmłodszy, uchylając drzwi, a najwyższy wytacza się ze środka, hiperwentylując z dłońmi opartymi o kolana. (Boi się ciemności).

Nikomu z nas nie wydaje się to zabawne.

Drewniana rama, po trzy naprzemienne warstwy wełny stalowej i włókna szklanego. Z zewnątrz płyta izolacyjna, od środka stal. Na spodzie dodatkowe warstwy sklejki, żeby umocnić podłogę. Mieści krzesło do siedzenia. W cieplejszych, tropikalnych klimatach Wilhelm zalecałby drzwi z wycięciami na górze i na dole dla lepszej cyrkulacji powietrza; temperatura w akumulatorze jest z reguły podwyższona. Ale mamy tutaj klimat kontynentalny. Okienka w drzwiach akumulatorów są zrobione raczej po to, żeby monitorować proces. Wilhelm uważa, że nie ma nic piękniejszego niż koncentracja życiowej energii żarząca się w ciemności na niebiesko.

No dobrze, mówi ten najwyższy, patrząc na tego w kapeluszu, a ten w kapeluszu kiwa głową. Proszę to wynieść i zniszczyć.

—

TYMCZASEM Wilhelm w Arizonie:

Patrzy w niebo.

Jest niebieskie jak koralik, szkiełko, szklana kulka, coś pomalowanego farbką. Blednie nad horyzontem i nachodzi aurą na widoczne w oddali góry, które też stają się od tego niebieskie i trochę mniej stałe. Nie będzie łatwo tu czerpać i bardzo możliwe, że dotychczasowe eksperymenty nie przygotowały go na zetknięcie z tym klimatem, ale tam, gdzie ktoś inny zobaczyłby szereg przeszkód, Wilhelm dostrzega same szansy.

Patrzy pod nogi.

Po szarobrązowej ziemi pełznie szarobrązowy wąż.

To pierwszy raz, kiedy Wilhelm widzi pustynię i jest inna, niż się spodziewał. Sonora jest żywa i bujna, zarośnięta, szeleści przesmykującym się pomiędzy liśćmi pazurem-ogonem-skrzydłem. Z daleka przypomina co prawda krajobraz po pożarze, przysypany popiołem, ale kiedy Wilhelm staje na zapiaszczonej drodze i rozgląda się dookoła, zapada się w wielości i gęstości, w powikłanej konstelacji kolców, łodyg i kwiatów.

eprasa.pl fc0d95e1fd

Gigantyczne kaktusy celują w niebo. Widzi teraz wyraźnie, że są podobne do jego chmurołamaczy, i ten impuls zrozumienia rozlewa się w nim jak atrament w wodzie, Wilhelm notuje więc szybko: rury chmurołamaczy, ramiona kaktusów, naturalna forma. Potem się zastanowi, co z tego wynika.

Kupić kapelusz, dopisuje po chwili. Nie jest przyzwyczajony do takiego słońca. Boli go rozprażona głowa, drażni pot ściekający po karku. Dobrze, potakuje (chociaż jest sam, ale zdarza mu się prowadzić konwersacje z sobą samym, jedyną osobą, która w pełni go rozumie). Mylił się, zakładając, że pustynia będzie martwa. Jest w procesie umierania, jeszcze żywa, ale śmiercionośna. Gruba warstwa zanieczyszczenia wisi nad nią i dusi, dławi, suszy, wysysa, dezorientuje. Wilhelm ma na to rozwiązanie. Podczas gdy zainfekowane korupcją instytucje pod wpływem działań różnych mącicieli nieznoszących prawdy knują przeciwko niemu, on jest trzy kroki przed nimi. Nie, pięć kroków. Dziesięć. Jest kosmicznym inżynierem. Wszystkie dotychczasowe odkrycia ułożyły się w jeden wyraźny szlak na psychogeograficznej mapie, doprowadzając go tutaj. Dojdzie tu do rzeczy przełomowych.

Na razie myśli, że zmiana scenerii dobrze mu zrobi.

—

JAK GO ZNALEŹĆ? Gdzie go szukać?

Na północ od Tucson, ale tam już trzeba zapytać o drogę. Zatrzymał się na farmie, której nie ma na mapach, jest tam trochę zarośli, a potem długo nic, skały i piach.

Del przyjeżdża nowym pikapem, wzbijając obłoki jak wiry pyłowe, na które mówi się tutaj kurzowe diabły. Del jak prawdziwy książę ciemności objawia się więc otoczony pomniejszymi diabłami, sypiąc piaskiem w oczy.

Jest deweloperem.

Ma interes.

Kiedy widzi Sonorę, myśli: wolna ziemia. Cała ta przestrzeń i nikt nie pali się do zajęcia, bo jest za sucha, trochę za gorąca. Ludzie małej wiary, myśli Del, pozbawieni wyobraźni. Sam określa się raczej jako wizjoner. Gdyby ktoś zapytał, czy jest coś, czego nigdy by nie zrobił, odpowiedź nie przyszłaby mu do głowy od razu. Ani potem. Del nie lubi słowa *nigdy*, nie lubi frazy *nie można*.

Wilhelm łamie chmury od dwóch tygodni. To nie jest łatwe zadanie. Miedziane rury czerpią z wody, a wody brakuje, taka jest ironia manipulowania pogodą na pustyni: liche warunki, potężne zapotrzebowanie. Do tego metody łamania pozostają w fazie eksperymentalnej i Wilhelm nie wie jeszcze, co działa i jak. Czasem robi w chmurach dziury, a czasem zbija je ze sobą w jedną wielką chmurę. Kiedy nie ma chmur, celuje bezpośrednio w horyzont i powoli przeciąga lufy chmurołamacza aż po zenit. Efektów nie widać gołym okiem.

Czasem niebo nabiera koloru błota i wszyscy czują się źle od bomb testowanych w Nevadzie. Opad niesie się z wiatrem aż tutaj. Wilhelm wychodzi wtedy na wzgórze – tęskni za obserwatorium, za tarasem na dachu, gdzie stawał się okiem opatrzności, roztaczał się nad lasem z najwyższego punktu w okolicy, który sobie wybudował; a tutaj musi wspinać się po skałach, skały go onieśmielają – i patrzy jak najdalej, szukając nad horyzontem szczelin, prześwitów w zanieczyszczeniu, znaków, które, kiedy wreszcie zakończy się susza, dadzą się przełożyć na *racjonalne naukowe argumenty*.

Dostrzega smugi, a wieczorem pojawiają się światła. Te fakty wydają mu się ze sobą związane.

Wilhelm łamie chmury od ponad dwóch tygodni, a trzy dni temu spadł deszcz. Del usłyszał dzikie plotki, rozpytał, wsiadł w samochód.

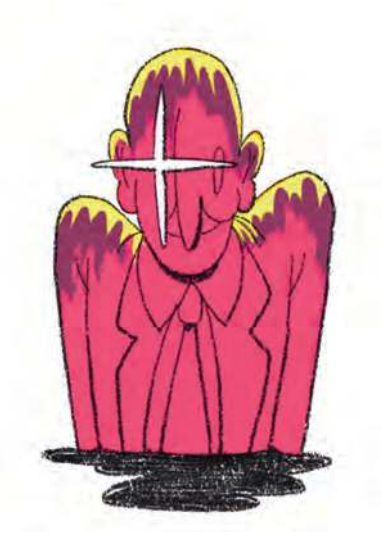

Wilhelm wychodzi w korkowym hełmie jak z safari, przytykając dłoń do ronda. Przystaje w odległości kilku metrów i przygląda się Delowi, jakby mógł w ten sposób zanalizować jego charakter i przynależność partyjną. Del nie wie, że Wilhelm jest specjalistą od tego typu analizy, że kataloguje jego postawę, sposób, w jaki Del trzyma głowę, pozycję jego ramion, rozstaw nóg (szeroki), głębokość oddechu. Jedyne, czego nie może ocenić z daleka, a co najbardziej chciałby poznać, to miękkość jego brzucha. Na to jeszcze będzie pora. Jakie Wilhelm wyciąga wnioski, wie tylko on sam, w każdym razie wita się z Delem, choć powściągliwie.

Dela nie zraża to w najmniejszym stopniu.

On też nie pochodzi z Arizony. Przeniósł się tutaj jakiś czas temu, żeby robić nowe wspaniałe rzeczy, to ich łączy. Ciebie też przyciągnęła pustynia, prawda? Myślę, że możemy pomóc sobie nawzajem. Opowiada Wilhelmowi dużo o sobie. Dużo o wznoszeniu światów i o technologii. A ty przyjechałeś wywołać deszcz?

Po całym tym nieporozumieniu z FDA cierpliwość Wilhelma jest na wyczerpaniu. Do tego jest zmęczony ciągłymi atakami, spiskami, domniemanymi zamachami na życie i na jego życiowy projekt. Nigdy nie twierdził, że tym się zajmuje, nie napisał tego, nie ogłosił, nie sugerował nawet pomiędzy wierszami. Znowu plączą mu się wokół nóg kontrowersje. Przewiduje, że zrozumienie jego odkrycia zajmie ludzkości pięćset lat.

Nie wywołuję deszczu. Przeprowadzam eksperymenty pogodowe.

Brzmi jak żadna różnica.

Naprawiam atmosferę. Deszcz jest tylko naturalnym rezultatem.

Co jest nie tak z atmosferą?

Wilhelm bada go jeszcze raz, z bliska. Del nie wydaje się cierpieć na neurozy, neurastenię, niestrawność ani migreny, a do tego ma strukturę lwa – Wilhelm, w toku swoich badań, scharakteryzował typy całościowych ekspresji ciała i ponazywał je od zwierząt; do lwów miał zawsze słabość.

Zastanawia się, co jeszcze Del o nim słyszał, a mógł słyszeć, że Wilhelm jest szarlatanem, komunistą i nudystą, planuje ekspansję, przeprowadza eksperymenty na

eprasa.pl fc0d95e1fd

dzieciach, produkuje pornografię, prowadzi prace nad bronią atomową, włada huraganami. Tylko w tym ostatnim jest ziarno prawdy. Nic więc dziwnego, że Wilhelm jest ciekaw, co Del widzi, kiedy na niego patrzy, ale Del zapewnia, że słyszał jedynie, że Wilhelm jest naukowcem.

To najlepsza rzecz, jaką mógł powiedzieć. Wilhelmowi robi się nawet ciepło w środku.

Delowi zależy na atmosferze, bo zamierza budować na pustyni i gdyby dało się coś zrobić z tą pogodą, to atrakcyjna lokalizacja stałaby się lokalizacją idealną. A nie ukrywa, że dąży do perfekcji, nic poniżej. Gdyby Wilhelm potrzebował wsparcia, Del chętnie się zaangażuje, zapewni środki, materiały, ludzi, co będzie trzeba. Ta susza, mówi. Trzeba coś zrobić z tą suszą.

Wilhelm nie znosi, kiedy ktoś trwa w błędzie, więc wyjaśnia, że Sonora nie jest atrakcyjna. Cierpi z powodu skażenia. Z jakiegoś powodu gromadzi śmiercionośność, susza jest jedynie objawem, a jego priorytetem jest odkrycie dlaczego. Kosmiczna inżynieria rodzi się na naszych oczach, ale to wczesne, bardzo wczesne stadium. Więc on nie może i nie chce niczego obiecywać.

Nie wie, że obietnice bez pokrycia to język miłości Dela.

Spotkajmy się jutro. Pokażę ci prawdziwą ziemię.

Mam dużo ważnych zadań, mówi Wilhelm, wcale nie grając trudnego do zdobycia, chociaż może trochę, ma mieszane uczucia. Generalnie zachowuje ostrożność. Pierwszy deszcz był dużym osiągnięciem, ale nie chciałby dać się ponieść samozadowoleniu.

(Struktura lwa: zbroja już poluzowana, ale jeszcze ją nosi, co sprawia, że lew jest być może najniebezpieczniejszym z typów; luzowanie rozpoczyna się od bioder, podczas gdy głowa lwa pozostaje usztywniona, uniesienie jej ciężaru wymaga silnego ciała; oddycha wolno, ale wciąż jest bardziej twardy niż miękki; wygląda, jakby mógł cię pożreć, gdyby mu się chciało).

—

SPOTYKAJĄ SIĘ następnego dnia. Jest wczesne popołudnie. Wilhelm zostawia za sobą farmę, żółtą zieleń palo verde, czerwonawy kurz osiadający na butach. Nie zapytał Dela, dokąd jadą, i tak nie zna okolicy, nie rozpoznaje nazw, gór, dolin. Mila za monotonną milą krajobraz się nie zmienia, nad nimi niekończące się niebo, przed nimi droga koloru pustyni, pożerana kołami samochodu, suche krzaki na poboczu. Jak dotąd nie było więcej deszczu. Z drogi widoki są rzeczywiście martwe, a dzisiejsze słońce ma ten błotnisty filtr i Wilhelm zaczyna myśleć o kieszonkowej wersji chmurołamacza na takie okazje. Poza tym szkicuje sobie mapę, bardziej interpretację terenu niż odzwierciedlenie, psychomapę, zapis własnej drogi; wśród rozmaitych dziedzin, jakimi dotychczas się zajmował, nie ma kartografii. Po godzinie pyta Dela, czy jeszcze daleko, a Del uśmiecha się tylko i mówi, że Wilhelm może się zdrzemnąć.

Cała podróż autem zajmuje im prawie trzy godziny, a potem idą jeszcze piechotą. Znajdują się pośrodku niczego. Gdyby Wilhelm zamknął oczy i poobracał się aż do zawrotu głowy, nie wiedziałby już, skąd przyszedł. Nie ma innego wyjścia niż zaufać Delowi, który prowadzi go, dokąd chce, co uwiera Wilhelma przy każdym kroku. Nie pamięta, kiedy ostatnio komuś zaufał. Nie pamięta, kiedy komuś zaufał i dobrze się to skończyło. Nawet najbardziej oddani przyjaciele, uczniowie, sojusznicy w końcu zmieniają front, w najlepszym razie zostają w tyle.

Del idzie przodem, bo dobrze zna to miejsce.

Wyobraź sobie, mówi.

Cała ta przestrzeń. Praktycznie krzyczy, żeby ją zagrabić – jak grządkę – uporządkować, podzielić na idealnie równe parcele, obsadzić palmami. Nie ukrywam, kocham równość. Patrz pod nogi, skorpiony.

Gdybyśmy poczekali do zachodu słońca – widok na tamte skały jest nieziemski. Nie widziałem nic równie pięknego. Tylko tych kaktusów szkoda. Kaktusy trzeba będzie wykopać.

(Wilhelm podnosi kamień. A potem jeszcze jeden. Przygląda się im w zdumieniu.

Kamienie mają ledwo widoczne skazy, zasklepione rany. Blizny po promieniowaniu. Nawet jemu wydaje się to początkowo niedorzeczne, ale im dłużej o tym myśli, tym bardziej składa mu się to w logiczną całość. Gdyby nie wierzył, że pustynia może się uleczyć, jego działania tutaj nie miałyby sensu).

W każdym domu centralna klimatyzacja – z pewnością słyszałeś – klimatyzacja jest przyszłością. Z klimatyzacją zabudujemy każdy skrawek ziemi, tak się wszystkim wydaje, ale gdybyśmy poszli o krok dalej? Klimatyzowalibyśmy całe miasto, sterowalibyśmy pogodą, zapewnialibyśmy optymalną aurę. Nigdy więcej suszy. Czy nie do tego dążysz?

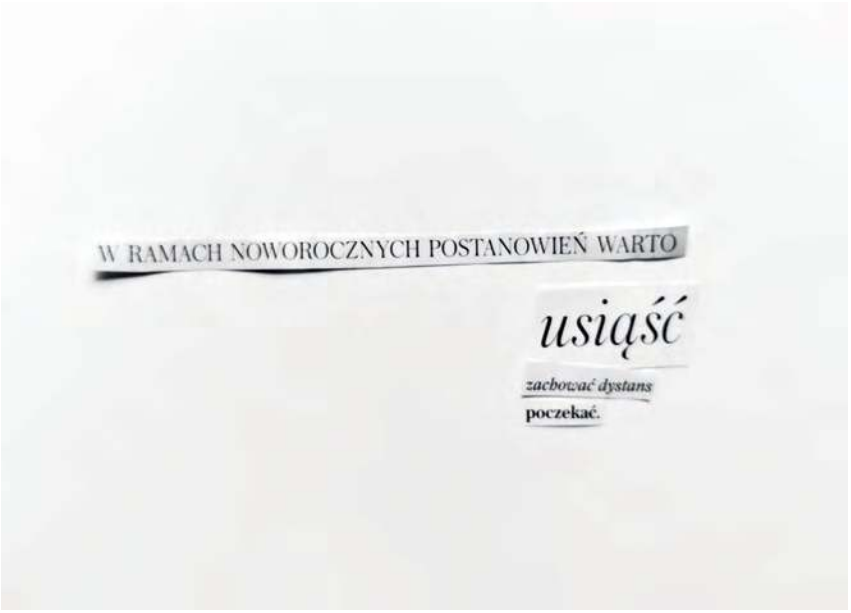

eprasa.pl fc0d95e1fd

(W zasadzie tak, ale – Wilhelm ma nieodparte wrażenie, że chociaż Del pozornie mówi o tym samym, o czym on myśli, to jednak nie o tym samym).

Co to jest? Kamienie z bliznami? Ciekawe.

Chodzą po krzakach przez dobrą godzinę, Del ma tu swoje ulubione zakątki. Skała z dziurą jak pączek z lukrem. Tu mieliśmy pumę, widywaliśmy ją często. Pojawiała się tuż po opadzie, wiesz, kiedy powietrze robi się nie do wytrzymania, i miała taką jasnopomarańczową sierść, jakiej nigdy nie widziałem u pumy. Nie wiem, co się z nią stało. A tam, patrz, kaktus w kształcie fiuta.

Wilhelm patrzy, chłonie i notuje.

To tylko jedno z miejsc, mam jeszcze kilka upatrzonych. Jak chcesz, pokażę ci wszystkie.

Wilhelm mówi, że w najbliższych dniach będzie intensywnie łamał chmury, ale potem, po kolejnym deszczu, chętnie.

Del upewnia się jeszcze, czy z tą bronią atomową to na pewno nieprawda, to by go w sumie zainteresowało. Wilhelm jest urażony. Wymienił co prawda korespondencję z Komisją Energii Atomowej i otrzymał od Komisji przesyłkę, ale to tyle; tylko raz. Jeśli naprawdę myślisz o przyszłości, Del, zapomnij o energii atomowej. Zacznij myśleć o kosmosie.

—

DESZCZ NIE PADA przez całe dwa tygodnie, ale Del przyjeżdża mimo to. Co kilka dni zabiera Wilhelma i wywozi go gdzieś, zazwyczaj na pustynię, pokazuje mu też Tucson i Phoenix, osiedle dla górników, które zbudował, swoją ulubioną piekarnię na Szóstej. Tam, gdzie rosną te tamaryszki, wybuduje centrum handlowe. Z reguły zatrzymują się gdzieś na obiad, a potem Wilhelm wychodzi z restauracji, patrzy w niebo i, zależnie od stanu zachmurzenia, skażenia i potencjału sytuacji, mówi: zawieź mnie do domu, Del; albo: zawieź mnie do Sonory.

Del myśli, że Sonora brzmi jak czyjeś imię, które Wilhelm wymawia z tym swoim twardym akcentem, Sonora przez r z głębokiego gardła – wymawia tak, że Del chciałby mieć na imię Sonora.

Każdego dnia Wilhelm sporządza szczegółowe notatki, a kiedy Del zagląda mu

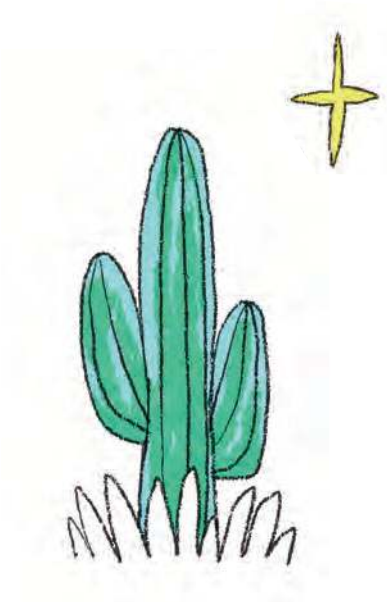

przez ramię, dostrzega równania podobne do wijących się robaków, symbole, których znaczenia Wilhelm ustalił sam ze sobą, schematy pełne kółek, strzałek i fal, nieukładających się w nic oswojonego. Kiedy o nie pyta, Wilhelm w zawiły sposób tłumaczy, że prawdziwa nauka jeszcze się nie rozpoczęła, prawdziwe zgłębianie natury-rzeczy-egzystencji dopiero przed nami jako ludzkością, a to, co udało mu się dotychczas opisać, to zaledwie zaczątek. Dziurka od klucza. A potem mówi coś w stylu: nie możesz odizolować ludzi na pustyni, gdzie będą otoczeni promieniowaniem. Albo: Del, jestem skazany na samotność.

Stoją w pełnym słońcu, w tym samym miejscu, które Del pokazał Wilhelmowi jako pierwsze. Jest bardzo cicho i chociaż znowu nie było deszczu, to kaktusy zdają się pachnieć deszczem, i chociaż nie było ostatnio opadu z Nevady, pomarańczowa puma wychodzi na skałę i patrzy na nich z góry długo i smutno, ale chyba też z odrobiną nadziei, a w oddali góry mienią się fioletem. I może to wszystko razem roztkliwia Wilhelma, może to go roznamiętnia – nie będzie w stanie odpowiedzieć sobie potem dlaczego; czasem daje się ponieść emocjom – rozkłada swoje notatki na ziemi i opowiada Delowi o akumulatorach, o nieudanym eksperymencie, światłach na niebie, swoich podejrzeniach, ludziach, którzy próbują go uciszyć. Całe ostatnie dziesięć lat.

Pod koniec tej tyrady podnosi głos, niebo się chmurzy, puma ucieka, a Del kładzie mu rękę na ramieniu.

W końcu zrozumieją.

Wiem. Choćbym musiał czekać tysiąc lat. Sądzę, że tyle im to zajmie.

Jeśli chodzi o FBI, mówi jeszcze Del, to mogę pomóc. Znam dyrektora.

Nie mam problemów z FBI.

W każdym razie jestem po twojej stronie.

I jest całkiem możliwe, że Del też daje się nieco ponieść temu popołudniu – którego nie chce kończyć w wirach czerwonego kurzu wzbitych oponami, zostawiając Wilhelma pod bramą – więc zastanawia się, co jeszcze mógłby mu pokazać, co by mu się spodobało.

Dlatego pyta: chcesz zobaczyć krater po meteorycie?

Wilhelm, przewidywalnie, chce. Jest nawet trochę zły, że Del mówi mu o kraterze po meteorycie dopiero teraz. Del uprzedza, że to kolejne kilka godzin jazdy. Tym bardziej! Na co czekamy? Wilhelm zamienił hełm korkowy na szary kapelusz kowbojski, wygląda w nim dosyć ekscentrycznie. Ale ładnie. Prawie biegnie do samochodu, szarpie drzwi. Dopiero kiedy się obraca, zauważa, że Del zatrzymał się dwa kroki za nim.

Na co czekamy?

Puma ukryta wśród skał krzyczy, Wilhelm pyta: co jest z tą pumą? Sięga już do kieszeni po notes, żeby ją zapisać, i zaraz skończy się dygresją, skończy się kolejnym rozgałęzieniem niedokończonej myśli Wilhelma, który za kilka miesięcy wyśle mu co najwyżej jakiś serdeczny list, jeśli Del nic teraz nie powie.

Del mówi: może chciałbyś, gdybyś tu jednak został, nie mówię, że na zawsze, ale na kilka lat, na próbę. Może chciałbyś zbudować ze mną miasto, tutaj, na tej pustyni, miasto słońca, gdzie wszyscy będą szczęśliwi, będą żyć w zgodzie z kosmiczną energią i wychowają następne pokolenie, które wychowa następne pokolenie, które o skażeniu przeczyta tylko w podręczniku do historii albo co najwyżej zobaczy zdjęcia na jakiejś wystawie, i uzdrowimy ludzkość, i może zajmie nam to mniej niż tysiąc lat. Gdybyś chciał.

Proponuje to nieśmiało jak na dewelopera, ale nawet deweloperzy obawiają się odrzucenia.

A jeśli nie, to chociaż powiedz mi, jak mam to zrobić.

eprasa.pl fc0d95e1fd

Jestem ścigany, Del.

Żadne prawo nie może cię sądzić.

(To najlepsza rzecz, jaką Del mógł teraz powiedzieć).

Kiedy wsiadają do samochodu, Wilhelm wyjmuje notes i zaczyna szkicować plan miasta. Będą potrzebować wszystkich metod neutralizacji promieniowania. A gdyby, Wilhelm we wzmożeniu zrzuca sobie z głowy kapelusz, gdyby samo miasto było chmurołamaczem? Gdyby zbudować je na planie okręgu i poprowadzić ulice tak, żeby kumulowały energię… Del zerka na rysunki: tylko zrób tam miejsce na pole golfowe.

Wilhelm szkicuje na mapie jego twarz. Posłuchaj, Del, jeśli sztuka jest zarazą, to zrobiłeś ze mnie artystę.

Jadą na północ, poza autostradą nie ma przed nimi niczego, szare kamienie i wypłowiała trawa ciągną się po horyzont, pobocze przerywają tylko kępy małych kaktusów, a potem i one znikają, i robi się jeszcze bardziej płowo i kamieniście. Wilhelm w obliczu monotonii robi się senny, przez ceglaną mgłę przebłyskują mu jeszcze olśnienia. Arizona okazuje się dużo większa niż był w stanie to sobie wyobrazić.

(Ale czy uda nam się wybudować miasto?

Nie martw się, mówi Del, wybudowałem już jedno. Obóz dla Japończyków w czterdziestym drugim, wielki sukces).

—

STAJĄ NA krawędzi krateru.

Jest ogromny.

Tak.

Przeogromny.

Stojąc tutaj, Wilhelm patrzy w niebo, które ma strukturę domu, i nawiedza go myśl, że być może sam pochodzi z kosmosu.

Del tymczasem patrzy na ziemię pod stopami i kamyki osuwające się w dół i myśli, że dobrze byłoby postawić tu taras widokowy z lornetkami na monety, parking, sklep z pamiątkami, strefę wypoczynkową i może jakieś muzeum. Chociaż nie jest pewien, czy wtedy mogliby położyć się z głowami na samym skraju otchłani i patrzeć w ciemniejące niebo, a gdyby nie mogli, Wilhelm nie wytłumaczyłby mu Obiektów:

Obserwuj, nauczysz się odróżniać je od ciał niebieskich; są żółte albo czerwone, wyraźnie pulsują, poruszają się po galaktycznych drogach w sposób zauważalnie nieregularny; jeśli potraktować je chmurołamaczem, zaczynają blednąć; przypominają czasem planety, ale najłatwiej rozpoznać je po tym uczuciu mrowienia na skórze, które przychodzi po kilku minutach patrzenia.

Dlaczego tu przylatują?

Jeszcze tego nie wiem.

Zatrzymują się w motelu. Przy wjeździe stoi wielki okrągły budynek podobny do latającego spodka. Przez szyby dobrze widać bar, jego całe złote wnętrze, obite złotym plastikiem kanapy i pokryte złotymi żyłkami plastikowe blaty. Jak miło, zauważa Del, a Wilhelm nie ma nic przeciwko.

Dostają pokój na parterze i w głębi, gdzie jest najciszej. Jedyne okno wychodzi na parking i skrawek nieba widoczny nad identycznym budynkiem naprzeciw. Jakby środek, oprócz rzędu palm, przecinało lustro, dwie strony parkingu zdają się swoimi odbiciami. Wilhelm stawia krzesło pod oknem, żeby mieć wygodny punkt obserwacyjny. Stwierdza, że to dobre energetycznie miejsce.

Del pada na łóżko i obserwuje Wilhelma spod półprzymkniętych powiek. Nigdy nie wiem, co myślisz.

Obawiam się tylko.

Czego?

Że całe to budowanie na pustyni skończy się jeszcze większą pustynią.

Wilhelm ma skłonność do zakopywania rzeczy, z którymi nie potrafi sobie poradzić (na przykład tamtą odrobinę radu), wierzy w ziemię.

Nie wie, że kiedy go nie było, ktoś podający się za agenta FDA z Los Angeles pojawił się na farmie i pytał o niego. Agenci są niezwykle podobni do siebie i czasem Del, zwłaszcza odwrócony tyłem, zwłaszcza w płaszczu, wygląda jak jeden z nich. Budzi to coś w Wilhelmie, ale nie wątpliwość.

Wiesz, że napisałem całą książkę o seksualności człowieka?

To może chodź tutaj. Del poklepuje miejsce na łóżku.

Wilhelm prosi, żeby zgasić światło. Pokój motelowy oświetla pojedyncza świetlówka, a świetlówki są pełne śmiercionośnego promieniowania. Nie zasłonili okna, więc nie jest całkiem ciemno, przez okno wpada niebieskawa poświata. Z oddali słychać wycia kojotów i czasem przejeżdżający pociąg.

Wilhelm rozpina koszulę w czerwono-czarną kratę. Wierzy, w pierwszej kolejności, w miłość.

Cała rzecz polega na tym, żeby zaczerpnąć wody z oceanu i donieść ją aż do Arizony.

I nie ma znaczenia, że Delowi zależy, żeby posiąść energię kosmosu, a Wilhelmowi nie zależy na zarabianiu pieniędzy ani że Wilhelm nigdy nie obiecuje uzdrowienia, że chciałby jeszcze wybudować klinikę i szpital, kolejne laboratoria, a kilka tysięcy mil stąd dogasa ogień, spopielone resztki jego prac wirują w rozgrzanym powietrzu nad drzewami.

Del z twarzą wciśniętą w poduszkę nie wygląda ani trochę jak agent FDA.

Kiedy po niego przychodzą, Wilhelm jest w Arizonie, gdzie zamierza zbudować miasto na pustyni.

Przez okno widzi żółte i czerwone światła, owalne jak spodki. Jest zbyt dumny, żeby uciekać. Wytrzepuje buty przed założeniem, na wypadek, gdyby były w nich skorpiony. Wychodzi na palcach, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Jest jeszcze ciemno, ale góry na horyzoncie jaśnieją już fioletem.

Kiedy Del budzi się rano, Wilhelma nie ma, nie ma jego ubrań ani notatek. Autostrada pachnie deszczem.

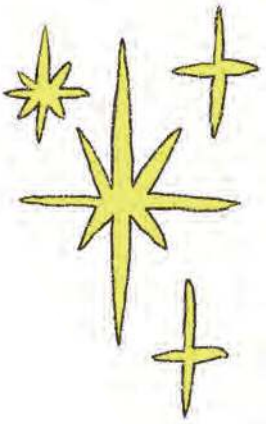

Więcej opowiadań przeczytasz lub wysłuchasz na **magazynpismo.pl/proza**

eprasa.pl fc0d95e1fd

POEZJA

Pokoje jak przystań

DORTA JAGIĆ

—

Pokoje jak przystań
nie tylko w weekendy
pokój mariny spóźnia się do lustra
na spis mieszkańców
we wszystkie dni pracujące,
(jak ten autobus o 7.32)
bo zwyczajnie
tak jak marina
nie zdąża przyjąć innego kształtu,
jakiegoś nowego betonowego ciała
i przerosnąć swojej małości.
niewyspany,
pokój każdego dnia budzi się ze smutku
i pcha głowę w filiżankę zimnej kawy.

nie ma z kim porozmawiać więc
znów zasypia, podczas gdy po parkiecie
jak piraci kuśtykają ogłupiałe żółwie
przewracają buty, plotą głupstwa
jęczą, przeklinają, szepczą
cumują łóżko przy marinie
marinę do łóżka
na wszystko zaciągają zasłony
mówią: marina, spóźnij się do pracy
kiedy we śnie na ślubnym welonie
tak zręcznie lecisz do nieba
w stronę
alkoholowych obłoków.

przełożyła Małgorzata Wierzbicka

instytut kultury miejskiej

europejski poeta wolności

Partnerem poezji jest **Instytut Kultury Miejskiej** w Gdańsku, organizator festiwalu i nagrody Europejski Poeta Wolności oraz wydawca towarzyszącej im serii poetyckiej. Nagrodę Europejski Poeta Wolności ufundowało Miasto Gdańsk.

DORTA JAGIĆ

(ur. 1974), poetka chorwacka. Za swój debiutancki tomik wierszy Plahta preko glave, z 1999 roku otrzymała chorwacką nagrodę poetycką „Goran za mlade pjesnike". W 2007 zdobyła Nagrodę „Balkan Grand Prize for Poetry". Jest również autorką licznych krótkich opowiadań, które drukuje w chorwackich czasopismach. Laureatka (wraz z tłumaczką) nagrody Europejski Poeta Wolności 2014 za tom *Kanapa na rynku*, z którego pochodzi ten wiersz.

eprasa.pl fc0d95e1fd

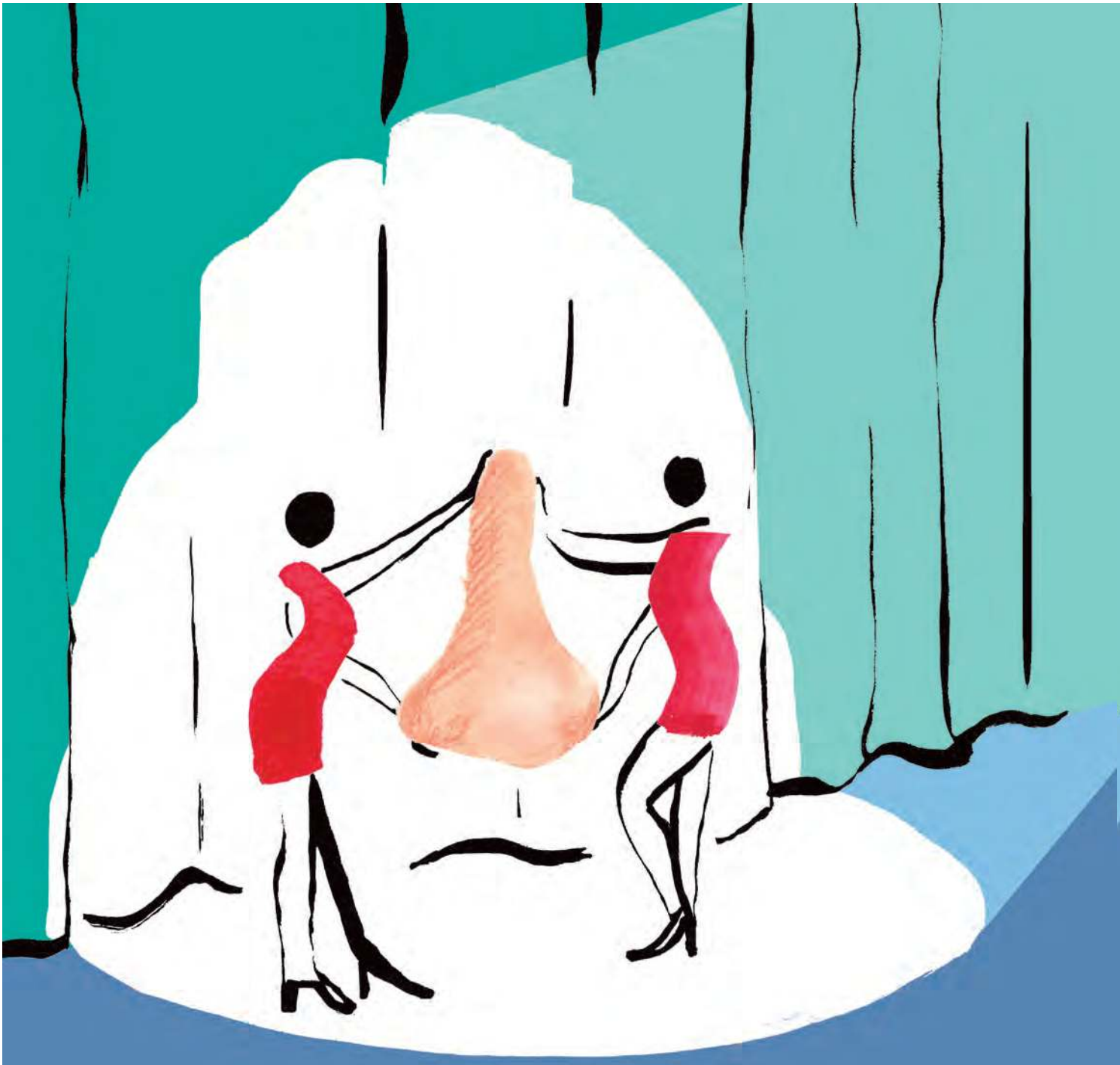

REPORTAŻ

Ciało w budowie

tekst OKTAWIA KROMER

NA PLACACH BUDOWY WRE. W Turcji, w Czechach, w Polsce cegiełka po cegiełce, operacja po operacji, powstają ciała idealne.

eprasa.pl fc0d95e1fd

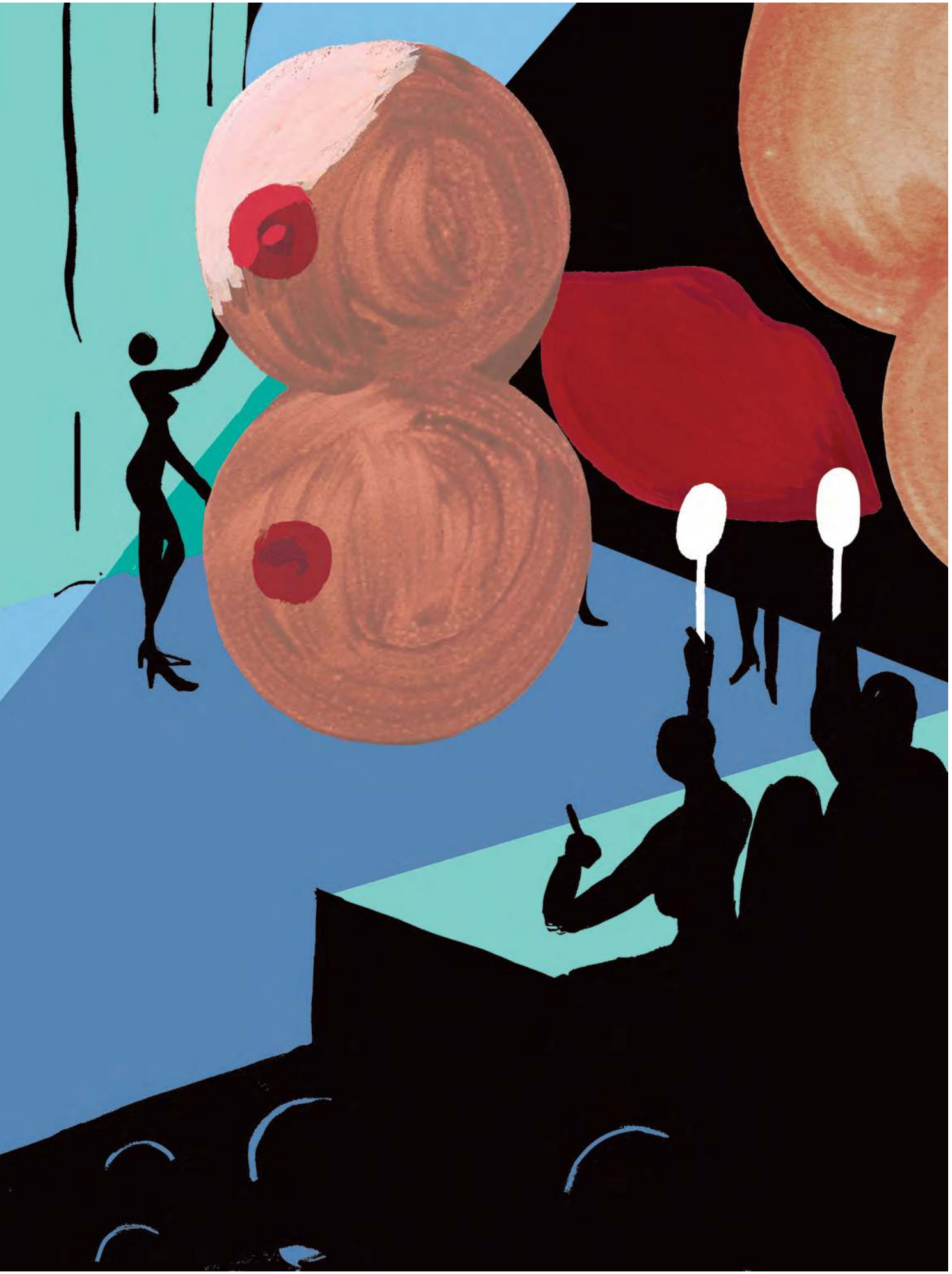

rysunki ULA PALUSIŃSKA

eprasa.pl fc0d95e1fd

OKTAWIA KROMER (ur. 1991), reporterka i dziennikarka, publikowała m.in. w „Gazecie Wyborczej" („Duży Format", „Gazeta Stołeczna") i „Piśmie". Autorka książki *Usługa czysto platoniczna. Jak z samotności robi się biznes.* Absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu. Obecnie współpracuje z programem *Uwaga!* stacji TVN.

Zacznijmy od nosa. Za duży, z garbem, orli, sępi… – Zależało mi na tym, żeby mieć po prostu ładną, miłą twarz. A z garbem na nosie wyglądałam na wściekłą – mówi Natalia. Koleżanka jej koleżanki pojechała na operację nosa do Czech. Efekt Natalię zachwycił. – Diametralnie zmieniła się z twarzy. Pomyślałam, że pojadę i ja. Chłopak i rodzina nie rozumieli, po co chcę to zrobić. „Masz ładny nos – mówili – daj spokój". Ale ja wiedziałam, że muszę, chcę. Skoro tak, zaczęli mnie wspierać. „Jak masz się poczuć dobrze, to zrób".

Od nosa zaczyna się cała historia chirurgii plastycznej. – W Indiach, gdzie karą za niektóre przestępstwa było obcinanie nosów, ówczesny chirurg, Suśruta [nazywany „ojcem chirurgii" – przyp. red.], w VI wieku p.n.e. zaczął te nosy odtwarzać. I robił to w taki sam sposób, jak my to robimy dzisiaj – mówi mi doktor habilitowany nauk medycznych Jerzy Jankau, kierownik Kliniki Chirurgii Plastycznej Gdańskiego Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego. Gdy nie dowierzam, tłumaczy: – Narzędzia się zmieniły, wiedzę o anatomii mamy większą, ale podstawowa metodologia pozostaje ta sama. Nos odgryziony na przykład przez psa odtwarza się dziś tak jak wtedy. Ze skóry i tkanki podskórnej z czoła tworzymy specjalny płat, z którego później formujemy czubek nosa, nozdrza…

Natalii, jak już wiemy, pies nosa nie odgryzł. Garbek na nosie postanowiła usunąć w Czechach, w tej samej klinice co koleżanka, w 2021 roku. Miała wtedy 29 lat, mieszkała w Holandii i zarabiała na tyle dobrze, że 13 tysięcy złotych na operację oraz 7 tysięcy na podróż i hotel szybko udało się jej odłożyć.

Patrycja, 29-latka spod Warszawy, na operację nosa zbierała cztery lata. Zaczęła odkładać w wieku 16 lat. Pracowała od świtu do nocy. – Miałam na punkcie tego nosa wielki kompleks, a iskrą zapalną stały się komentarze bliskich mi osób – opowiada. Przykłady? – Narzeczony mówił do mnie „ty wielki nosie", tata żartował, że jest jak „klamka od zakrystii", choć takie nosy w rodzinie się zdarzały. Niby żarty, ale brałam je do siebie.

Operację przeszła w 2016 roku w klinice w Warszawie, zapłaciła 8 tysięcy złotych. Miała wtedy 20 lat i zrobiła to po kryjomu. Rodzina, gdy ją zobaczyła, była w szoku. – Nos operowałam pół roku przed planowanym ślubem, co było dla mnie dodatkową mobilizacją – opowiada Patrycja. Z początku nie była zadowolona. Twarz i policzki przez miesiąc po operacji pozostawały spuchnięte, przez dwa tygodnie nie schodziły siniaki, bliscy najpierw myśleli, że ktoś ją pobił. Ale do wesela zdążyło się zagoić.

W rodzinie Judyty, która wychowała się w domu z trzema kobietami o dużych nosach – dwiema siostrami i matką – operacja, której poddała się w 2021 roku, nie była niczym szokującym. – Zdecydowałam się na to w wieku 28 lat. Późno, ale dopiero wtedy pozwalały mi na to zarobki – wspomina. Starsza siostra Judyty zoperowała nos już jako 20-latka. Judyta piękne nosy podziwiała od dzieciństwa w kolorowych pismach, później wypatrywała ich w pracy, najpierw jako trenerka personalna na siłowni, później kosmetolożka, wreszcie właścicielka salonu kosmetycznego. – Przez kilka lat szukałam specjalisty. Byłam na konsultacjach u kilku, ale nie czułam się po tych rozmowach zaopiekowana. Podróż w obie strony trwała po kilka godzin, a potem, kiedy chciałam o coś dopytać, nie miałam z tymi lekarzami kontaktu. Za to podczas rozmowy z lekarzem z Turcji widziałam, że wysłucha mnie i odpowie na każde pytanie – relacjonuje. Zdecydowała się na zabieg w Turcji, bo taniej i szybciej: 2,5 tysiąca euro (około 11,5 tysiąca złotych), do tego loty za około 1000 złotych w obie strony. Nawet po dodaniu do tego kosztów noclegu i wyżywienia w czasie pobytu operacja w Polsce wychodziłaby znacznie drożej.

– Przez dwa tygodnie po operacji trzeba chodzić w gipsie. Nie można myć twarzy ani włosów. Do miesiąca czy dwóch po nie można nosić okularów, ćwiczyć siłowo, trzeba bardzo uważać. Nie brać gorących kąpieli, nie chodzić do sauny, nie zwieszać głowy w dół. Spać najlepiej na wznak, a ja bardzo tego nie lubię – wspomina Natalia. Gdy po dwóch tygodniach zdjęła gips, pomyślała: „Wow!". – To był taki efekt. Garba nie ma! Ale potem, tydzień po tygodniu, zaczął mi opadać czubek nosa. A po trzech miesiącach od operacji nos uformował się już na dobre w formie papuziego dzioba – relacjonuje. Papuzi nos to jedno z możliwych powikłań po rynoplastyce, czyli operacji nosa, wymagające korekty chirurgicznej. – Lekarz nie skrócił odpowiednio czubka. I operował mnie metodą zamkniętą, czyli przez dziurki, a nie otwartą, gdzie nacina się przegrodę nosową. On sobie rozszerzał te dziurki w nosie i tam kombinował – tłumaczy Natalia, a ja bardzo współczuję, bo brzmi to przerażająco i boleśnie.

Judyta uspokaja: – Operacja nosa nie boli. Ale dochodzisz do siebie długo, efekt widać po 8–12 miesiącach. W tym czasie nos się zmienia. Dochodzi do siebie, czasem puchnie, w zależności od stanu hormonalnego, od ilości wody w organizmie, od temperatury na zewnątrz – wylicza. Doktor Jankau potwierdza jej słowa: – Nos goi się najdłużej, a efekty widoczne są najpóźniej.

Po roku okazało się, że Patrycja też ma problemy z nosem: niedrożna lewa strona, perforacja przegrody, przez którą oddychała, gwiżdżąc „jak woda gotująca się w czajniku". Zdecydowała się na operację poprawkową u laryngologa: prostowanie przegrody i zamknięcie perforacji przeszczepioną chrząstką z żeber. Powtórny zabieg przeszła w 2019 roku. Do laryngologa skierowała ją lekarka, która przeprowadzała zabieg, bo konieczna okazała się fiberoskopia, czyli endoskopowe badanie laryngologiczne za pomocą specjalnego przyrządu (fiberoskopu) wprowadzanego do nosa. Zapłaciła 11 tysięcy złotych.

Również Natalia podjęła decyzję o korekcie i nie tylko ze względu na to, że nowy nos wyglądał jak u papugi, ale też dlatego, że po miesiącu od operacji straciła węch. – Do dziś nie wiem, czy to była konsekwencja przebytej bezobjawowo infekcji koronawirusem, czy może uszkodzono mi nerw podczas operacji. Ale gdy wspomniałam o swoich wątpliwościach przed poprawką, lekarz zbagatelizował sprawę. Uznał, że to na pewno COVID – opowiada. To było w 2022 roku. Czeski lekarz poprawiał papuzi nos Natalii za darmo, ale musiała pokryć honorarium anestezjologa, dojazd i tygodniowy pobyt w Pradze. A potem znów przez dwa tygodnie nosić gips, oszczędzać się przez kolejne miesiące. – Strasznie przeżyłam to wszystko. I jestem naprawdę wściekła na tego doktora. Bo nos po tym

eprasa.pl fc0d95e1fd

wszystkim okazał się tylko odrobinę lepszy. Do dziś opuchlizna nie ustępuje, a końcówka nosa jest nienaturalnie wydłużona – skarży się. Gdy rozmawiamy, w czerwcu 2025 roku, podlicza, że łącznie, wraz z dojazdami i noclegami w Pradze, wydała na nos 30 tysięcy złotych, a wygląda on gorzej niż przed pierwszą operacją. – Do tej pory, kiedy patrzę w lustro, żałuję, że się dwa razy położyłam na stół – wzdycha.

Dowiedziała się, że mogłaby to zrobić po raz trzeci, u innego lekarza, ale już za 45 tysięcy złotych. – Chirurdzy nie lubią poprawiać po kimś. Boją się, bo nie wiedzą, co jest tam w środku, jak zostało to zoperowane, dlatego też poprawki są droższe od pierwszych operacji – tłumaczy Natalia. Dochodzą do tego długie terminy oczekiwania do specjalisty. W Polsce do znanego chirurga specjalizującego się w rynoplastyce, którego nazwisko mi wymienia, czeka się w kolejce na zabieg nawet cztery lata. Sprawdzam to, przeglądając wpisy na grupach facebookowych łączących osoby zainteresowane chirurgią plastyczną. Rzeczywiście, wiele osób skarży się na długie terminy oczekiwania do tego lekarza i rosnące ceny. I tak na przykład zabieg chirurgiczny umówiony w 2021 roku miał kosztować 19 tysięcy, kilka miesięcy przed terminem zaplanowanym na 2025 rok okazało się zaś, że cena wzrosła do 35 tysięcy, podobne sytuacje opisywały też inne kobiety. Zapytałam mailowo o terminy i zmiany cen w trakcie oczekiwania na operację samego specjalistę, ale nie dostałam odpowiedzi.

Poprawiać urodę chcą wszyscy. Starsi chcą, by korzystać z życia, wyjść w bluzce na ramiączkach, nie wstydzić się pomarszczonej, obwisłej skóry. Młodsi chcą, żeby wyglądać jak ich idole. Przynoszą czasem do gabinetu zdjęcia, by się do nich upodobnić.

Pierwsza operacja nosa u doktora Jankaua w 2025 roku to koszt 25 tysięcy złotych wzwyż. Cena ewentualnej poprawki zależy od tego, co zostało zrobione i co trzeba poprawić. Aby się tego dowiedzieć, konieczna jest dokumentacja medyczna, a tej często pacjenci operowani za granicą nie mają. Jak Natalia, która otrzymała swoją teczkę dopiero po uiszczeniu dodatkowej opłaty: 200 złotych. Doktor Jankau, gdy mu o tym opowiadam, jest zażenowany, ale niezdziwiony. – Przychodzą do mnie czasem pacjentki z prośbą o kontrolę na przykład piersi operowanych w Czechach. Bez wypisu ze szpitala, bez opisu zabiegu operacyjnego, tylko z kartką z nazwą zastosowanego implantu. Mówią, że ich doktor z Czech przysłał do mnie – wzdycha i dodaje, że od takich propozycji dostaje szału.

Gdy opowiadam mu o powikłaniach, z jakimi zmagały się moje rozmówczynie, Jankau przekonuje, że każda operacja może zakończyć się powikłaniami i nie musi to być nawet wina lekarza. – Powikłań nie ma tylko ten, kto nie operuje. Bywa, że wykonujemy zabieg według wszystkich najnowszych wytycznych, atlasów anatomicznych, a rana przestaje się goić. Żyjemy w XXI wieku, potrafimy sekwencjonować DNA, a nie jesteśmy w stanie w 100 procentach przewidzieć, jak dany organizm zareaguje na gojenie, na uraz – komentuje i zaznacza, że większość problemów da się naprawić, tylko trzeba to zrobić „w odpowiednim czasie, odpowiednimi metodami".

Ostatecznie Patrycja jest zadowolona z wyglądu nosa po poprawce. Mówi, że zoperowała sobie kompleksy. W 2024 roku, na 30. urodziny, spontanicznie zrobiła też plastykę brzucha (abdominoplastykę), a trzy miesiące później w tej samej klinice także *lip lift*, czyli operacyjne uniesienie górnej wargi przez wycięcie skóry między nosem a ustami. Do zrobienia *lip liftu* nie zniechęciło jej nawet to, że przez cztery miesiące po operacji brzucha nie miała czucia w zewnętrznej części ud. Problem minął po wielokrotnych wizytach u fizjoterapeuty. Jedyne, co dziś zrobiłaby inaczej, to wzięłaby dłuższy niż dwa tygodnie urlop zdrowotny na rekonwalescencję.

Judycie nos po operacji spodobał się do tego stopnia, że rok po niej rozpoczęła pracę w branży i dziś jest pośredniczką w organizowaniu wyjazdów na operacje plastyczne. Judyta Moćko, na Instagramie znana jako judys_aesthetics, obserwowana przez prawie 3 tysiące osób, od 2021 roku współpracuje z klinikami w Turcji, organizując wyjazdy Polek i Polaków oraz pośrednicząc w całym procesie jako tłumaczka i asystentka pacjenta. – Odpowiadam na pytania pacjentów przed operacją, po niej i w trakcie. Nadzoruję komunikację pacjent–doktor – wyjaśnia.

Z perspektywy kilku lat pracy w branży Judyta przyznaje, że poprawek robi się w klinikach bardzo wiele. I tak, są droższe. Dlatego jej zdaniem, decydując się na jakąkolwiek operację, należy mieć odłożone pieniądze przynajmniej na półtora zabiegu, a najlepiej od razu na dwa.

Trzy i pół litra tłuszczu

— ROBIĄC PIERWSZĄ operację, nie myślałam o tym, że będą kolejne. Zawsze miałam wysoką samoocenę, nawet z tamtym nosem. Ale to wciąga. Zwłaszcza gdy pracujesz w tej branży, widzisz efekty u klientek, nawet młodych dziewczyn, a u siebie coraz więcej mankamentów – mówi Moćko. W 2023 roku powiększyła piersi, w 2024 roku zrobiła *lip lift* oraz drugi raz zoperowała nos. Nie z powodu powikłań, tylko żeby jeszcze bardziej go zmniejszyć. W 2025 roku poddała się liposukcji (czyli odsysaniu tłuszczu), którą określa jako „agresywną", a po której jej rozmiar zmienił się z 34 na 32. Taki zabieg, w technice 360 stopni, czyli przy odessaniu tłuszczu z brzucha, talii i dolnej części pleców, razem z pobytem na miejscu kosztuje w Turcji do 4 tysięcy euro.

Judyta ma za sobą ponad 300 zoperowanych pod jej pieczą pacjentek i około 20 pacjentów. – Zdarzają się klientki, które w formularzu przed zabiegiem piszą, że miały sześć, siedem operacji, bywa, że to dziewczyny trzydziestoparoletnie. Zazwyczaj jednak miały dwa, trzy zabiegi przeprowadzone w Polsce i nie są do końca zadowolone, więc jadą poprawić się do Turcji – mówi Moćko.

Wracamy do jej „agresywnej" liposukcji. – Większość moich klientek dobrze przechodzi liposukcję, dla mnie była to

eprasa.pl fc0d95e1fd

najbardziej bolesna operacja. Przez pierwszych kilka dni ból był ogromny. Może dlatego, że nie miałam dużo tłuszczu – wyjaśnia. Co odessała? – Około 3,5 litra tłuszczu wokół pleców i talii. Wcześniej, gdy pracowałam na siłowni, gubiłam to, ale tylko na bardzo skrajnej redukcji, robiąc kardio dwa razy dziennie po godzinie, a nie chciało mi się już tego robić. Bo prawda jest taka, że dietą, ćwiczeniami możesz komórki tłuszczowe opróżnić, ale ich nie usuniesz. Liposukcja je usuwa, więc każdemu, kto się nad nią zastanawia, gorąco ją polecam. Są nawet badania, które dowodzą, że potem w to miejsce już tego tłuszczu nie przybywa. Nie jest tak łatwo się otłuścić po liposukcji.

– Liposukcja nie usuwa komórek tłuszczowych! – protestuje doktor Jankau, gdy konfrontuję go ze słowami Judyty. – Usuwa wnętrze komórek tłuszczowych, ale nie same komórki. Jeśli pacjent po zabiegu nie będzie utrzymywał diety i dbał o siebie, szybko wróci do stanu poprzedniego – wyjaśnia. Co innego po abdominoplastyce, czyli usunięciu skóry, tkanki podskórnej i komórek tłuszczowych. Wtedy rzeczywiście to, co usunęliśmy, raczej już nie wróci, chyba że z powodu złej diety i w mniejszym stopniu niż po liposukcji. Minusy? Po zabiegu pozostaną duże blizny. Doktor Jankau wykonuje oba rodzaje zabiegów. Zaznacza, że liposukcja nie jest zabiegiem leczniczym, tylko wyłącznie estetycznym. Oba są inwazyjne, ale w przypadku liposukcji stopień ingerencji w organizm jest mniejszy. Abdominoplastykę wykonuje się najczęściej po odchudzaniu, po operacjach bariatrycznych (chirurgiczne zmniejszenie żołądka ze wskazań medycznych), ale i ze względów estetycznych. Broni tych ostatnich powodów, powołując się na definicję zdrowia według Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), zgodnie z którą zdrowie to nie tylko życie wolne od chorób, ale i „stan pełnego, fizycznego, umysłowego i społecznego dobrostanu".

Celebryci, media społecznościowe, grupy wsparcia

GDY PYTAM O WIEK I PŁEĆ jego pacjentów, doktor Jankau mówi, że operuje i dwudziestoparolatki, i pacjentów 70-letnich. – Poprawiać urodę chcą wszyscy. Wiek mówi raczej o tym, z jakich powodów chcą to robić. Młodzi, bo chcą wyglądać jak ich idole. Starsi, bo chcą jeszcze korzystać z życia, wyjść na bulwar w ciepłym kraju w krótkich spodenkach, sukience na ramiączkach, nie wstydząc się pomarszczonej, wiszącej skóry – tłumaczy. Młodsi pacjenci, jak dodaje, przynoszą czasem do jego gabinetu zdjęcia celebrytów, do których chcieliby się upodobnić. – Każdemu, kto mnie prosi, by po operacji wyglądał jak ktoś ze zdjęcia, wyjaśniam, że nie umiem i nie chcę robić kopii – stwierdza.

Judyta potwierdza, że pacjentki pokazują zdjęcia celebrytów, którzy je inspirują. Najpopularniejsze operacje? – Wśród Polek to *face lifty*. Później BBL-e [*Brazilian Butt Lift*, brazylijski lifting pośladków – przyp. red.] i *mommy makeover*, czyli plastyka brzucha i piersi po ciąży. Robimy też same biusty i same nosy, ale zwykle to jest *combo*: *lifty* twarzy z nosem, *foxy eye* z nosem – wylicza Judyta, a ja notuję sobie wszystkie nieznane terminy do sprawdzenia. Gdy klientki proszą o radę, czy zacząć od piersi, czy od nosa, Judyta zawsze doradza nos. – Piersi dodają mi pewności siebie, sprawiają, że czuję się bardziej kobieco. Liposukcja powoduje, że na więcej mogę sobie pozwolić, jeżeli chodzi o ubrania. Ale tak naprawdę nos czy *lifty* twarzy moich pacjentek to są największe zmiany. Te zabiegi faktycznie zmieniają kogoś z brzydkiego kaczątka w łabędzia. Także abdominoplastyki dużo dają dziewczynom, które mają obwisłe brzuchy po ciąży. To jest naprawdę operacja ratująca wygląd, zabiera kompleksy.

Znany lekarz medycyny estetycznej Krzysztof Gojdź zapłacił 150 tysięcy złotych za głęboki lifting twarzy. Popularne operacje wśród polskich celebrytów – ale także zwykłych klientek, które o polskich celebrytach czytają – to face lift, lip lift, foxy eye, Brazilian Butt Lift, *operacja nosa, przeszczep włosów, liposukcja, powiększenie piersi.*

Czas rozszyfrować nowe słowa. *Face lift*, lifting twarzy, to operacja pozwalająca pozbyć się „chomików", czyli opadającej z wiekiem skóry policzków. BBL polega na pobraniu tłuszczu od pacjentki (na przykład z brzucha) i wszczepieniu go w pośladki, dzięki czemu będą pełniejsze, jak u Kim Kardashian. To zabieg na tyle ryzykowny, że w Wielkiej Brytanii w 2025 roku Urząd ds. Standardów Reklamy (Advertising Standards Authority, ASA), niezależny brytyjski regulator reklam, narzucił ograniczenia w jego reklamowaniu na Facebooku i Instagramie, a Brytyjskie Stowarzyszenie Chirurgów Plastycznych i Estetycznych (British Association of Aesthetic Plastic Surgeons, BAAPS) zaleciło swoim członkom zaprzestanie wykonywania tego zabiegu do czasu przeprowadzenia dalszych badań. Z kolei *foxy eye* to operacja, w której nacina się skórę tuż nad kością brwiową i podnosi brwi do pożądanej pozycji, aby uzyskać efekt kociego czy też lisiego spojrzenia.

Kim są celebryci, którymi inspirują się pacjenci? Próbuję dowiedzieć się tego, przeglądając facebookowe grupy. Jest ich – z podziałem na rodzaj operacji i kraj, w którym została przeprowadzona (zwykle Polska, Turcja lub Czechy) – wiele. Często w nazwie mają zastrzeżenie, że są przeznaczone tylko dla kobiet. „Co zrobiła z twarzą Małgorzata Rozenek? Na pewno *lip lift*, ale widać, że coś jeszcze. Co to mogło być?" – czytam na jednej z nich. Post ilustruje zdjęcie Rozenek z Instagrama. Inna użytkowniczka pyta o rozmiar implantu piersi Natalii Siwiec. Inspiracją bywają też Angelina Jolie, Ariana Grande, Kim Kardashian, Kylie Jenner czy Doda. Na grupach padają pytania o konkretne kliniki, w których operowały się celebrytki, takie jak Laluna czy EwelOna z programu *Warsaw Shore*. „Skoro celebrytki tam latają, to pewnie jest dobra" – czytam w jednym z wpisów o klinice z Turcji. To założenie nie jest jednak słuszne, grupa szybko wyprowadza pytającą z błędu: „Celebrytki tam latają, bo mają operacje w barterze"; „Jak lekarza polecają instagwiazdeczki, trzeba się od tego trzymać jak najdalej" – odpisują kolejne kobiety.

Gdy piszę ten artykuł, plotkarskie portale aż huczą od doniesień o operacji twarzy Krzysztofa Gojdzia, lekarza medycyny

eprasa.pl fc0d95e1fd

estetycznej, który na co dzień poprawia urodę celebrytów. Nie przeprowadza jednak operacji, ale stosuje zabiegi nieinwazyjne – ostrzykiwanie kwasem hialuronowym, botoksem, oferuje też autorskie specyfiki mające odmładzać skórę. Za operację u doktora Piotra Osucha, swojego kolegi z roku podczas studiów na medycynie, Gojdź zapłacił – jak mówi – 150 tysięcy złotych.

– Chirurg plastyczny i lekarz medycyny estetycznej powinni ze sobą współpracować – tłumaczy mi Gojdź miesiąc po zabiegu. Łączy się ze mną z Miami, gdzie mieszka na co dzień. – Zanim zaproponuję moim pacjentom jakiekolwiek zabiegi z zakresu medycyny estetycznej, zawsze wszystkie wypróbowuję na sobie. Tak samo z chirurgią plastyczną. Stwierdziłem, że wiek 50+ to czas, kiedy można rozważyć chirurgię plastyczną i wykonać zabieg po to, żeby zobaczyć, jak ten zabieg wygląda i jak przebiega rekonwalescencja – uzupełnia.

Z kłębiącymi mi się w głowie pytaniami, czym dokładnie różni się medycyna estetyczna od chirurgii plastycznej, próbuję zmierzyć się, przeglądając opublikowaną w 2022 roku pracę doktorską Anny Figiel, socjolożki i antropolożki z Uniwersytetu Łódzkiego, poświęconą tej pierwszej dziedzinie. Krótko mówiąc: medycyna estetyczna, wbrew nazwie, nie jest specjalizacją medyczną. Dlatego może zajmować się nią lekarz dowolnej specjalności, na przykład ortopeda, dermatolog, a także lekarz bez żadnej specjalizacji (który ukończył tylko sześcioletnie studia medyczne). Co więcej, ponieważ jest to dziedzina wciąż prawnie nieuregulowana, zajmują się nią także nielekarze, na przykład kosmetyczki czy kosmetolożki. I nie tylko. Z książki reporterskiej *Naciągnięte. Jak Polki uwierzyły, że tylko piękne będą szczęśliwe* Elżbiety Turlej i wywiadów z ekspertami z branży, które odsłuchuję w archiwalnych audycjach Tok FM, dowiaduję się, że zabiegami tego typu zajmują się często także osoby zupełnie przypadkowe, na przykład księgowe po kilkudniowych kursach. Tymczasem wizyta w gabinecie oferującym zabiegi ostrzykiwania kwasem hialuronowym czy botoksem wykonywane przez osoby niemające wiedzy medycznej może wiązać się z wieloma niebezpieczeństwami. Przykłady? Od kwasu hialuronowego wstrzykniętego u nasady nosa można nieodwracalnie stracić wzrok, może dojść do zatkania naczyń krwionośnych i martwicy skóry. Bardzo niebezpieczne są też tanie, niskiej jakości preparaty zamawiane na przykład przez AliExpress z Chin.

Pierwszą w historii polskiego prawodawstwa próbą uregulowania statusu branży medycyny estetycznej są obowiązujące od czerwca 2024 roku przepisy, według których lekarze zajmujący się tą dziedziną mogą uzyskać specjalny certyfikat wydawany przez Centrum Medyczne Kształcenia Podyplomowego. Aby go otrzymać, trzeba udokumentować minimum trzyletnie doświadczenie w branży, mieć na koncie wymaganą przepisami liczbę zabiegów i zdać egzamin. Posiadanie certyfikatu nie jest jednak obowiązkowe, by nazywać się lekarzem medycyny estetycznej. Wciąż też zgodnie z prawem gabinety medycyny estetycznej mogą prowadzić nielekarze, co wynika przede wszystkim z faktu, że nie zostały jasno określone granice tego, które zabiegi są inwazyjne, a które nie.

Z badań przeprowadzonych na potrzeby dysertacji przez Annę Figiel wynika, że właśnie przez ten prawny galimatias w środowisku medycznym lekarz medycyny estetycznej cieszy się mniejszym prestiżem niż chirurg plastyczny. Choć często ci pierwsi doskonale zarabiają. Inne wnioski? – Idąc do lekarza medycyny estetycznej, kobieta staje się nie tylko klientką, jak w przypadku wizyty u kosmetologa, lecz także pacjentką. Niedoskonałości skóry, wąskie usta czy cellulit, skoro zajmuje się nimi lekarz, zaczynają być postrzegane jako jednostki chorobowe. To bardzo niepokojąca tendencja – ocenia Figiel.

Zabiegi medycyny estetycznej nie są jednak wpisane na listę świadczeń zdrowotnych, mimo że często poważnie ingerują w ciało. Zresztą właśnie fakt, że nie jest to leczenie, wpływa na popularność świadczenia takich usług przez osoby niebędące lekarzami. W razie problemów, gdy sprawa trafi do sądu, mogą one zawsze tłumaczyć się swoją niewiedzą i tym, że nielekarze są od przeprowadzania zabiegu, a lekarze – od ewentualnych powikłań. Problem polega na tym, że często, na przykład w przypadku podania hialuronidazy (specjalny enzym pozwalający rozpuścić kwas hialuronowy), która ma uchronić pacjentkę przed utratą wzroku w wyniku błędnego wstrzyknięcia kwasu hialuronowego, o skuteczności takiego ratunku mogą zadecydować minuty. Dlatego lekarze od wielu lat apelują do prawodawców o ograniczenie możliwości wykonywania takich zabiegów przez osoby do tego nieuprawnione.

Zabieg, któremu doktor Gojdź poddał się u doktora Osucha, *deep plane lift*, na polski tłumaczy się jako głęboki lifting twarzy. „Głęboki", bo obejmuje nie tylko skórę, lecz również warstwy podskórne, w tym powięź. W 2025 roku taki sam, za 135 tysięcy dolarów, przeszła Kris Jenner, 69-letnia amerykańska bizneswoman, matka Kim Kardashian, znana z rodzinnego reality show *Z kamerą wśród Kardashianów*. Gojdź w chwili operacji był znacznie młodszy – miał 52 lata. Twierdzi, że dzięki temu uda mu się dłużej utrzymać efekt. – Pamiętajmy, że medycyna estetyczna ma swoje granice, jeśli chodzi o poprawę wyglądu, bo to głównie poprawa kondycji skóry, jej ujędrnienie, lekkie napięcie czy obkurczenie. Natomiast w pewnym wieku, kiedy już

eprasa.pl fc0d95e1fd

widoczne są „chomiki", czyli tak naprawdę u kobiety 47+, u faceta 50+, medycyna estetyczna zaczyna być bezradna i trzeba rozważyć chirurgię – dodaje. Podkreśla przy tym, że jakość zabiegu, któremu się poddał, jest porównywalna do tych wykonywanych u celebrytów w Stanach. – Piotr Osuch jest osobą, która szkoliła się dokładnie z tymi samymi chirurgami, którzy operowali Kris Jenner, Brada Pitta czy wiele innych gwiazd Hollywood – podkreśla. Jak chcą „robić się" Amerykanie? – Mam kliniki w czterech stanach: w Kalifornii, na Florydzie, w Nowym Jorku i Illinois. W każdym z nich jest totalnie inne podejście do urody. Nowy Jork stawia na wygląd bardziej naturalny, w Miami panuje moda na przerysowanie: duże pośladki, duże usta, Beverly Hills nastawia się bardziej na chirurgię plastyczną niż medycynę estetyczną, ale to się zmienia, pracuję nad tym – relacjonuje. Kliniki Gojdzia: w Chicago, Nowym Jorku, Miami i Beverly Hills, a od niedawna także w Warszawie to pop-upy – przyjeżdża do nich na trzy dni raz na kilka tygodni i wraz ze swoim zespołem przyjmuje dziennie od 20 do 30 pacjentów. W Beverly Hills i Los Angeles tworzy prywatne kliniki SPA w domach gwiazd i producentów.

Psycholog zamiast operacji?

FACEBOOKOWE GRUPY wsparcia gromadzą po kilkadziesiąt tysięcy osób, od nastolatek po emerytki, które z detalami opisują swoje doświadczenia, dołączając fotki „przed i po". W przypadku powikłań zdjęcia bywają drastyczne. Pomiędzy prośbami o pomoc w doborze rozmiaru implantu, narzekaniami na papuzi nos, nazwiskami kolejnych specjalistów polecanych i odradzanych pojawiają się wyznania, takie jak: „biorę kredyt na lifting", rozważania, czy da się zapłacić za operację w ratach zero procent i czy psycholog lub psychiatra może wydać skierowanie na operację powiększenia piersi osobie mającej na ich punkcie ogromny kompleks.

Na grupach wirtualnie spotykają się ze sobą kobiety, dla których ich operacje były warte każdej wydanej złotówki, oraz te będące w społeczności tylko po to, by ostrzegać przed zabiegami inne. Jak Natalia. Jest przekonana, że gdyby znała grupy wsparcia wcześniej, uchroniłoby ją to od wyjazdu do przyjmującego w Czechach lekarza, którego nazwisko wymienia teraz z goryczą. Nazwijmy go X. Rzeczywiście w grupach są archiwalne i bardziej współczesne ostrzeżenia przed nosami u X. Ale są i rekomendacje. Trudno stwierdzić, czego jest więcej.

– W ogóle jak widzę te wszystkie dziewczyny, to często mam ochotę im napisać po prostu: nie rób tego. Jesteś piękna, nie potrzebujesz tego – podsumowuje Natalia. Takie komentarze pojawiają się czasem pod postami, których autorki szukają chirurga mimo braku zauważalnych defektów urody. Na przykład w opisie zdjęcia twarzy z małym, zgrabnym nosem pada pytanie, co z nim zrobić i u kogo. Większość komentujących jest tym pytaniem zaskoczona. „Masz idealny nos!"; „Chciałam pytać, kto ci tak go ładnie zrobił!" – odpisują. Część osób mimo wszystko doradza chirurgów, poucza też resztę grupy, że autorka nie pytała o opinie, ale o nazwiska. Ale są też komentarze sugerujące u niej zaburzenie psychiczne. „Tu nie z nosem jest problem, lecz z głową"; „Tu psycholog potrzebny, a nie plastyka nosa" – czytam.

– Dysmorfofobia, znana też jako cielesne zaburzenie dysmorficzne, to zaburzenie, w którym człowiek przejawia bardzo duże niezadowolenie z własnego ciała i poświęca mu nadmierną uwagę. Polega na postrzeganiu swojego ciała jako wyglądającego na znacznie bardziej zniekształcone, niż jest ono w rzeczywistości – wyjaśnia doktorka Katarzyna Wiecheć, psycholożka, psychoterapeutka poznawczo-behawioralna z Uniwersytetu SWPS. Zaznacza, że zaburzenie to może dotyczyć zarówno jednej części ciała, jak i wielu naraz. – Osoby z dysmorfofobią dużo mówią o dyskomforcie, jaki odczuwają, spoglądając w lustro. Część z nich z tego powodu unika patrzenia na siebie, część przeciwnie, często kontroluje w lustrze, czy nie powiększył im się nos. Bo u takich osób postrzeganie ciała zmienia się w zależności od dnia, a czasem i w ciągu doby – tłumaczy Wiecheć. Zaznacza też, że zaburzenie to często prowadzi do licznych operacji plastycznych (korekta niechcianej części ciała wcale nie poprawia jego oceny), często uniemożliwia też tworzenie trwałych, bliskich relacji, prowadzi do depresji, myśli samobójczych, a nawet samobójstw. Leczone jest psychoterapią oraz farmakoterapią – bez interwencji specjalistów na pewno nie ulegnie poprawie.

Szacuje się, że dysmorfofobia dotyka około 2 procent ludzi na świecie, częściej kobiet niż mężczyzn, w większym stopniu też narażeni są na nie pacjenci gabinetów dermatologicznych (9–15 procent),

eprasa.pl fc0d95e1fd

chirurgii plastycznej (3–16 procent), ortodontycznych (8 procent) oraz stomatologicznych i chirurgii szczękowej (10 procent). Osoby z dysmorfofobią nierzadko wycofują się z życia zawodowego i towarzyskiego, cierpią na zaburzenia lękowe, depresyjne. Dysmorfofobia wiąże się z dużym ryzykiem samobójstw. Z badań wynika, że myśli samobójczych doświadcza nawet trzy czwarte osób dotkniętych tym zaburzeniem, a 3–63 procent (zależnie od badanej grupy) podejmuje próby samobójcze.

Doktor Jankau szacuje, że na zaburzenia dysmorficzne cierpi aż 15–20 procent osób, które się do niego zgłaszają. – Staram się im delikatnie sugerować, żeby najpierw spotkały się z psychologiem czy psychiatrą i wyprostowały problem emocjonalny, który stoi za tym, że chcą się poddać zabiegowi – tłumaczy. I zaraz dodaje, że takich pacjentów lepiej dyskwalifikować i nie operować, niż później „do końca życia mieć z nimi problemy". – Zawsze będą niezadowoleni, cokolwiek byśmy zrobili.

– Jeżeli w gabinecie pojawia się pomysł, żeby wykonać operację plastyczną, zgłębiamy z pacjentem, z czego on wynika. Czy nos ma zostać zoperowany dlatego, że pacjentka czuje się z jego powodu bezwartościową osobą? A może dlatego, że krytykowali go jej bliscy, już od dzieciństwa? – mówi doktor Wiecheć. – Zastanawiamy się z pacjentami, czy potrafią stawiać bliskim granice, jasno komunikować, że nie życzą sobie pewnych komentarzy. Jeśli ktoś nie ma wypracowanych takich strategii, to po operacji nadal będzie bardzo wrażliwy na opinie innych i istnieje duże ryzyko, że na jednym zabiegu się nie skończy. Zwłaszcza gdy w jego otoczeniu normy dotyczące ingerencji w ciało stale się przesuwają. Są środowiska, w których na porządku dziennym są rozmowy o tym, gdzie kto się operował, za ile i jak dobrze się dzięki temu czuje.

W jednej z grup wsparcia poznaję Ewę, hodowczynię psów z południowej Polski po czterdziestce. Zdecydowała się na wyjazd do Turcji pod wpływem nagabywań mocno już „zrobionej" koleżanki, choć od dwóch lat nie widziały się na żywo, mieszkają w różnych częściach kraju. – Ona mnie tak cały czas dołowała, że źle wyglądam, wypominała na przykład, że mam „chomiki", radziła, żebym zrobiła sobie botoks. Mnie się wydawało, że wyglądam dobrze, ale kiedy ktoś ci tak mówi w kółko, to zaczynasz się zastanawiać – opowiada Ewa. W końcu zdecydowała, że polecą we dwie do Turcji i powiększą sobie piersi. Koszt zabiegu razem z lotami w obie strony w sierpniu 2024 roku wyniósł 17 tysięcy złotych.

Koszt zabiegu jednej z bohaterek reportażu w 2024 roku wyniósł 17 tysięcy złotych. Na tę kwotę złożyły się: przelot w obie strony, operacja powiększenia biustu, trzy dni w klinice na obserwacji, kilka nocy w drogim hotelu. W cenie są także bolesne powikłania pooperacyjne.

Ponieważ koleżanka Ewy spóźniła się na samolot, na żywo zobaczyły się dopiero na miejscu. Ewę ten widok zadziwił. – Wiesz, ona naprawdę tak wyglądała, jakby miała zaraz pęknąć. Taka sztuczna, taki Michael Jackson – opowiada. Później wygląd jej koleżanki komentowały też poznane na miejscu Polki, które również przyjechały na powiększanie piersi. – Wszystkie powiększałyśmy, ale one robiły to już po raz kolejny. Miały trzysta pięćdziesiątki i robiły sobie sześćsetki – precyzuje Ewa, podając wielkości implantów w mililitrach. Próbuję zorientować się, jak to się przekłada na wielkości miseczek staników, ale nie jest to takie proste – zależy od wzrostu, obwodu pod biustem, tego, ile naturalnego gruczołu znajdowało się pod implantem. Ewa zaznacza, że to były kobiety wysokie, przy kości, więc mogły sobie na „cycory" pozwolić. Ale dodaje też, że jedna z nich powinna raczej zacząć od liftingu twarzy i szyi. Zwróciła jej uwagę, że na szyję pomogą stymulatory. – Stymulatory, czyli…? – pytam. Z kolei Ewa pyta mnie, ile mam lat. Dość ostrym tonem. Na tyle ostrym, że coś przestawia mi się w głowie i podaję liczbę zaniżoną o dwa lata. Zdaję sobie z tego sprawę dopiero, gdy odsłuchuję nagranie naszej rozmowy. Jako 32-latce ignorancja zostaje mi wybaczona. – Stymulatory pobudzają produkcję kolagenu. I jak masz 30 lat, to mogłabyś sobie już je dawać w policzki, żeby ci nie opadały – radzi mi Ewa. Ona sama wstrzykuje sobie stymulatory co dwa, trzy miesiące od 20. roku życia. Robiła to najpierw u kosmetyczki, płacąc za zabieg około 1500 złotych, teraz już kupuje je przez internet i zastrzyki robi sobie sama. Mówi, że to żadna filozofia. Psy, które hoduje, też sama szczepi.

Ewa dodaje, że od 30. roku życia wstrzykuje sobie w czoło botoks. Zaczęła, bo przeszkadzała jej lwia zmarszczka. Zabiegi powtarza co cztery–sześć miesięcy, na każdy wydaje od 2 do 3,5 tysięcy złotych. Po rozmowie podliczam, ile ją to wszystko kosztuje, i wychodzi mi, że stymulatory (dopóki chodziła na nie do kosmetyczki) oraz botoks to koszt ponad 1000 złotych miesięcznie. Mnie na pewno nie byłoby na to stać, ale Ewa wydaje się urażona samym pytaniem, czy nie musiała kiedyś zrezygnować z zabiegów, bo przyszedł gorszy miesiąc. – Na takie rzeczy mam pieniądze – podkreśla.

Wróćmy do Turcji. Wyjazd na operację bardzo się Ewie spodobał. – Czujesz się tam jak w bajce, jak królowa życia. Na lotnisko podjeżdża po ciebie limuzyna, jedziesz od razu do kliniki, gdzie jest Polka, która się tobą zajmuje. Są też Turczynki, skaczą koło ciebie: przynoszą kawę, robią ci wszystkie potrzebne badania. Na drugi dzień masz operację, zostajesz trzy dni w klinice na obserwacji, a potem przenoszą cię do wypasionego hotelu, gdzie doba kosztuje 400–700 euro, a ty masz to w cenie – wymienia. Na miejsce, jak mówi, leciała zupełnie w ciemno. Było bardzo gorąco, zwłaszcza że Ewa i jej koleżanka poleciały do Turcji w sierpniu. Ewa wspomina, że na drugi dzień po operacji mogła już wstawać, ale pod piersiami miała przymocowane specjalne woreczki na kapiącą z nich limfę. Poszła z nimi na spacer nad morze, podziwiała widoki.

W przeciwieństwie do koleżanek z sali nie chciała mieć bardzo dużych piersi, chodziło jej raczej o to, by były „wysoko zawieszone" i krągłe. – Piersi piłeczki – opisuje. Wzorowała je na biuście Judyty Moćko. Obserwuje ją na Instagramie, rozważała

eprasa.pl fc0d95e1fd

zabieg w tureckiej klinice, w której ta pracuje, ale zraziła ją cena: 5 tysięcy euro. W Turcji źle zniosła znieczulenie („omal mi serce wykończyli środkiem przeciwbólowym"), ale poza tym z całej procedury była bardzo zadowolona. Po powrocie do Polski… – Nie tyle bolały mnie piersi, ile plecy. Bardzo źle się czułam, nie miałam sił, jak staruszka – opowiada. Uniemożliwiło jej to pracę z psami, których nie mogła kąpać. Później jeszcze piersi, mówi, „stwardniały jak kamienie". Po dwóch miesiącach powoli zaczęły pomagać masaże. – Teraz, kiedy już tak nie bolą, zaczynają mi się podobać, jestem zadowolona – mówi mi Ewa w maju 2025 roku, dziewięć miesięcy po operacji. – Ale gdybym wiedziała, że tyle czasu będę musiała się męczyć, nie wiem, czy bym to drugi raz zrobiła.

Doktor Jankau, gdy pytam go o dolegliwości mojej rozmówczyni, przypuszcza, że doszło u niej do powikłania zwanego „obkurczeniem torebki", które może wystąpić po wszczepieniu implantu. Chodzi o torebkę z tkanki łącznej wytworzoną przez organizm wokół implantu. W *Naciągniętych…* Elżbiety Turlej czytam, że tworząc ją, organizm broni się przed ciałem obcym – drzazgą, kawałkiem szkła czy właśnie implantem. Najpierw próbuje ten obiekt wchłonąć, rozpuścić, poddać fagocytozie (w uproszczeniu: zjeść), a jak to nie wychodzi, rozpoczyna proces inkapsulacji, czyli oddzielania od reszty organizmu tworem komórkowym w rodzaju torebki. Zapobiega w ten sposób przemieszczaniu się ciała obcego w głąb organizmu.

– Najprawdopodobniej z jakiegoś powodu ta torebka zrobiła się gruba, obkurczyła się na implancie. Rzeczywiście w takiej sytuacji piersi wyglądają i są odczuwane jak dwa kamienie włożone w klatkę piersiową – komentuje Jankau. Masowanie nie zawsze tu pomaga, bywa, że konieczny jest drugi zabieg chirurgiczny.

Gdy Ewa wysyła mi zdjęcie swoich piersi z komentarzem, że wyglądają naturalnie, „jak u 16-latki", zastanawiam się nad tym, jak różnie ludzie definiują naturalność. Na moje oko 16-latka z piersiami takimi jak na zdjęciu musiałaby także mieć je „zrobione". Co, dodajmy, czasem się zdarza. Na przykład w Ameryce Południowej.

Głupie mody

W BRAZYLII OPERACJE wśród nastolatek to norma. Piętnastoletnie dziewczynki dostają voucher od rodziny na chirurgiczne powiększenie piersi czy zmniejszenie nosa. Ja uważam to za totalne przegięcie – mówi doktor Gojdź. Gdy pytam o jego najmłodsze klientki, mówi mi o 16-, 17- i 18-latkach przyprowadzanych do gabinetów przez matki z zaleceniem, by im powiększył usta. Bo „są takie cienkie, brzydko wyglądają". – Zawsze w takich sytuacjach odmawiam, tłumaczę matkom, że tak nie można – podkreśla. – Co innego, kiedy córka ma rozstępy. Tu trzeba jak najszybciej zainterweniować, dopóki są czerwone, a nie białe, bo można je wtedy zredukować, a nawet całkowicie zlikwidować. Tak samo z trądzikiem czy z bliznami po nim. Im szybciej zaczniemy działać, tym lepszy efekt możemy uzyskać. Ale poprawianie urody w tak młodym wieku, uczenie tego, to jest, uważam, głupota.

W 2024 roku sześcioro Brytyjczyków zmarło w wyniku przeprowadzonych w Turcji operacji plastycznych, a od 2019 roku odnotowano łącznie 28 takich zgonów. Głos w sprawie tanich tureckich zabiegów zabrał nawet brytyjski minister zdrowia Wes Streeting.

Urodową głupotą, do której przyznaje mi się Moćko i której dziś żałuje, była dla niej wolumetria twarzy wykonana w wieku 26 lat. To zabieg medycyny estetycznej polegający na modelowaniu konturów twarzy za pomocą preparatów wypełniających, najczęściej na bazie kwasu hialuronowego. – Ten kwas powinien się z czasem wchłonąć i zniknąć, ale wstrzyknięty w młodą tkankę, która jest jędrna, mocno ją rozpycha. Przez to później skóra szybciej obwisa. I do tego cząsteczki kwasu hialuronowego ciągną wodę, twarz przez to puchnie. Przez jakiś czas miałam głowę jak dynia – opowiada.

Gdy pytam o inne głupie mody z przeszłości, Judyta podaje jako przykład *aquafilling*, „wodnisty żel, modny jakieś 10 lat temu", który „wżerał się w tkanki" [składał się głównie z soli fizjologicznej i hialuronianu sodu – przyp. red.]. Przed *aquafillingiem* ostrzega mnie też doktor Jankau. – Generalnie rzecz biorąc, zabiegi z użyciem botoksu czy kwasu hialuronowego są odwracalne, ich skutki prędzej czy później miną. Kwas hialuronowy jest degradowany, „znika", można odwrócić efekt, stosując enzym, hialuronidazę, szybko po podaniu. Problem pojawia się z różnego rodzaju dziwnymi substancjami, które pacjenci sobie wstrzykują, jak właśnie *aquafilling*. To są rzeczy, które niszczą organizm, a naprawianie tego jest bardzo trudne – ocenia. Modzie na *aquafilling* uległy między innymi influencerka Anna Skura, której lekarz medycyny estetycznej wypełnił tym preparatem piersi, i Anita Szymczak, zawodniczka bikini fitness, która poddała się ostrzyknięciu pośladków i wskutek zakażenia wylądowała w szpitalu z gangreną.

– Są też dziewczyny, które miały wypełniane piersi i pośladki kwasem hialuronowym. Często się zdarza, że ten kwas migruje. Z pośladków na nogi, z piersi na brzuch. W twarzy tak samo, na przykład po wolumetrii, ten kwas się przemieszcza. Chodzi o to, że on może jest podany troszkę głębiej w ciele, ale nie tak głęboko jak tłuszcz przy BBL-u czy implanty. Więc kiedy się poruszamy, preparat może migrować. I później się to czyści operacyjnie, ale to ciężki zabieg. Mamy teraz w klinice dziewczynę, której będziemy usuwać kwas hialuronowy z piersi i brzucha – opowiada Moćko.

Gojdź uzupełnia, że błędem i głupią modą jest też botoks wstrzykiwany sobie przez 20-latki w ramach profilaktyki. – Nie ma czegoś takiego jak profilaktyka zmarszczek w wieku dwudziestu paru lat. Zmarszczki pojawiają się po skończeniu 30 lat, więc tutaj botoks absolutnie nie ma sensu. Chyba że ktoś ma nawykowe marszczenie i bardzo głęboką lwią zmarszczkę. I faktycznie tutaj jedno czy dwa wstrzyknięcia botoksu mogą zmienić nawyki, czyli wykluczyć te związane z marszczeniem się – tłumaczy. Ostro krytykuje też nadużywanie stymulatorów tkankowych. – To największa

eprasa.pl fc0d95e1fd

estetyczna ściema, jaka się szerzy teraz w Polsce – ocenia.

A głupie mody w operacjach? Brytyjskie władze najwyraźniej zaliczają do tej kategorii operacje plastyczne w Turcji i ostrzegają przed nimi swoich obywateli – na przykład na rządowych stronach. Argumenty? W samym tylko 2024 roku sześcioro Brytyjczyków zmarło w wyniku przeprowadzonych w Turcji zabiegów, łącznie od 2019 roku odnotowano 28 takich zgonów. To między innymi 38-letnia Hayley Dowell, która zmarła w wyniku zabiegów BBL, liposukcji i plastyki brzucha; 26-letnia Demi Agoglia i 31-letnia Melissa Kerr zmarłe po błędnie wykonanych zabiegach BBL; 58-letnia Anne Towlson, do której śmierci doprowadziły komplikacje po plastyce ramienia wykonanej spontanicznie w Stambule tuż po liposukcji i plastyce brzucha. W listopadzie 2024 roku, na fali medialnych doniesień o kolejnych pokrzywdzonych, głos w sprawie tanich tureckich zabiegów zabrał brytyjski minister zdrowia Wes Streeting. Przed przedkładaniem ceny nad jakość ostrzegała także wielokrotnie profesorka Vivien Lees z Królewskiego Kolegium Chirurgów (Royal College of Surgeons), apelując o zaostrzenie regulacji.

Jako przykład głupiej mody w chirurgii plastycznej Judyta podaje wycinanie poduszek tłuszczowych z policzków, *buccal fat removal*. – Dziewczyny od pewnego czasu życzą sobie takich zabiegów, bo jakieś celebrytki wycinały i policzki im się przez to ładnie odznaczały – mówi. Jedną z takich celebrytek, jak sprawdziłam, była Laluna. – Często odmawiamy tej operacji, bo twarz wygląda później starzej, skóra szybciej wiotczeje. Bo starzenie tak naprawdę zaczyna się od skroni. Gdy w ich okolicach, w górnej części policzka zaczyna brakować tłuszczu, odsłania się struktura czaszki i wtedy już widzimy, że twarz zaczyna się starzeć. Dlatego jako pierwsze operacje odmładzające dla trzydziestoparolatków proponujemy przeszczepy tłuszczu pod oczy czy w okolice skroni. A więc odwrotny zabieg. Pozwala wyglądać młodziej i świeżej.

Pytam Judytę o „naturalność" *versus* „zrobienie". Kobiety szukające porad na temat piersi w grupach wsparcia dzielą się na te, którym – przynajmniej deklaratywnie – zależy na naturalności, oraz na stwierdzające wprost: „Naturalne piersi to ja już mam" i radzą innym: „Bierz większe, bo będziesz żałować". – Dużo dziewczyn mówi, że chce mieć porno cycki. Okrągłe, sztuczne balony. I ja też tak powiedziałam lekarzowi – przyznaje bez ogródek. Jest przekonana, że „porno cycki" zmieniły na korzyść jej samopoczucie, życie seksualne, podejście do świata.

—

W DYSKURSIE FEMINISTYCZNYM przez lata sporo się zmieniło – mówi mi doktorka Sandra Frydrysiak, kulturoznawczyni i socjolożka z Uniwersytetu SWPS, gdy opowiadam jej o temacie, nad którym pracuję. Zaczynamy od Naomi Wolf i jej *Mitu urody* (1991), w którym autorka pokazuje, że kanon piękna lansowany w mediach jest dla kobiet narzędziem opresji.

– Podporządkowując się temu kanonowi, a więc na przykład wykonując operacje plastyczne, ulegamy patriarchatowi, ponieważ

akceptujemy narzucone przez niego zasady, według których wartość kobiety zależy od wyglądu. Zamiast podważać system, który uprzedmiotawia kobiece ciało, same go wzmacniamy, wpisując się w logikę kontroli i dyscyplinowania ciała pod pozorem wolnego wyboru – mówi Frydrysiak. – To jest takie klasyczne, krytyczne, feministyczne podejście, charakterystyczne dla drugiej fali feminizmu. Ale już kilka lat później, w 1995 roku, w *Reshaping The Female Body* (*Przekształcaniu kobiecego ciała*) Kathy Davis [amerykańska socjolożka, ekspertka *gender studies* – przyp. O.K.] maluje znacznie bardziej zniuansowany obraz operacji plastycznych, zapowiadając niejako liberalniejsze podejście do tego zjawiska w kolejnych falach feminizmu. Davis przeprowadziła badania etnograficzne i wywiady z kobietami po operacjach piersi, z których wynikało, że pacjentki te nie uważały się za ofiary systemu patriarchalnego. Czuły się sprawcze i miały przekonanie, że te operacje rzeczywiście zniwelowały w ich życiu jakiś dyskomfort, i to nawet mimo powikłań.

Pytam o współczesność. – Dzisiaj, zgodnie z hasłem z lat 60. i 70. XX wieku „twoje ciało, twój wybór", ściśle związanym z walką o prawa reprodukcyjne kobiet, feminizm nie mówi nam, jak mamy żyć, działa tylko na rzecz wyboru. Ale też tłumaczy, czym te nasze wybory mogą być powodowane. I stawia pytania: w jakich warunkach, z jakich przyczyn i w jakim kontekście kobieta podejmuje decyzję o operacji plastycznej? Czy rzeczywiście mamy tu wybór, czy po prostu ulegamy presjom? – rozważa kulturoznawczyni. Przyznaje przy tym, że to jedno z tych pytań, na które nie ma łatwych odpowiedzi. – Na pewno współczesny feminizm podkreśla prawo do autonomii ciała i różnorodnych form ekspresji, ale warto też zwrócić uwagę na odpowiedzialność branży, która niejednokrotnie używa feministycznych haseł (w tym: „twoje ciało, twój wybór" czy nawet *body positivity*), by promować komercyjne ideały piękna. Nasz wybór powinien być zawsze dobrze przemyślany i powinnyśmy go poddać refleksji. Bo może być tak, że myślimy, że coś jest naszą własną potrzebą, że to nasz *self-care*, że robiąc to, realizujemy siebie, a tak naprawdę urzeczywistniamy ten kanon.

Anna Figiel zaznacza, że badane przez nią pacjentki w wywiadach bardzo dużo mówiły o celebrytach, którzy je inspirowali. – Wspominały, że chciałyby mieć usta jak Kim Kardashian czy Angelina Jolie, to się ciągle powtarzało. I oczywiście pośladki Ewy Chodakowskiej. Pokazywały zdjęcia: „a brzuch to taki bym chciała" – wymienia. W ocenie antropolożki takie podejście wskazuje na „społeczną fragmentaryzację ciała". – W środowisku osób związanych z medycyną estetyczną kobiety postrzegają się jak ciała pocięte na kawałki. Nie patrzą na siebie jak na wartościową całość, tylko jak na puzzle. Dopiero gdy każdy element będzie idealnie pasował, uznają siebie za w pełni wartościowe kobiety.

eprasa.pl fc0d95e1fd

Chłopak musi mieć włosy

—

DUŻO SIĘ MÓWI O TYM, że kobiety czują presję dotyczącą wyglądu przez media społecznościowe. Mężczyźni też czują taką presję. Nam również wyświetlają się w smartfonach aktorzy i influencerzy mający gęste włosy, dobrze zbudowani – mówi mi 34-letni Arek, pracownik branży IT. Wtóruje mu Maciek, 32-letni aktor, który – podobnie do Judyty – po udanym zabiegu w Turcji sam wszedł do branży i założył firmę organizującą wyjazdy na przeszczepy włosów do Stambułu. Rozmawiamy latem, trzy lata po przeszczepie włosów, na który wyjechał do Turcji. – W miarę, jak włosy mi odrastały, bardzo zwiększała się moja pewność siebie. Zacząłem regularnie trenować, wprowadziłem dietę, poprawiła się jakość mojego życia – tłumaczy Arek.

– Kiedy widzę kogoś z łysiną, od razu myślę, jak by wyglądał po przeszczepie – mówi Maciek.

Obaj moi rozmówcy zaczęli tracić włosy niedługo po 20. urodzinach. Obu ten stan rzeczy przeraził, obaj postanowili działać. – To jest taka moja zmora. Cała męska część mojej rodziny ma problem z łysieniem. Wujek, tata, brat. Tata, gdy szedł do ołtarza w wieku 23 lat, był już prawie całkiem łysy. Domyślałem się więc, że i mnie może czekać podobny scenariusz – mówi z uśmiechem Maciek.

Arka łysienie zaskoczyło. Dziś jego ponad 60-letni ojciec wciąż ma bujną fryzurę, podobnie wujek, brat mamy, i jego synowie. Arek, ledwo skończył liceum, zauważył, że włosy robią się coraz rzadsze. Powoli, stopniowo, ale konsekwentnie. – Ja i moja siostra od zawsze mieliśmy hopla na punkcie włosów. Jeszcze kiedy była nastolatką i opowiadała mi o swoich randkach, zawsze podkreślała, że to włosy są najważniejsze. Chłopak musi mieć gęste włosy. To mi siedziało w głowie – mówi.

Maćkowi, początkującemu aktorowi, dziś z bujną czupryną, zależało na włosach także dlatego, że były mu potrzebne w pracy. Jeszcze w szkole aktorskiej słyszał docinki, także od wykładowców, ale czarę goryczy przelał komentarz agentki, która odmówiła mu współpracy, bo „wygląda za staro na nastolatka, za młodo na ojca, nie ma jak go obsadzić". Dziś wspomina tę sytuację jako przełomowy moment w życiu.

U Arka kryzys przyszedł, gdy miał około 29 lat. – Pracowałem w służbach, przez osiem lat byłem w jednostce mundurowej. Był czas, że miałem tak duży stres w pracy, że wydawało mi się, że te włosy mi po prostu wypadły w ciągu, nie wiem, dwóch tygodni – mówi.

Maciek miał 22 lata, gdy zdecydował się rozpocząć leczenie łysienia. Zaczął od preparatów przepisanych przez dermatologa w Polsce: minoksydylu i finasterydu. – Minoksydyl to substancja czynna, która rozszerza naczynia krwionośne w skórze głowy. Kuracja tym lekiem wydłuża fazę anagenu, czyli wzrostu włosa, powstrzymuje degenerację mieszków włosowych i zwiększa gęstość włosów – wyjaśnia. A finasteryd? – To inhibitor enzymu 5-alfa-reduktazy, który przekształca testosteron w dihydrotestosteron – zaczyna Maciek, a ja go stopuję i proszę, by mówił bardziej zrozumiale. – Dihydrotestosteron to pochodna testosteronu, która powoduje miniaturyzację mieszków włosowych, czyli właśnie łysienie. Bo łysienie androgenowe nie polega tylko na tym, że włosów mamy coraz mniej, ale też na tym, że najpierw te włosy, które mamy, robią się coraz cieńsze, krótsze, a dopiero z czasem zanikają całkowicie.

Doktorka nauk medycznych Małgorzata Kolenda, specjalistka chirurgii plastycznej i członkini Międzynarodowego Towarzystwa Chirurgii Odtwórczej Włosów (International Society of Hair Restoration Surgery, ISHRS) oraz założycielka i obecna wiceprezeska Polskiego Towarzystwa Chirurgii Odtwórczej Włosów z Kliniki Kolasiński, z którą konsultuję słowa Maćka, precyzuje: – Cykl życia włosa dzieli się na trzy fazy: anagen, katagen, telogen. W trzeciej fazie mieszek włosowy odrzuca stary włos i zaczyna produkcję nowego, czyli wraca do fazy anagenowej. U osób łysiejących na pewnym etapie po telogenie nie następuje już faza anagenu. Ale zanim to się stanie, mieszek dalej produkuje włos, tylko coraz cieńszy, delikatniejszy, to stadium nazywamy miniaturyzacją. Ważne jest, by leczenie, na przykład minoksydylem czy finasterydem, rozpocząć dość wcześnie, jeszcze w początkowej fazie łysienia, żeby ten proces zahamować. Takie leczenie ma sens zwłaszcza u osób, które zaczynają łysieć w bardzo młodym wieku.

– Finasteryd u większości mężczyzn powstrzymuje łysienie w około 70–80 procentach. Ale nie sprawi, że włosy odrosną tam, gdzie już wyłysieliśmy – mówi Maciek. I opowiada mi o mezoterapii z osoczem bogatopłytkowym (*Platelet-Rich Plasma*, PRP), której również próbował. Internet podpowiada mi, że takie zabiegi są często

eprasa.pl fc0d95e1fd

stosowane w medycynie estetycznej, nie tylko na skórę głowy. PRP polega na pobraniu krwi od pacjenta, następnie odwirowaniu jej w celu oddzielenia osocza bogatopłytkowego i wstrzyknięciu tej frakcji w skórę głowy – w miejscach, gdzie włosy uległy przerzedzeniu. Takie działanie ma pobudzić wzrost włosów, wzmocnić je, zatrzymać wypadanie. Koszt jednego zabiegu w Warszawie to od około 450 do nawet 1200 złotych.

Arek, po kryzysie w pracy, też próbował ratować się mezoterapią osoczem. Mieszkał wtedy na Podkarpaciu, po znajomości miał tam zabiegi po 300 złotych. Po przeprowadzce do Warszawy zaniedbał pobudzanie włosów własną krwią i wrócił do punktu wyjścia.

– Zanim zdecydowałem się na operację, próbowałem to łysienie zaakceptować. Znalazłem na YouTubie kanały łysiejących mężczyzn ze Stanów i Szwecji. Namawiali, żeby zgolić się całkiem na łyso. Bo najgorzej jest ciągle myśleć o tym, jak to ukryć. A wielu mężczyzn to robi. Zaczesuje, zakrywa czapką, montuje systemy, czyli dokleja sobie włosy – wylicza. Idąc za radą influencerów, Arek zgolił się na łyso, ale nie był w stanie zaakceptować się w takiej odsłonie.

Maciek zaznacza, że niechirurgiczne metody przynosiły mu tylko krótkotrwałe, ograniczone efekty. – W końcu mówię: dobra, przeszczep. Nie mam wyjścia. Chociaż też nie miałem na to w ogóle kasy. Polska odpadała na starcie, przez koszty. Za taki sam zabieg, na jaki tu musiałbym wydać 30 tysięcy złotych, w Turcji wychodziło 7–10 tysięcy ze wszystkim – wspomina Maciek. Żeby zarobić na operację, wyjechał do Holandii, całe wakacje szczepił na akord drzewka owocowe.

Arka do zabiegu namówiła żona. Zainspirował ją do tego znajomy z pracy. Sam przeszedł właśnie taką operację, opowiadał o niej otwarcie. Arek zdecydował się na tę samą klinikę co on. Zapłacił 2,5 tysiąca euro, w tym było już zakwaterowanie na miejscu dla niego i żony, musiał tylko dokupić bilety lotnicze. W sumie zamknęli się w około 15 tysiącach złotych. – W tej klinice mieli na stronie internetowej trzy numery: do osoby anglojęzycznej, hiszpańskojęzycznej i francuskojęzycznej. Człowiek, który odebrał ten pierwszy numer, przeprowadził mnie przez cały proces. Wysłałem mu zdjęcia, które skonsultował z lekarzami, na tej podstawie dostałem wycenę – relacjonuje Arek.

Maćkowi w organizacji zabiegu pomogła ciocia kolegi, już wtedy pracująca w branży. Dowiedział się o niej z Facebooka, gdy zapytał znajomych o doświadczenia w temacie.

Przeszczep włosów w Polsce to wydatek około

30 tysięcy złotych.

W Turcji ta sama operacja kosztuje

7-10 tysięcy złotych

ze wszystkim.

Obaj moi rozmówcy przeszli operacje wykonane w technice DHI (ang. *Direct Hair Implantation*). To odmiana techniki FUE (ang. *Follicular Unit Extraction*), którą stosuje doktorka Kolenda. – Technika FUE polega na pobieraniu drobnych fragmentów pełnej grubości skóry wraz z mieszkami włosowymi z tyłu głowy, okolicy potylicznej, zwanymi przeszczepami, a z języka angielskiego graftami, i przenoszeniu ich w miejsca biorcze, czyli pozbawione włosów. W zależności od stopnia łysienia są to zakola, przednia część czołowa czy też centralna część głowy. Jeszcze do dziś stosuje się starszą metodę STRIP, która polega na wycięciu paska skóry owłosionej z tyłu głowy, następnie podzieleniu go na drobne fragmenty, czyli przeszczepy, i kolejno wszczepieniu ich w miejsca biorcze. Technika FUE pozostawia dużo mniejsze ślady z tyłu głowy, a drobniejsze przeszczepy, średnicy 0,8 i 0,9 milimetra, pozwalają na uzyskanie lepszej gęstości i większej naturalności z przodu – wyjaśnia. Technika DHI od techniki FUE różni się użyciem innego rodzaju narzędzi, ale zasada działania jest taka sama – przenosi się przeszczepy z tyłu na przód.

Arek i Maciek, obaj bardzo zadowoleni z efektów zabiegów, pokazują mi zdjęcia „przed i po". – Zobacz, jakie miałem zakola! Tu jest około 4100 graftów wszczepionych w zakola i też w tonsurę, czyli w koronę – mówi Maciek. Grafty wszczepia się w znieczuleniu miejscowym. U obu moich rozmówców cała procedura – pobranie i wszczepienie – trwała około 8 godzin. Arek, któremu wszczepiono 4200 graftów, zapamiętał, że oprócz lekarza w operacji uczestniczyło osiem pielęgniarek. – Pracowali jak maszyny. Doktor pobierał grafty, pielęgniarki wkładały je do specjalnych strzykawek, które wyglądały jak długopisy [narzędzie charakterystyczne dla DHI – przyp. O.K.]. Potem już inny doktor, bo w międzyczasie się zmienili, te grafty wstrzykiwał – wspomina. – Ani doktor, ani pielęgniarki nie mówili po angielsku, dlatego co jakiś czas wpadał mój opiekun i tłumaczył. Mieliśmy z doktorem umowę, że na hasło *pain* dodaje mi znieczulenia – dorzuca.

W Klinice Kolasiński techniką FUE operuje dwoje chirurgów: doktor Kolasiński, właściciel kliniki, którą założył 41 lat temu, oraz doktorka Kolenda, która ma już 32 lata doświadczenia. W placówce tej wykonuje się średnio od 250 do 300 przeszczepów w roku. Zabieg tej skali co Arka i Maćka (około 4 tysięcy graftów) trwa tu blisko 10–12 godzin i kosztuje około 45 tysięcy złotych. Są też mniejsze zabiegi – przy pokrywaniu samych zakoli (1500–2000 graftów) czy blizn (na przykład 600 graftów).

– Podczas zabiegu przeszczepu włosów pomagają mi dwie pielęgniarki, jedna przy pobieraniu przeszczepów, druga przy ich wprowadzaniu. Zgodnie z etyką lekarską pacjent powinien być cały czas operowany pod kontrolą i z udziałem lekarza, który go operuje, ale też wiem, że nie zawsze tak to wygląda – mówi doktorka Kolenda. – W Turcji na przykład często zdarza się, że pacjenci operowani są nie przez lekarzy, ale przez specjalnie przeszkolonych techników – dodaje. Zaznacza, że i ona, i doktor Kolasiński dobrze się orientują w temacie zagranicznych praktyk w branży jako przedstawiciele Polskiego Towarzystwa Chirurgii Odtwórczej Włosów i działacze jego międzynarodowego odpowiednika (wspomniane wcześniej ISHRS). Ta ostatnia instytucja w 2025 roku zainicjowała globalną kampanię informacyjną *Fight The FIGHT* (skrót od Fight the Fraudulent, Illicit & Global Hair Transplants), która próbuje zwalczać turecki czarny rynek.

eprasa.pl fc0d95e1fd

Doktorka Kolenda przyznaje, że w Turcji są też rzetelni, uczciwi specjaliści. Jak odróżnić jednych od drugich? – Należy wcześniej sprawdzić klinikę, w której ma się odbywać operacja. Czy ma porządną stronę internetową? Czy zabieg wykonuje lekarz, czy będzie przez cały czas obecny przy zabiegu? – wymienia. Z własnej praktyki zna powikłania, z jakimi mierzą się pacjenci po błędnie wykonanych przeszczepach włosów. – Często spotykamy różnego rodzaju infekcje, a nawet martwicę skóry… – potwierdza. Pytam o szczegóły. – Martwica polega na tym, że pewien obszar skóry ulega niedokrwieniu. Przyczyny tego stanu mogą być różne, na przykład infekcja bądź umiejscowienie przeszczepów za gęsto lub za głęboko. Jest to poważne powikłanie, gdyż w tym miejscu, po jego wyleczeniu, włosy już nie odrosną – tłumaczy.

Wróćmy do Arka i Maćka. Jak prze trwali proces gojenia i rekonwalescencję? – W pierwszych dniach wszystko jest ekstremalnie wrażliwe, trzeba bardzo uważać, żeby tych graftów nie uszkodzić. Śpi się tylko na siedząco, podkłada pod kark specjalną poduszkę, nie można nawet ręką przejechać głowy, bo grafty zostałyby na ręce – relacjonuje Arek. Maciek pokazuje mi instrukcje z ostrzeżeniami „przed i po", które rozdaje klientom wybierającym się do Turcji na przeszczep. I tak na przykład przez co najmniej tydzień przed i tydzień po nie wolno pić alkoholu, kawy, herbaty, przyjmować leków rozrzedzających krew. Pięć dni przed zabiegiem i 10 dni po nim trzeba przestać palić papierosy, ewentualnie ograniczyć się do dwóch, trzech sztuk dziennie. Do tego przez 12 dni po zabiegu nie wolno nosić czapek, kapturów ani innych nakryć głowy, zaleca się za to noszenie rozpinanych koszul i bluz. Jeśli jest lato, przez trzy tygodnie unika się słońca, jeśli zima – przez tydzień. Aktywności seksualne można podejmować po 10 dniach. Na saunę można iść po 14, na siłownię i na basen po 21 dniach. Do tego trzeba brać antybiotyk, lek przeciwobrzękowy, osłonowy, przeciwbólowy. Włosy można umyć dwa dni po zabiegu, robi się to za pomocą specjalnej pianki i dopiero potem szamponu. Nie wolno przy tym głowy trzeć, nie wolno pianki ani szamponu wcierać, nie wolno ustawiać wysokiego ciśnienia wody.

Konsultuję te informacje z doktorką Kolendą. – Według naszych zaleceń przez trzy dni pacjenci nie myją głowy, tylko spryskują ją solą fizjologiczną, którą od nas dostają, a dopiero czwartego dnia myją głowę delikatnie, bez pocierania. Od piątego dnia zaczynają masować skórę oliwką – proszę pacjentów, by wmasowali ją, odczekali chwilę, po czym umyli głowę, jednocześnie ją masując. Co do nakrycia głowy, to dajemy naszym pacjentom specjalne czapki z daszkiem, które pozwalają ukryć przed światem swój wygląd, co może być w tym okresie ważne. Prosimy ich też, by nie jechali do ciepłych krajów, nie wystawiali się na słońce, nie zakładali kasku narciarskiego i nie jeździli zaraz po przeszczepie na nartach – wymienia. Takie ograniczenia obowiązują od dwóch do czterech tygodni po operacji.

Większość klientów przeszczepiających włosy w Polsce to mężczyźni w wieku 25–45 lat. Ale zdarzają się nawet 70-letni. Wiek kobiet, które zgłaszają się na taką operację, zależy od przyczyny wypadania włosów i potrzeb wynosi od 20. do nawet 65. roku życia.

– Pierwszej nocy, gdy znieczulenie zaczęło schodzić, dostałem zawrotów głowy i było mi niedobrze. W końcu pobiegłem do łazienki zwymiotować. Strasznie się przy tym bałem, że przypadkiem dotknę głową deski klozetowej, bo byłoby po wszystkim – opowiada Arek. – Przez pierwsze dwa dni po zabiegu skóra głowy wygląda jak rozwalona galaretka. Potem w miejscu każdego grafta wychodzą takie białe grudki, jak po wyciśnięciu wągra. Potem robią się z nich strupy – ciągnie.

– Strupki odpadają po 7–10 dniach. W tym czasie nie należy uprawiać sportów, ważne jest, żeby nie uderzyć się w głowę. Nie wolno korzystać z basenu i sauny, aby nie doszło do infekcji. Pamiętajmy, że jeżeli mówimy tutaj o czterech tysiącach przeszczepów, to mamy cztery tysiące ranek z tyłu i cztery tysiące ranek z przodu głowy, czyli tam, skąd przeszczepy pobieramy, i tam, gdzie je wprowadzamy. Głowa jest pokłuta, obrzęknięta i nieczuła. Pacjenci często mają wrażenie, jakby mieli na niej kask lub garnek. Trudniej im wtedy oceniać odległości, zdarza się, że ktoś uderzy się w głowę, co może spowodować, że kilka przeszczepów wypadnie, a skóra zacznie krwawić – tłumaczy doktorka Kolenda.

– Po tygodniu zmywasz te strupy i widzisz efekt. Nagle masz idealną linię włosów, wszystko jest perfekcyjne. Mija tydzień, dwa i… te włosy zaczynają wypadać. Uprzedzali nas w klinice, że tak będzie, że wypadną i odrosną dopiero po trzecim miesiącu, ale to i tak jest koszmarne uczucie. Większość facetów wpada wtedy w paranoję, ja też wpadłem. Może się gdzieś otarłem, może coś źle zrobiłem? – wspomina Arek. Jednak po trzech miesiącach włosy faktycznie zaczęły odrastać, a pełny efekt zabiegu mógł podziwiać po 8–10 miesiącach, zgodnie z tym, co zapowiadano w klinice.

Doktorka Kolenda potwierdza to, co słyszę od mojego rozmówcy. – Najpóźniej do dwóch tygodni po przeszczepie odpadają strupki, potem chwilę jeszcze mieszki włosowe się aklimatyzują, goją, po czym mieszek wyrzuca stare włosy, zwykle trzy, cztery tygodnie po operacji. Z reguły trwa to dwa, trzy miesiące. Potem zobaczymy przebijające się przez skórę nowe włosy – wyjaśnia.

Na fali radości z własnego przeszczepu Maciek zaczął najpierw organizować takie wyjazdy hobbystycznie, dla znajomych i ich znajomych, a potem rozkręcił z tego pośrednictwa biznes. Na stronie jego działającej od 2022 roku firmy czytam, że Maciej Babicz jest „ekspertem w dziedzinie przeszczepów włosów". Pisze tak o sobie, bo interesował się tym tematem od wielu lat, jeszcze przed podjęciem decyzji o przeszczepie, a teraz nieustannie się dokształca, choć formalnego wykształcenia w tym kierunku nie ma żadnego. Przeglądam zamieszczone na stronie zdjęcia „przed i po". Na pierwszym mamy samego Maćka, a potem jego zadowolonych klientów. Kilkoro z nich przystępowało do zabiegu tylko z zakolami, przeszczepiano im 2–3,5 tysięcy graftów, większość dostała jednak 4 tysiące i więcej, rekordzista nawet 6 tysięcy. Poza

eprasa.pl fc0d95e1fd

tłumaczeniem procesów łysienia oraz pośrednictwem między pacjentami a lekarzami Maciek załatwia też noclegi, a nawet bilety lotnicze.

Bywa, że jedna operacja nie wystarczy. – Łysienie androgenowe to choroba przewlekła, czyli nie można jej wyleczyć, i ona postępuje. To, jak intensywnie postępuje, jest uwarunkowane genetycznie. U niektórych mężczyzn dojdzie tylko do zakoli i nie pójdzie dalej, wtedy jeden przeszczep robi robotę. Ale są też osoby, które w genach mają łysienie na całym skalpie, i to w młodym wieku – dodaje Maciek.

Łysienie androgenowe to najczęstsza przyczyna utraty włosów. – To problem genetyczny, tak jak cukrzyca, nadciśnienie, wiele nowotworów. Rzeczywiście możemy je określić jako chorobę przewlekłą, bo ona się nie cofnie. Łysienie jest procesem ciągłym, jeżeli nic z nim nie zrobimy, to w zależności od tego, jak dana osoba ma zakodowane łysienie w genach, tak ono będzie wyglądało – tłumaczy doktorka Kolenda. Dodaje, że wbrew odnoszącej się do mężczyzn nazwie ten typ łysienia dotyka także kobiet, obok innych jego przyczyn – w wyniku problemów występujących po ciąży czy menopauzie. Łącznie kobiety u doktorki Kolendy stanowią 35 procent klientów, u Maćka 10.

– Do mnie zgłaszają się już nawet 19-, 20-latkowie – mówi Maciek. – Bywa, że przez łysienie są szykanowani w szkole, bywa, że ich rodzice biorą na przeszczep kredyt. U takich nastolatków to łysienie, jeśli nie będzie hamowane farmakologicznie, będzie prawdopodobnie postępowało.

Do doktorki Kolendy również przychodzą młodzi pacjenci. Nie popiera jednak robienia u młodych ludzi przeszczepów w obrębie samych zakoli. – Nigdy nie wiadomo, jak będzie postępowało łysienie u tej osoby i czy za 10–15 lat będzie ją stać na kolejny przeszczep czy leczenie niechirurgiczne. Jeśli nie, może zdarzyć się sytuacja, że pozostaną trójkątne kępki włosów, które przeszczepiliśmy w zakola, a reszta włosów wypadnie. Na pewno nie będzie to wyglądało estetycznie – ostrzega.

Większość klientów przeszczepiających włosy u doktor Kolendy i doktora Kolasińskiego stanowią mężczyźni w wieku 25–45 lat. Zdarzają się też starsi, nawet 70-letni. Wiek operowanych kobiet różni się w zależności od przyczyny wypadania włosów i potrzeb, wynosi od 20. do nawet 65. roku życia. Najważniejsze jest to, w jakim stanie są włosy z tyłu głowy, w miejscu dawczym. Czy nadają się do przeszczepu, czy jest ich na tyle dużo, by można było obdzielić nimi przerzedzony przód.

Należy pamiętać, że zwykle jeden zabieg przeszczepu włosów to za mało. Z reguły, by pokryć większą powierzchnię skóry bez włosów, wykonuje się dwa, a nawet trzy zabiegi w co najmniej rocznych odstępach. Dlaczego? – Nie jesteśmy w stanie uzyskać naturalnej gęstości włosów po ich przeszczepieniu. To technicznie niemożliwe. Pomiędzy przeszczepami musi pozostać pewna niewielka przestrzeń, by mogły się zagoić. Za bardzo dobry efekt uznajemy, gdy uzyskamy 75 procent naturalnej gęstości włosów. Niekiedy pacjenci pojawiają się po czasie, by dodać jeszcze trochę – tłumaczy doktorka Kolenda.

– Niektórzy robią w życiu po dwa, trzy przeszczepy. Ile czasu mija od jednego do drugiego, to już decyzja pacjenta. Najszybciej można zrobić kolejny przeszczep po siedmiu miesiącach od poprzedniego – dodaje Maciek. On sam czuje, że jego łysienie posuwa się do przodu. Wie, że na koronie, czyli czubku głowy, będzie przeszczepiał sobie włosy po raz kolejny.

Pytam obu moich rozmówców o inne operacje czy zabiegi poprawiające urodę. Rozważali je? Jeśli tak, to jakie? Babicz, który oprócz prowadzenia firmy zajmuje się też aktorstwem, kręci głową. Arek rozważa wstrzyknięcie botoksu w czoło, chciałby poddać się takiemu zabiegowi w ramach profilaktyki starzenia, z zastrzeżeniem, że chce uzyskać efekt naturalny.

Brzydka siostra

—

WRÓĆMY JESZCZE do kobiet. W inspirowanej słynną baśnią braci Grimm *Brzydkiej siostrze* z 2025 roku (w reżyserii Emilie Blichfeldt) tytułowa postać, przyrodnia siostra Kopciuszka – Elwira, by zdobyć serce księcia, poddaje swoje ciało wymyślnym katuszom. Nie ogranicza się przy tym do ucięcia pięty, by zmieścić stopę do pantofelka. Elwira z pomocą „doktora od estetyki" dokonuje brutalnych modyfikacji różnych części ciała. Już na początku filmu daje sobie złamać młotkiem nos, który później goi się zamknięty w zawstydzającej ją metalowej klatce. Potem połyka z zapałem jajo tasiemca, żeby schudnąć, przechodzi też przerażającą operację oka.

W recenzjach czytam, że film charakteryzuje „turpistyczny realizm", że pokazuje „brud, brutalność i ból wypełniający życie kobiet", okrucieństwo, które bierze się z „frustracji, strachu i zazdrości". Często porównuje się go do mającej premierę rok wcześniej *Substancji* (w reżyserii Coralie Fargeat) – oba obrazy wpisują się w konwencję *body horroru*. „Ten chory umysł nie rodzi się organicznie; zamiast tego jest wytworem presji otoczenia; rodzi się z nieprzychylnych szeptów matek, przyjaciółek i nauczycielek"

eprasa.pl fc0d95e1fd

– zauważa recenzent Łukasz Al-Darawsheh na Filmawce.

Jak wynika z najnowszego raportu Międzynarodowego Towarzystwa Chirurgii Plastycznej i Estetycznej (International Society of Aesthetic Plastic Surgery, ISAPS), w 2024 roku na świecie przeprowadzono łącznie około 17,5 miliona operacji plastycznych (najwięcej, w przybliżeniu 2,4 miliona, w Brazylii) i ponad 20,5 miliona zabiegów medycyny estetycznej (większość, w granicach 4,2 miliona, w Stanach Zjednoczonych).

Największym globalnym hitem operacji plastycznych w 2024 roku okazała się plastyka powiek (blefaroplastyka). To zabieg, który polega na chirurgicznym usunięciu fragmentów skóry i tkanki tłuszczowej z powiek, co ma odmłodzić okolice oczu, w niektórych przypadkach ma też wskazania medyczne – poprawienie widzenia. We wrześniu 2025 roku blefaroplastykę przeszła była polska siatkarka Katarzyna Skowrońska. Dzieląc się w swoich mediach społecznościowych zdjęciami z rekonwalescencji, uzasadniała swoją decyzję względami po części medycznymi, po części estetycznymi. W 2024 roku plastykę powiek wykonano na świecie łącznie ponad 2,1 miliona razy – o ponad 13 procent więcej niż w poprzednim roku.

W porównaniu z 2020 rokiem, wykonuje się teraz o 27 procent więcej operacji nosa, o 37 procent więcej liposukcji, o 35 procent więcej abdominoplastyk, o 63 procent więcej zabiegów powiększania pośladków, o 76 procent więcej liftingów twarzy, o 82 procent więcej chirurgicznego unoszenia brwi, o 90 procent więcej liftingów szyi.

Najnowsze dane Polskiego Towarzystwa Chirurgii Plastycznej dotyczą 2022 roku. W Polsce przeprowadzono wtedy około 15 tysięcy operacji plastycznych, co stanowi znaczący wzrost w porównaniu z poprzednimi latami.

Zastanawiam się, jak to wszystko ma się do przeciwnego trendu, który przebija się w mediach społecznościowych: powrotu do naturalności. – Bardzo dużo dziewczyn zapisuje się na operację wyciągnięcia implantów albo robią sobie naturalne *lifty* biustu, bez implantów. Usuwają też kwas hialuronowy z piersi. Niekoniecznie już marzą o takich dużych pupach jak te Kardashianek – podwójne czy potrójne BBL-e. Teraz dziewczyny bardziej chcą mieć takie sportowe pupy, jędrne, od góry wypełnione, ale też nie tak, by biodra były bardzo szerokie – mówi mi Judyta Moćko. Rzeczywiście, najnowszy raport ISAPS część z tych trendów potwierdza. W 2024 roku odnotowano o 65 procent więcej operacji usunięcia implantów piersi niż w 2020 roku, o 30 procent więcej samych tylko chirurgicznych *liftów* piersi, bez implantów, i o 53 procent więcej operacji zmniejszenia piersi. Na liście najpopularniejszych zabiegów medycyny estetycznej nie widzę jednak usuwania wypełnień, na przykład kwasem hialuronowym. Od lat króluje za to ostrzykiwanie toksyną botulinową, czyli popularnym botoksem. W 2024 roku na świecie wykonano prawie 7,9 miliona takich zabiegów, o 27 procent więcej niż cztery lata wcześniej.

W 2022 roku przeprowadzono w Polsce **15 tysięcy operacji** *plastycznych. W porównaniu z 2020 rokiem na świecie wykonuje się o 27 procent więcej operacji nosa, o 37 procent więcej zabiegów liposukcji, o 76 procent więcej liftingów twarzy.*

W książce *Obsesja piękna. Jak kultura popularna krzywdzi dziewczynki i kobiety* doktor Renee Engeln, profesorka Uniwersytetu Northwestern w Evanston w stanie Illinois, zwraca uwagę na mechanizmy sprawiające, że często przykładamy nadmierną wagę do własnego i cudzego wyglądu. Punktuje zachowania, przed którymi lepiej się powstrzymać, także te uważane przez nas za pozytywne, jak komplementowanie cudzego ciała. Engeln rozważa też, na przykładach opowieści swoich rozmówczyń, jak wiele czasu, pieniędzy i energii poświęcamy zabiegom związanym z urodą. Czy rzeczywiście robimy to, bo tego chcemy i potrzebujemy, czy może te potrzeby zostały nam zaprogramowane przez społeczeństwo?

– Czasami mam poczucie, że mogłabym podbić świat i wtedy przypominam sobie, że muszę jeszcze brwi wyskubać, nogi ogolić, umalować się – wymienia Figiel. Po tym stwierdzeniu zgaduję, że również czytała *Obsesję piękna*, i się nie mylę. Bardzo ceni tę książkę i jej autorkę. – Mówiąc językiem biznesowym, media społecznościowe są strategią do osiągania swoich celów. Skoro jesteśmy tam zalewani idealnymi wizerunkami, trudno się dziwić, że chcemy tym ideałom dorównać – podsumowuje.

Jakie trendy obowiązują w 2025 roku? Chirurg plastyczny z Grecji, doktor Vasileios A. Pagkalos, członek Amerykańskiego Towarzystwa Chirurgów Plastycznych (ASPS), na swojej stronie internetowej na pierwszym miejscu stawia efekt odmłodzenia twarzy, który będzie „naturalny", czyli nie zmieni rysów. Taki efekt mają dać chirurgiczne *lifty* twarzy i brwi. Drugi trend według Pagkalosa polega na odchodzeniu od nadmiernego stosowania wypełniaczy, z uwagi na ryzyko długotrwałych powikłań. Ostrzykiwanie kwasem hialuronowym ma zastępować przeszczepianie w twarz pacjenta jego własnego tłuszczu. Rzeczywiście, na trend wskazuje także najnowszy raport ISAPS, zabieg wykonano w 2024 roku prawie milion razy, o 84 procent więcej niż w 2020 roku, co plasuje ten rodzaj ingerencji na siódmym miejscu wśród najpopularniejszych w tym roku na świecie.

– Problem z akceptacją własnego wyglądu dotyka także mężczyzn, prawda? – upewniam się jeszcze w rozmowie z psycholożką Katarzyną Wiecheć z Uniwersytetu SWPS. – Ojej, bardzo! – odpowiada natychmiast. W rozmowach z pacjentami często skupia się na pokazaniu im, że uroda nie ma w życiu aż tak ogromnego znaczenia, jak sobie to wyobrażają. Tymczasem pacjenci mocno bronią tego przekonania. „Nie powie mi pani, że jak miałabym, nie wiem, zniekształconą twarz, to łatwo dostałbym pracę, prawda?" – polemizują.

– Pokazujemy wtedy, że to nie jest zero-jedynkowe, że zniekształcona twarz to jedno, a umieszczenie kształtu nosa na samej górze listy tego, co sprawia, że nie dostaję dobrej pracy, to inna sprawa. Czasami pytamy, jak blisko podchodzą do lustra. Pacjenci nam to prezentują. To nie jest odległość, z jakiej przyglądają się innym, patrzą tak tylko na siebie, stąd też ten krytycyzm.

eprasa.pl fc0d95e1fd

Czasami pacjenci oceniają swoją urodę na podstawie zdjęć, są przekonani, że wyglądają na nich „dziwnie". Rozmawiamy wtedy o optyce oka, o tym, jak działa nasz mózg, o tym, że nasi znajomi widzą nas w ruchu, a nie statycznie, że widzenie siebie w lustrze i na zdjęciach nieruchomymi może powodować dziwne, nienaturalne wrażenie. Zachęcam też pacjentów do eksperymentów, na przykład dwóch tygodni przerwy od mediów społecznościowych. Nie trafił mi się jeszcze nikt, kto by powiedział, że nic się po takiej przerwie nie zmieniło. Każdy czuje się lepiej – w kontekście w ogóle satysfakcji z życia, ale też wyglądu.

O tym, jak przemożny wpływ platformy społecznościowe, a dokładniej działający na nich popularni influencerzy, wywierają na trendy w chirurgii plastycznej, czytam w artykule opublikowanym w 2023 roku na stronie internetowej ASPS. W tekście padają słowa o „kluczowej roli w tworzeniu narracji dotyczącej piękna", a nawet o „cyfrowej rewolucji". Chodzi przede wszystkim o dostępność opowieści z pierwszej ręki, zdjęcia „przed i po" publikowane przez influencerów, które oswajają temat operacji plastycznych. W przeciwieństwie do popularnych aktorów czy modelek influencerzy sprawiają wrażenie osób takich jak my, łatwiej się z nimi identyfikować i ich naśladować. To naśladownictwo przybiera czasem formy ekstremalne – pacjentki chcą mieć w piersi identyczny implant jak influencerka, mimo że nie pasuje do ich anatomii. Co więcej, granica między ingerencją, która wynika z wewnętrznej potrzeby pacjenta, a taką, na którą decyduje się pod wpływem internetowego trendu, w zdominowanym przez media społecznościowe świecie często się zaciera. Tymczasem trendy przemijają, a efekty pochopnie podjętej decyzji o operacji pozostają z pacjentami na lata.

Więcej na ten temat posłuchasz w audycji *Plac na Rozdrożu* w aplikacji **Radia 357**.

„90 minut o kulturze" – odkryj nagrania ze spotkań!

Zeskanuj kod i oglądaj na YouTube – inspirujące dyskusje ekspertów o kulturze, społeczeństwie i współczesnych przemianach.

Spotkania „90 minut o kulturze" odbywają się stacjonarnie w Młynach Rothera w Bydgoszczy, mają formę paneli dyskusyjnych i trwają symboliczne 90 minut. To format, który sprzyja skupionej rozmowie, dzieleniu się refleksją i szukaniu.

Zeskanuj kod tutaj!

MŁYNY ROTHERA

Patroni medialni: Pismo. TVP3 BYDGOSZCZ PiK POLSKIE RADIO METROPOLIA BYDGOSKA.PL

eprasa.pl fc0d95e1fd

FOTOREPORTAŻ

Uczyń mnie piękną

zdjęcia i tekst YUFAN LU

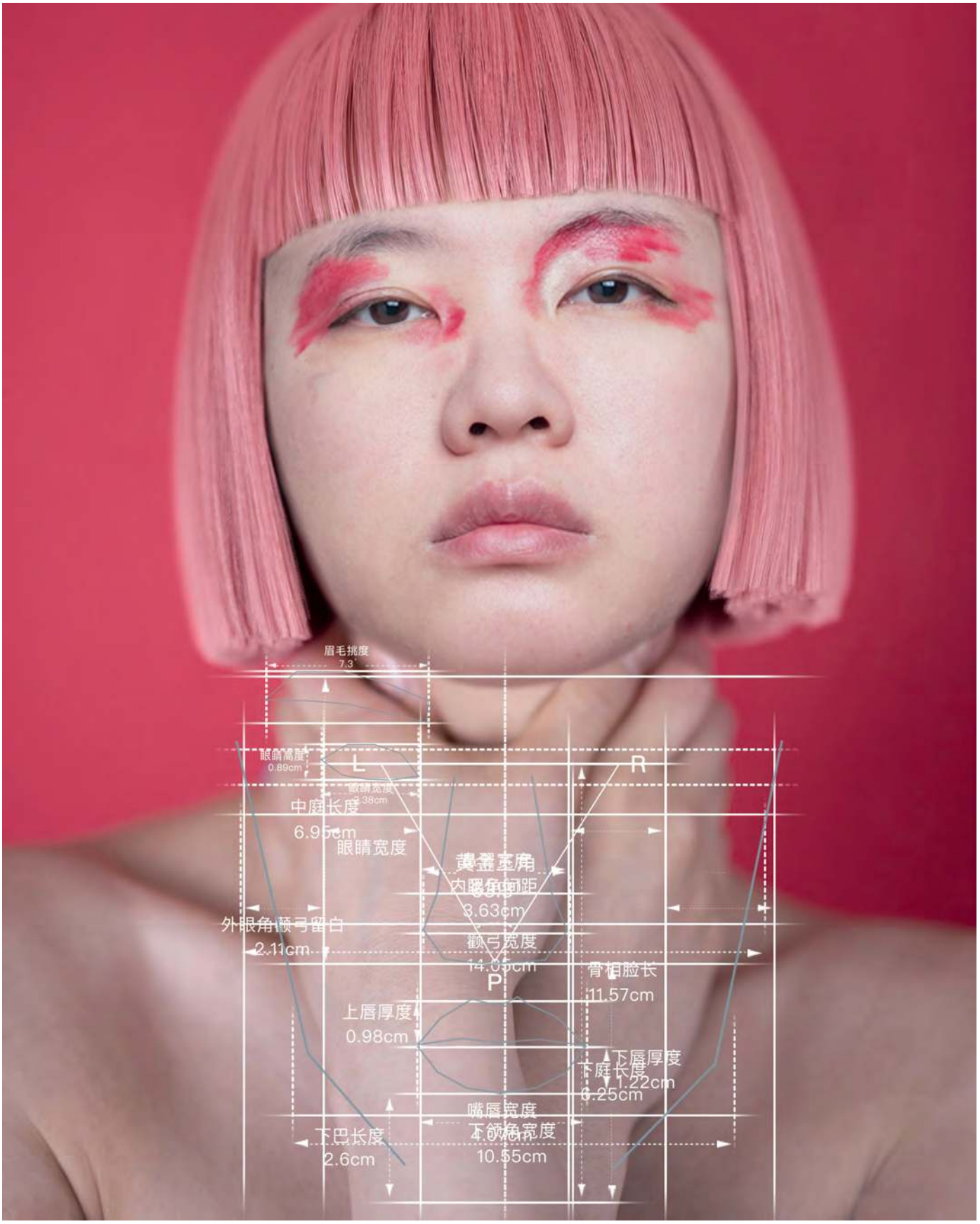

eprasa.pl fc0d95e1fd

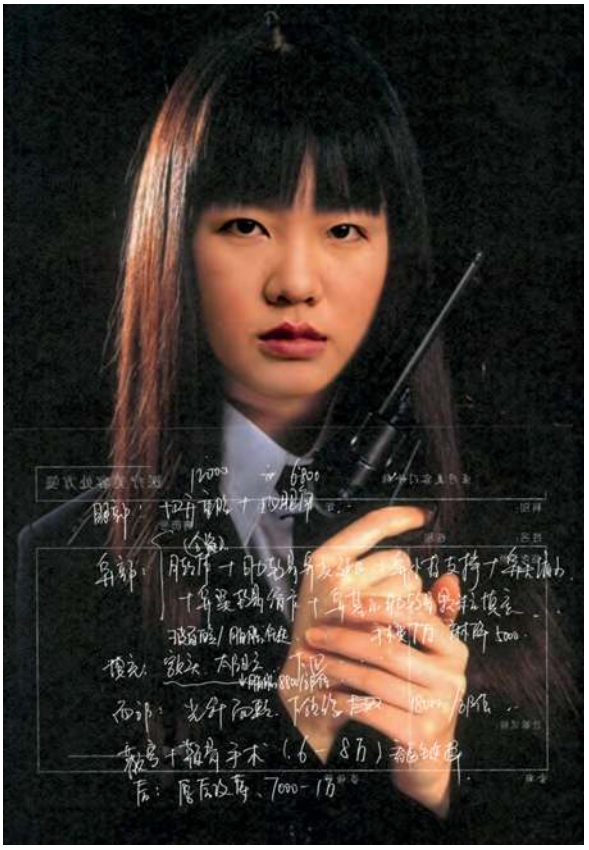

Diagnozy chirurgów plastycznych na podstawie moich portretów zmontowanych w programie graficznym, stylizowanych na: czystą i niewinną twarz, twarz *anego* (*boss lady*), twarz *high fashion*

Po lewej: wykonana przez AI diagnoza mojej twarzy, nałożona na portret modelowany w 3D, w który wmontowałam własne zdjęcie

JAKA TWARZ jest odpowiednia? Jakie oczy, nos, usta, uszy powinna mieć, żeby zostać uznana za atrakcyjną, za pożądaną? A może to nie z naszymi twarzami jest coś nie tak, tylko z kulturą, która wytyka nam wady i każe dążyć do wymyślonej perfekcji?

eprasa.pl fc0d95e1fd

eprasa.pl fc0d95e1fd

eprasa.pl fc0d95e1fd

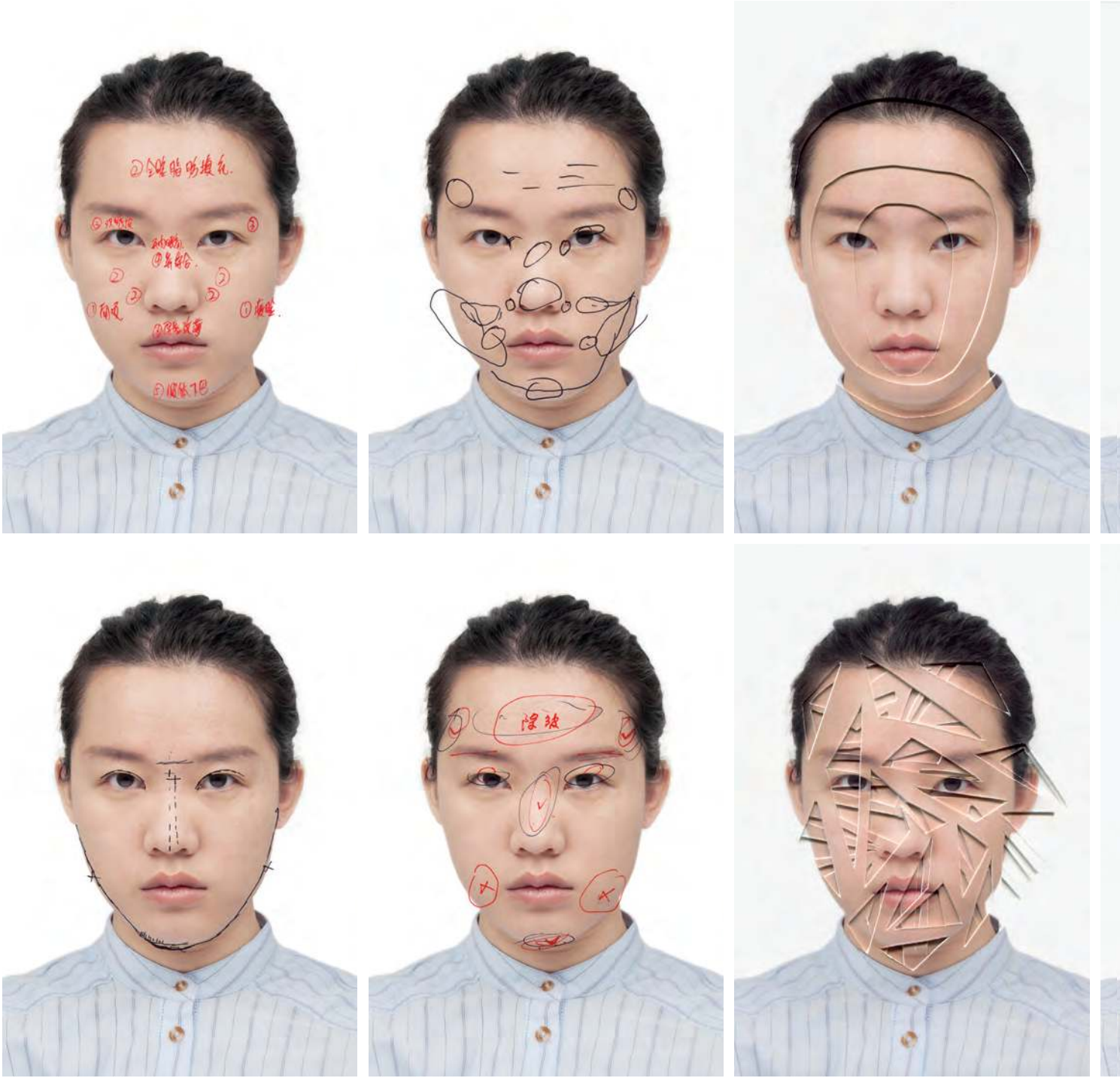

Cztery fotografie po lewej: analizy mojej twarzy wykonane w klinikach

eprasa.pl fc0d95e1fd

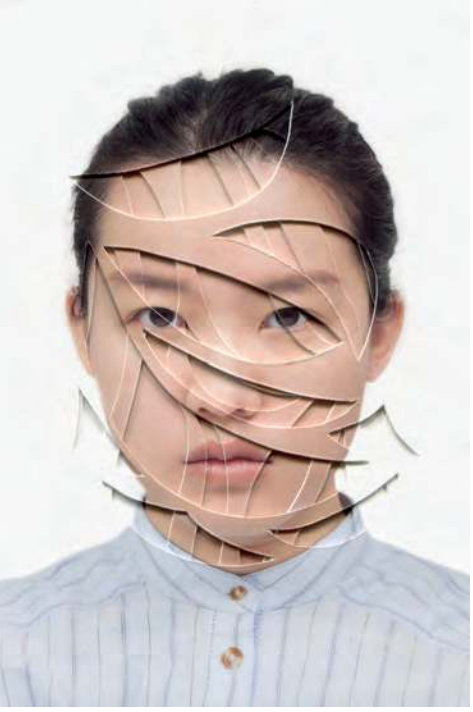

YUFAN LU (ur. 1991), artystka eksperymentująca z fotografią. Traktuje tworzenie obrazów jako sposób myślenia, zapamiętywania, odczuwania i życia. Jej prace odzwierciedlają długoletnie zainteresowanie ucieleśnionym doświadczeniem ludzkim i relacją między ciałem a społeczeństwem.

Dorastałam w czasie intensywnego rozkwitu branży chirurgii plastycznej. Czułam silną więź z milionami Chińczyków, którzy – podobnie jak ja oceniani pod kątem swojego wyglądu – pragnęli estetycznej transformacji. Sama wybrałam inną drogę: aby zmierzyć się z moimi obawami dotyczącymi wyglądu i społecznymi ideałami piękna oraz zbadać mechanizmy stojące za sceną chirurgii plastycznej w Chinach, zwróciłam się ku fotografii.

Odwiedziłam ponad 30 klinik chirurgii plastycznej, pokazując zdjęcia swojej twarzy. Konsultanci, którzy nazywali siebie „projektantami piękna", używali różnych narzędzi do jej oceny i opracowywali plany operacji na moim portrecie. W autorytarnym tonie skrupulatnie wskazywali „wady" mojej fizjonomii. Czasami od razu zachęcali mnie, żebym wybrała pożądane rysy spośród najpopularniejszych wzorów – jakbym wybierała produkt z półki. Mówili mi, że twarz może być przepustką do wymarzonego życia.

Odwiedzając kolejne kliniki, fotografowałam ich wnętrza, w których współistnieją ze sobą elementy medyczne i komercyjne. W trakcie trwania projektu zgromadziłam również przedoperacyjne portrety osób, które przeszły zabiegi kosmetyczne w danych placówkach, opublikowane w portalach internetowych poświęconych chirurgii plastycznej w celach promocyjnych. Mimo obiektywizmu, z jakim zostały sfotografowane, te twarze emanują całą mieszanką uczuć: od melancholii po zdziwienie, nadzieję, niepokój, determinację, nostalgię... Przypominają mi maski pośmiertne lub fotografie *post mortem*. Skasowałam znaki wodne klinik, którymi pierwotnie były oznaczone portrety, a te zmieniłam w maski. Potem te maski założyłam, zrobiłam sobie zdjęcia i dodałam na nich nowe znaki wodne – były nimi chińskie słowa związane z piętnowaniem naszego wyglądu. Zainspirowana metodami montażowymi używanymi przez policję w XX wieku do tworzenia portretów pamięciowych osób podejrzanych o popełnienie przestępstwa [świadek wybierał poszczególne elementy twarzy z klasera zawierającego dziesiątki wariantów oczu, nosa, ust etc. na przezroczystych foliach – przyp. red.], usunęłam nasze charakterystyczne rysy twarzy, co jest zarówno dokumentacją stygmatyzowanego oblicza, jak i oporem wobec społecznego spojrzenia.

Tworzę szklane maski pośmiertne z portretów sprzed operacji, chcę zachować pamięć po tych niechcianych twarzach, które teoretycznie już nie istnieją. Szklane oczy tych, którzy przeszli operację oczu, i nosy tych, którzy przeszli operację nosa... Czuję troskę o te kobiety, których nigdy nie spotkałam osobiście. W tej chwili inni są mną, a ja jestem nimi.

eprasa.pl fc0d95e1fd

Narzędzia do pomiarów antropometrycznych twarzy, którymi posługują się chirurdzy plastyczni

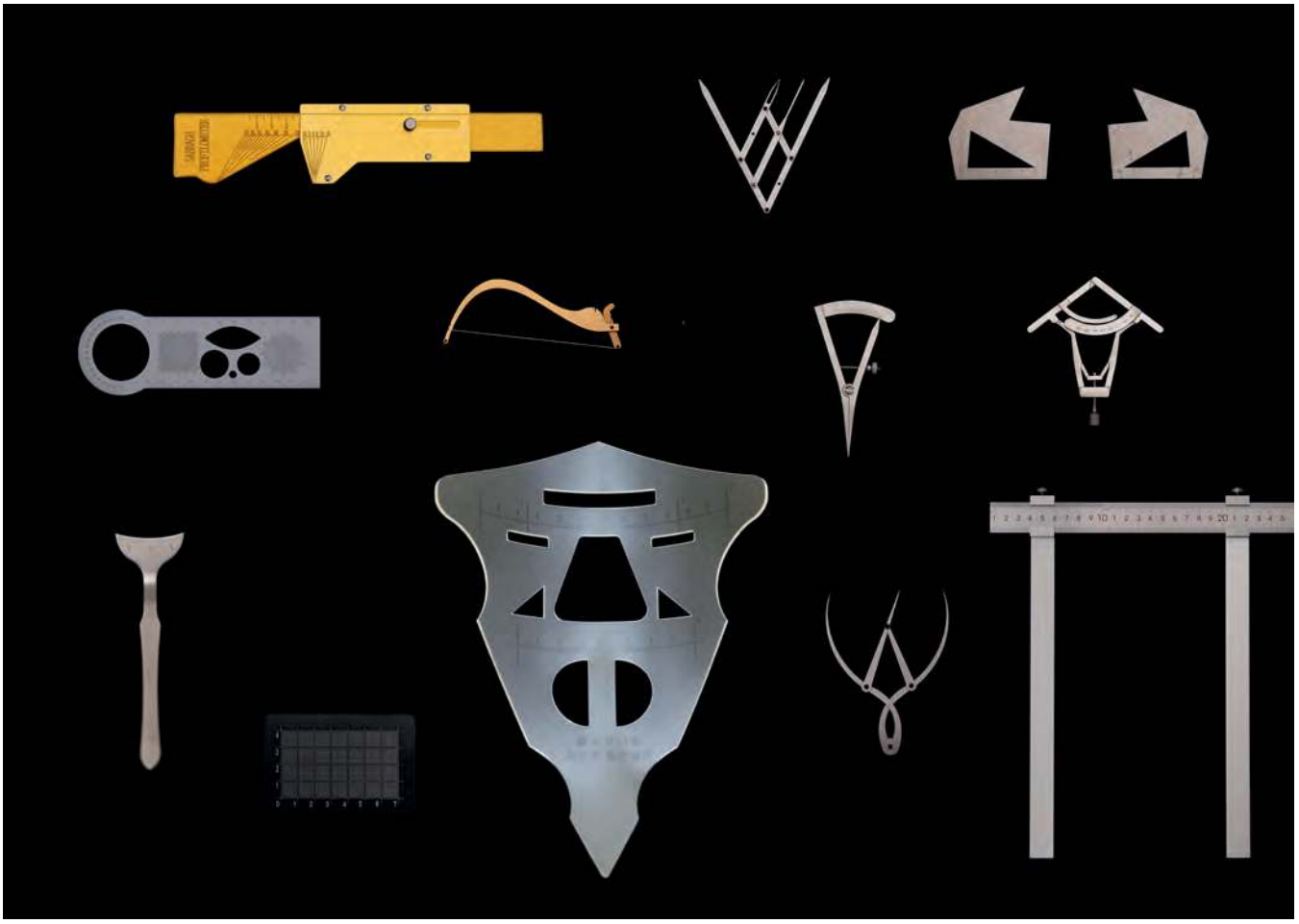

eprasa.pl fc0d95e1fd

eprasa.pl fc0d95e1fd

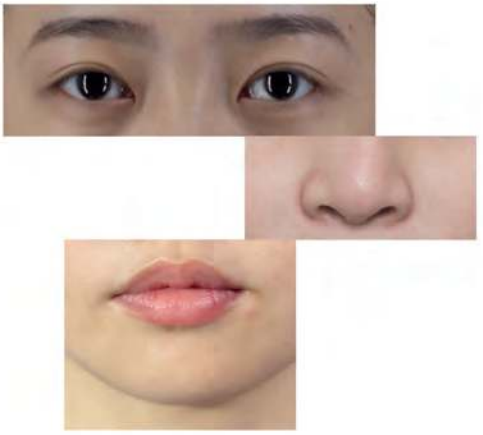

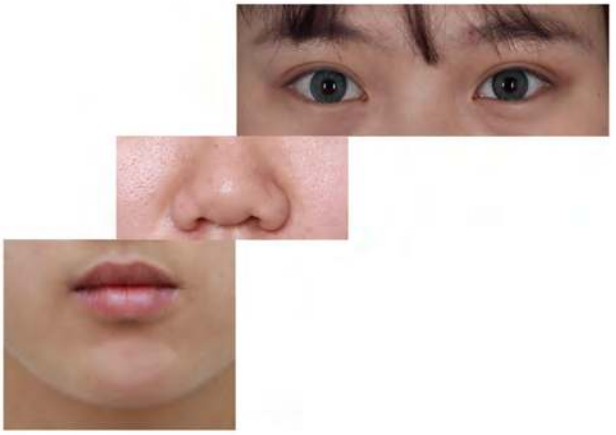

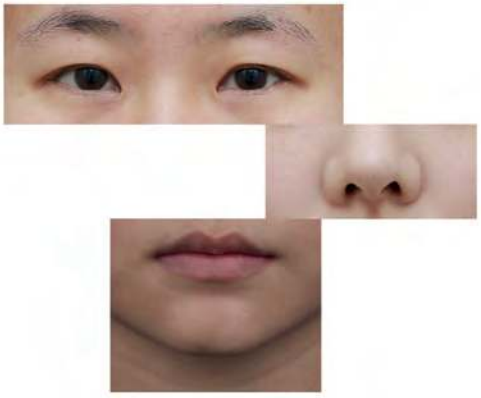

eprasa.pl fc0d95e1fd

—

Portret anonimowej osoby poprzedzający operację plastyczną. Zamiast znaku wodnego kliniki na fotografii pojawia się słowo *troll*

Po lewej: Fragmenty twarzy, które już nie istnieją. Zostały zoperowane

eprasa.pl fc0d95e1fd

Szklane maski wymodelowane na podstawie portretów sprzed operacji

eprasa.pl fc0d95e1fd

eprasa.pl fc0d95e1fd

PORTRET

Mamdani. Spacerem po władzę

tekst ASTEAD W. HERNDON
przełożyła KATARZYNA MOJKOWSKA

JESZCZE NIE MOŻNA wyliczyć jego zasług ani klęsk, ale już wiadomo, że przeszedł do historii. Mamdani jest pierwszym muzułmańskim burmistrzem Nowego Jorku, a jego kariera niesie Partii Demokratycznej zarówno nadzieję, jak i ryzyko.

Spacer z Zohranem Mamdanim może przypominać sport ekstremalny. W połowie września 2025 roku, gdy przeszliśmy razem Siódmą Aleją kolejnych sześć przecznic – z jego biura wyborczego na Manhattanie do ulubionego baru śniadaniowego – pojawienie się polityka na ulicy wywoływało zamieszanie nawet w tym pełnym harmidru mieście. Najpierw zaczepił go fan z prośbą o wspólne zdjęcie, później wolontariusz pracujący przy jego kampanii. Następnie wpadliśmy na jego dawnego znajomego, a potem – na południowoafrykańskiego komika Trevora Noaha. Ten powitał Mamdaniego, mającego podwójne, amerykańsko-ugandyjskie obywatelstwo, jak współziomka (uściskali się, a następnie Noah zaprosił go do swojego podcastu).

W tym zamęcie zapytałem Mamdaniego, kandydata demokratów na burmistrza Nowego Jorku [a od 1 stycznia 2026 roku burmistrza – przyp. red.], dlaczego zdecydował się wziąć udział w wyborach. Odpowiedzi udzielał mi aż do momentu, kiedy czekaliśmy na wolne miejsce w Johny's Luncheonette. Mamdani ceni ten lokalny bar w Chelsea ze względu na domową kuchnię i bezpretensjonalność. Tutaj może się skupić, zamawia zawsze to samo: jajecznicę z czterech jaj na tostach i naleśnika.

– Nigdy nie miało być sondażu, który by mówił: „Czas na Zohrana Mamdaniego i kampanię opartą na kwestii przystępności cenowej" – powiedział, uśmiechając się szeroko, jak to on. – Często słyszę to pytanie: „Czy kandydujesz, bo chcesz wygrać, czy się pokazać?". Odpowiadam, że można robić jedno i drugie. Możesz poważnie, z determinacją i bezwzględnością walczyć o zwycięstwo. A jednocześnie możesz budować swoją pozycję.

Efekt przechodzi do historii. Mamdani, 34-letni demokratyczny socjalista, szeregowy członek w Zgromadzeniu Stanowym [niższej izbie parlamentu stanu Nowy Jork], do 2025 roku właściwie nierozpoznawalny w Nowym Jorku, był faworytem w wyborach, w których rywalizował z byłym gubernatorem, potomkiem jednej z najsłynniejszych rodzin w polityce stanowej, zawstydził też burmistrza piastującego urząd [Eric Adams najpierw wycofał się z udziału w prawyborach Partii Demokratycznej, startując jako kandydat niezależny, a następnie pod koniec września 2025 roku w ogóle zrezygnował z ubiegania się o stanowisko – przyp. red.].

Mało powiedziane, że Mamdani zaskoczył wszystkich swoim sukcesem w prawyborach; on wszedł na scenę polityczną razem z drzwiami i futryną, zmieniając strukturę elektoratu, a dzięki ordynacji preferencyjnej wygrał z imponującą przewagą 12,8 punktu procentowego, co odbiło się echem także w polityce krajowej.

Jednak jeszcze istotniejsze może okazać się to, co wydarzyło się później. Gdy powstawał ten artykuł, Mamdani zaangażował się w swego rodzaju drugie prawybory, spotykając się po cichu z wpływowymi Nowojorczykami, by wzmocnić przewagę nad głównymi rywalami – Andrew Cuomo i Erikiem Adamsem. O niektórych z tych rozmów pisano w mediach. O większości nie.

Przez wiele miesięcy przed wyborami Mamdani odbywał prywatne spotkania z dawnymi liderami władz miasta, dyrektorami zarządzającymi, osobami stojącymi na

eprasa.pl fc0d95e1fd

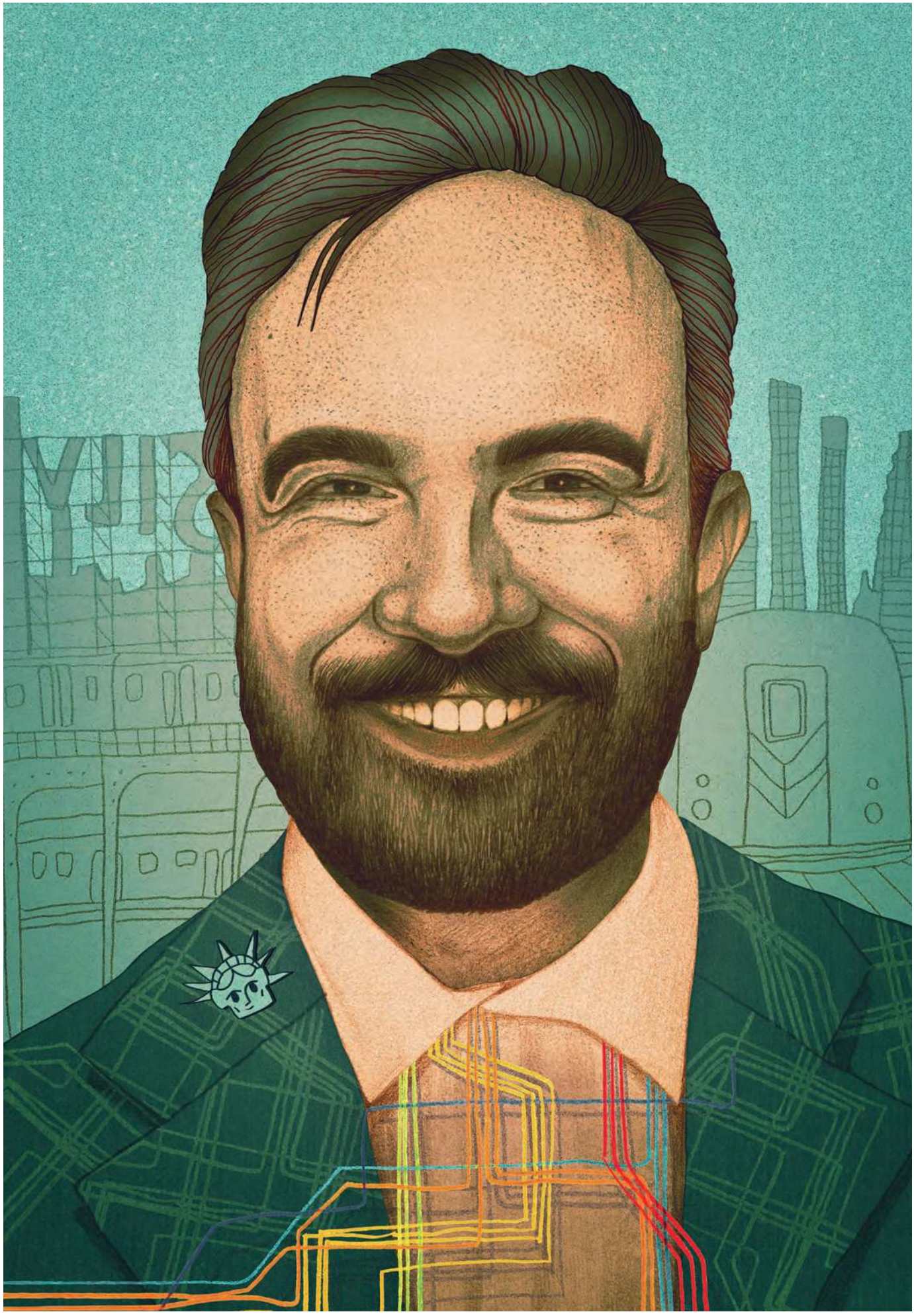

rysunek DOROTA PIECHOCIŃSKA

eprasa.pl fc0d95e1fd

ASTEAD W. HERNDON (ur. 1992), reporter zajmujący się polityką wewnętrzną m.in. dla „The New York Times" i CNN. Od 2025 roku prowadzi podcast w portalu Vox i kieruje jego redakcją polityczną.

czele instytucji kulturalnych i artystycznych oraz sceptycznymi lokalnymi demokratami. Przedstawiano je jako dyskusje zapoznawcze z nową gwiazdą polityki. Jednak według dobrze poinformowanych osób miały one jeszcze jeden cel. Mamdani starał się w nich przedstawić jako nowy typ lewicowca: słuchacz, który rozumie swoje niedociągnięcia i chce się uczyć. Przyznawał się do braku doświadczenia w zarządzaniu i prosił o rady. Szukał wspólnych płaszczyzn. Wysłuchiwał krytyków, między innymi biznesmenów i finansistów, a także proizraelskich aktywistów, którzy mieli mu za złe jego konsekwentne wstawianie się za Palestyńczykami i byli urażeni tym, że nie potępił sloganu *globalize the intifada* („zglobalizujmy intifadę"), choć z czasem zaczął odradzać jego używanie.

Jego kluczowymi współpracownikami w kampanii są Patrick Gaspard, były doradca administracji Baracka Obamy i były dyrektor wykonawczy Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej, oraz Sally Susman, wieloletnia dyrektorka zarządzająca w korporacjach i członkini komitetów finansowych w kampaniach prezydenckich Baracka Obamy, Hillary Clinton i Joe Bidena. Gaspard zna Mamdaniego od lat. Susman – od tego lata; była jedną z kilku osób należących do biznesowej elity, które nawiązały z nim nieoficjalny kontakt po jego głośnym spotkaniu w lipcu 2025 roku z Partnership for New York City, grupą 350 przedstawicieli banków, kancelarii prawniczych i korporacji.

Susman mówi o sobie, że jest umiarkowaną, probiznesową demokratką. Twierdzi, że zrobiła na niej wówczas wrażenie postawa Mamdaniego wobec wrogiego tłumu. Kilka tygodni później zaprosiła go na godzinne spotkanie i jak wyznała, ujął ją swoją otwartością. Wspominała, że zadawał pytania w rodzaju: „Co wiesz o nowatorskim przywództwie?" albo: „W jaki sposób powinienem budować administrację?", a także jasno zadeklarował, że nie zamierza przeprowadzać „testów papierka lakmusowego" [sprawdzających zgodność z jego własnymi poglądami politycznymi – przyp. red.] na stanowiska w swoim gabinecie.

Od tamtej pory Susman została cenną sojuszniczką Mamdaniego. Na prośbę polityka zwołała dwa nieoficjalne spotkania w biurze jego kampanii: dla liderów biznesu i inwestorów z branży technologicznej, którzy pragnęli go poznać. – Ma w sobie coś takiego, że ludzie chcą mu pomagać – skonstatowała.

Robert Wolf, również członek Partnership for New York City i organizator zbiórek funduszy dla demokratów, zdradził mi, że wymienia z Mamdanim wiadomości tekstowe, odgrywając nieformalną rolę barometru nastrojów środowiska finansowego i biznesowego w mieście.

– Dla mnie Zohran jest raczej postępowym kapitalistą – wyznał mi, przyznając, iż dzięki ich prywatnym kontaktom przekonał się, że Mamdani rozumie, jak ważny jest w Nowym Jorku rozwój sektora prywatnego. – To osoba, która chce znaleźć sposób, jak

można byłoby wykorzystać władzę do wspierania kwestii równości i osób nieuprzywilejowanych – dodał.

Rozmowy te pozwoliły Mamdaniemu przeformułować jego wcześniejsze stanowisko i zmienić – wynikający z jego demokratyczno-socjalistycznych wartości – język „my kontra oni" tak, by brzmiał nieco mniej odwetowo. Jasno mówi, że chce wspierać najemców, a nie karać właścicieli mieszkań. Chce dbać o publiczną edukację, nie niszcząc prywatnych szkół dostępnych tylko dla elity. Opowiada się za prawami Palestyńczyków, ale nie jest antysyjonistą. Poszedł na kluczowe ustępstwa w sprawach policji. I co ważne, deklaruje, że jest otwarty na porozumienie w kwestii opodatkowania milionerów, które wcześniej sam zaproponował. Można go nazywać Mamdanim 2.0.

To próba wprowadzenia dojrzalszej lewicy, skupionej raczej na swoich zadaniach politycznych niż na wygraniu ideologicznego sporu. Mamdani chce być dobrym burmistrzem – wielkim burmistrzem. I pragnie być oceniany na podstawie kryteriów, które sam wyznaczył, a są to: bezpłatna opieka nad dziećmi [żłobki i przedszkola – przyp. red.], darmowy transport autobusowy dla wszystkich i czteroletnie zamrożenie opłat za mieszkania objęte regulacją czynszową [system kontroli cen najmu, zgodnie z którym właściciele nie mogą dowolnie zmieniać wysokości czynszu wynajmowanego komuś mieszkania – przyp. red.]. To trzon jego programu przystępności cenowej, który zadecydował o wygranej w prawyborach. Mamdani wie też, że nie osiągnie tego sam albo tylko przy wsparciu postępowców. – Racja dla samej racji nie ma sensu – stwierdził, gdy spytałem go o wspomniane wcześniej spotkania. – Musimy wygrać. I musimy spełnić obietnice.

—

SUBTELNE ZMIANY, nawet te retoryczne, do tego stopnia pomogły umocnić jego przewagę, że na ostatnim etapie kampanii Mamdani miał zwycięstwo niemalże w kieszeni. Chociaż w wieczór prawyborów [24 czerwca 2025 roku – przyp. red.] nie było to takie pewne. Wiele osób z nowojorskich wyższych sfer – tych samych, które w ostatnich miesiącach zaczęły darzyć Mamdaniego sympatią – liczyło na to, że Cuomo czy Adams będą dla niego większym wyzwaniem wyborczym.

Jego pozycja była mocna wbrew nieustannym atakom ze strony oponentów, mimo setek tysięcy dolarów wydanych na antyreklamy i paniki politycznego establishmentu – w tym części demokratów, którzy obawiali się, że postać Mamdaniego może zostać wykorzystana przez republikanów i w wyborach uzupełniających do Kongresu w 2026 roku negatywnie wpłynąć na demokratycznych kandydatów w *swing-states*, czyli stanach ze zbliżoną liczbą zwolenników obu partii. Jako że Mamdani oręduje na rzecz Palestyny, bywał nazywany antysemitą, a prezydent Donald Trump nadał mu

eprasa.pl fc0d95e1fd

przydomek „komuch Mamdani" i ogłosił, że jeśli ten zostanie wybrany na burmistrza Nowego Jorku, to on pozbawi miasto funduszy federalnych; bezpodstawnie zasugerował też, że Mamdani, posiadający amerykańskie obywatelstwo, przebywa w kraju nielegalnie [wydaje się jednak, że po wygranej w listopadowych wyborach relacja obu polityków uległa ociepleniu – przyp. K.M.].

Zapytałem go kiedyś, jak uważnie śledzi dyskusję na temat jego wygranej w prawyborach i jej wpływu na całą Partię Demokratyczną. – Staram się nie poświęcać na to zbyt wiele czasu – odparł, ale trudno uwierzyć w te słowa.

Trzeba pamiętać, że mowa o „posterze" – jak milenialsi określają kogoś, kto po prostu musi dzielić się swoimi przemyśleniami w postach zamieszczanych w mediach społecznościowych. Mamdani jest synem słynnej reżyserki i uznanego naukowca, wcześniej próbował zrobić karierę jako raper w disnejowskim filmie swojej matki. Polityka to jego nowy rozdział – i mogąca się wydarzyć tylko w Nowym Jorku bajka, która przyciągnęła uwagę całego świata, zważywszy zarówno na indyjskie oraz ugandyjskie korzenie kandydata, jak i na imigrancki charakter elektoratu tego miasta. Jednocześnie zmienił on reguły prowadzenia kampanii, wyprzedzając przeciwników o pełne okrążenie za sprawą innowacyjnej strategii cyfrowej, która zrobiła z niego prawdziwego internetowego gwiazdora w charakterystycznym garniturze i pod krawatem (nosi na przemian trzy: w paski, w kropki i czerwony).

Mamdani tym bardziej się wyróżnia na tle porażki Partii Demokratycznej, która weszła w drugą kadencję Trumpa pobawiona inspirujących liderów i pomysłów politycznych – ewidentnie brakuje jej zarówno wodza, jak i wizji. W czerwcu 2025 roku sondaż Reutersa/Ipsos wykazał, że ponad 60 procent demokratów pragnie świeżego przywództwa, wśród rozrachunków i wewnątrzpartyjnych wojen, jakie rozpętały się po sromotnej przegranej w wyborach z 2024 roku. Bernie Sanders, senator z Vermont i demokratyczny socjalista, który kandydował w wyborach prezydenckich w latach 2016 i 2020, powiedział mi, że Mamdani „prowadzi genialną kampanię u podstaw". – Można by pomyśleć – ciągnął – że demokraci będą skakać z radości, wołając: „Dzięki Bogu! Oto przyszłość Partii Demokratycznej!". Niestety niektórzy widzą to inaczej – mówił.

Śledziłem kampanię Mamdaniego przez pięć miesięcy, przeprowadziłem dwa wywiady z nim samym i rozmowy z około 40 innymi osobami, wtajemniczonymi w wybory i ich reperkusje pośród demokratów w całym kraju, i ani razu nie słyszałem, by ktokolwiek się dziwił bliskiemu zwycięstwu Z [inicjał odnoszący się do imienia Mamdaniego, Zohran, i być może stanowiący aluzję do pokolenia Z, z którym polityk jest kojarzony – przyp. red.], tak wielka była wiara w jego charyzmę.

Nikt nie prosił Zohrana Mamdaniego, by ubiegał się o urząd burmistrza. To był jego własny pomysł. Wpadł na niego w 2024 roku, w Qahwah House, jemeńskiej kawiarni położonej zaledwie kilka przecznic od jego mieszkania.

Mamdani jest wybitny w grze, jaką stanowi polityka interpersonalna, z wystrzegania się której słynie Sanders. Podobnie jak Joe Biden uwielbia spotkania z fanami. Podobnie jak Elizabeth Warren kocha *selfie*. I zostanie na afroamerykańskiej mszy do samego końca – i jeszcze przy tym zauważy, że rytm haitańskich bębnów przypomina mu kongijską muzykę, przy której dorastał.

—

PODCZAS TEGOROCZNEJ letniej nowojorskiej parady z okazji święta West Indian American Day [odbywającego się na początku września – przyp. red.] lider mniejszości Izby Reprezentantów Hakeem Jeffries – który wciąż wstrzymywał się od poparcia Mamdaniego – powiedział, że istnieje „Brooklyn kurczaka po jamajsku" i „Brooklyn Starbucksa". Mamdani z łatwością porusza się w obu tych światach.

Coraz silniej jednak odczuwa presję, naturalną konsekwencję zostania pierwszym muzułmańskim burmistrzem miasta Nowy Jork oraz jednym z kilku, którzy zwyciężyli wybory jako nie tylko liberałowie czy postępowcy, lecz także bezkompromisowi lewicowcy. Mamdani powiedział mi, że zdaje sobie sprawę, iż jego sukces bądź porażka nie będą postrzegane jako wyłącznie jego własne. Ma rację.

Zapytałem go, czy któraś część miasta zaskoczyła go podczas kampanii, czy jakieś doświadczenie umocniło na nowo jego więź z Nowym Jorkiem. Mamdani zamilkł na chwilę, aby się zastanowić. Zdarza mu się robić takie długie pauzy, które mogą wprowadzać niezręczną ciszę, zamiast budować napięcie.

Minęło ponad 20 sekund, zanim znalazł odpowiedź: ramadan, w marcu.

Opowiedział mi, jak to starał się „wziąć udział w największej możliwej liczbie modlitw i zgromadzeń". Zamiast udać się tylko na obchody Chaand Raat – Nocy Księżyca, tradycyjnego święta z Azji Południowej – chciał świętować, ile tylko mógł: „włączyć się w ten czas, zobaczyć migawkę muzułmańskiego życia w całym mieście Nowy Jork" – powiedział.

Jego odpowiedź przypomniała mi, jak bardzo nietypowym jest kandydatem. Mamdani w centrum swojej kampanii postawił swoją wiarę, indyjsko-ugandyjskie korzenie i propalestyński aktywizm, ufając, że społeczeństwo zrozumie jego wizję i wartości, nawet jeśli nie pojmują ich strażnicy dawnego porządku. – Spotkałem bardzo wielu dziadków, którzy podchodzili do mnie i mówili: „Wnuk powiedział mi, że jak nie zagłosuję na ciebie, mogę nie wracać do domu" – powiedział, dumny z rewolucji pokoleniowej, którą zapoczątkował. – Pytania o redefinicję przywództwa i miejsce młodzieży w naszej polityce nie dotyczą tylko i wyłącznie mnie samego; to pytania o Nowojorczyków w ogóle – ciągnął.

Lepiej zrozumiałem wówczas liczne reakcje na karierę Mamdaniego – wśród ludzi przyzwyczajonych do władzy i pieniędzy oraz wśród części liderów Partii Demokratycznej. Chodzi nie tylko o to, w co on wierzy. Ani o to, że jego zwycięstwo było coraz bardziej prawdopodobne. Ale o to, że jego temperament i poparcie społeczne naprawdę mogą umożliwić mu utrzymanie koalicji politycznej dłużej niż do

eprasa.pl fc0d95e1fd

POEZJA

strategia nie/myślenia

URSZULA MORGA

–

nie jestem użyteczna
nie ma w moim słowniku
gospodarki leśnej
przemysłu filmowego
grafiki użytkowej
i zwierząt łownych
nie korzystam
z banku pomysłów
a moja atrakcyjność
na rynku pracy jest znikoma

jestem po/prostu
pozwalam sobie być
bez uzasadnienia
wyłuskana z racjonalizmu
kiełkuję i puszczam się
w życie samopas
nie mając pojęcia
co ze mnie wyrośnie
dziczeję – uprawiam
beztrosko strategię
nie/myślenia

URSZULA MORGA

(ur. 1979), reżyserka, pisarka, poetka. Prowadzi pracownię animacji Esy-floresy. Jest autorką nagradzanych wideoklipów. W 2025 roku miał premierę dokument jej i Bartosza Mikołajczyka *Znaki Pana Śliwki* (zwycięstwo w Plebiscycie Publiczności na 41. Warszawskim Festiwalu Filmowym). W 2024 ukazał się jej tom *fundamenty*, za który otrzymała m.in. główną nagrodę XV Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Janusza Różewicza.

eprasa.pl fc0d95e1fd

styczniowej inauguracji i wprowadzenie znaczących zmian w polityce i ustawodawstwie. Zagrożeniem nie jest jego gwiazdorstwo samo w sobie, lecz w połączeniu z jego kompetencjami.

—

ŻEBY BYŁO JASNE: nikt nie prosił Zohrana Mamdaniego, by ubiegał się o urząd burmistrza. Ani Demokratyczni Socjaliści Ameryki (DSA) [amerykańskie stowarzyszenie o profilu lewicowym – przyp. red.], ani nowojorscy postępowi sponsorzy, ani Working Families Party (Partia Pracujących Rodzin) – ośrodek nowojorskiej lewicy. To był jego własny pomysł. Wpadł na niego w 2024 roku, w Qahwah House, jemeńskiej kawiarni – będącej jego lokalną kryjówką i nieformalną bazą, w której szykował strategię – położonej zaledwie kilka przecznic od jego mieszkania.

Wybory na burmistrza w 2021 roku, wygrane przez Erica Adamsa, były dla nowojorskiej lewicy lekcją pokory. Podobnie jak społeczny sprzeciw wobec progresywnych postulatów: zmniejszenia budżetu policji i zniesienia możliwości wyjścia z aresztu za kaucją [lewicowi politycy argumentują, że system pogłębia nierówności, bo uboższych nie stać na wpłatę kaucji – przyp. red.]. Mamdani dostrzegł jednak szansę na zbudowanie koalicji opartej na jego własnym życiu i przekonaniach: złożonej z muzułmanów, osób o południowoazjatyckim pochodzeniu, wynajmujących mieszkania, młodych i postępowych.

Nad filiżankami kremowej, przyprawionej cynamonem kawy *mofawar* Mamdani dowodził słuszności swojej sprawy przed sojusznikami, liderami grup interesów, a zwłaszcza przed DSA. – W całym procesie pozyskiwania poparcia DSA było piękne to, że stanowił on mikrokosmos większego wyścigu – stwierdził, dodając, że większość „procesów politycznych ma z góry ustalony wynik". W jego przypadku było inaczej.

Ugrupowanie socjalistów szczyci się swoim wymagającym procesem udzielania poparcia i oddolną strukturą – ma to zapewnić, że wybierani urzędnicy pozostaną wierni deklarowanym wartościom, w innym razie będą musieli zmierzyć się z wściekłością szeregowych członków. W wyborach na burmistrza Nowego Jorku w 2025 roku przywódcy DSA nie zamierzali popierać żadnego kandydata, chcieli skupić się na rywalizacjach niższego szczebla.

– Musiałem polegać na moim własnym przekonaniu i przekonaniu ludzi z mojego otoczenia, niezależnie od innych reakcji. Ale przejście przez ten proces przed przystąpieniem do gry o większą stawkę oznaczało, że jesteśmy przygotowani – ciągnął Mamdani.

Jego relacje z DSA i innymi sojusznikami sięgają dekadę wstecz albo i dalej. W szeregi ugrupowania wstąpił zainspirowany kampanią prezydencką Sandersa z 2016 roku, dzięki której nawiązał relacje z organizatorami nowojorskiego mieszkalnictwa i aktywistami. To od nich czerpał informacje, które potem wykorzystał w programie mającym uczynić miasto bardziej przystępne cenowo dla mieszkańców. Należał już wtedy do Nowojorskiego Muzułmańskiego Klubu Demokratycznego (Muslim Democratic Club of New York, MDCNY), w którego ramach budował kontakty z coraz liczniejszymi wyborcami muzułmańskimi i południowoazjatyckimi.

W 2023 roku, zaledwie kilka dni po ataku Hamasu na Izrael z 7 października, Mamdani został aresztowany pod zarzutem zakłócania porządku publicznego. Mówił wówczas reporterom, że kampania odwetowa Izraela niesie ze sobą ryzyko „nieuchronnego ludobójstwa".

Największy wpływ na kształtowanie się politycznej osobowości Mamdaniego miało jednak co innego; jedyna kwestia, do której podchodzi bezkompromisowo: Izrael i Palestyńczycy. Propalestyński aktywizm Mamdaniego sięga jego licealnych czasów w szkole Bronx Science, kiedy to wymieniał gniewne posty na Facebooku z proizraelskim kolegą z klasy. Działania kontynuował w Bowdoin College, gdzie założył oddział Students for Justice in Palestine (Studenci za Sprawiedliwością w Palestynie).

Wyznał mi, że te wczesne doświadczenia nauczyły go różnicy między postrzeganiem polityki jako intelektualnej debaty a widzeniem w niej konsekwencji życiowych doświadczeń. Wywołały w nim także zniecierpliwienie światopoglądem, który określa jako PEP – *progressive except Palestine* („postępowi z wyjątkiem kwestii Palestyny"), wyznawanym od lat przez lewicę.

– Nie powinniśmy robić wyjątku nie tylko ze względu na jego znaczenie dla Palestyńczyków i praw człowieka w Palestynie, ale również na to, że jeśli już raz zgodzisz się na odstępstwo od zasad, to łatwiej przyjdzie ci kolejne: gdziekolwiek, kiedykolwiek – powiedział.

Ta buntownicza pewność uwidaczniała się w kampanii Mamdaniego od początku. Był przekonany, że najemcy nowojorskich mieszkań, choć pochodzący z nieraz zupełnie różnych bajek, mogą się zjednoczyć i poprzeć program przystępności cenowej – nawet jeśli sondaże wskazywały, że lepiej dla niego byłoby skupić się na bezpieczeństwie publicznym. Rozumiał, że wiele środowisk imigranckich w mieście z jednej strony jest zaniedbywanych przez rząd, a z drugiej – stanowi niewykorzystane zasoby wyborców. A przez ostatni rok poglądy Amerykanów na Izrael zbliżyły się bardziej do opinii Mamdaniego niż senatora Chucka Schumera, być może najbardziej wpływowej postaci w Nowym Jorku [zwolennika Izraela – przyp. red.]. Tym samym coś, co uznawano kiedyś za polityczne obciążenie, stało się dowodem na jego szczerość w kwestiach antyestablishmentowych. W 2023 roku, zaledwie kilka dni po ataku Hamasu na Izrael z 7 października, Mamdani został aresztowany pod zarzutem zakłócania porządku publicznego, kiedy protestował pod domem Schumera. Mówił wówczas reporterom, że kampania odwetowa Izraela niesie ze sobą ryzyko „nieuchronnego ludobójstwa".

– Jego postulaty nie działałyby, gdyby nie zabierał głosu w sprawie Gazy – skonstatował Patrick Gaspard, były doradca w administracji Obamy, który porównał tę sytuację do sprzeciwu tego prezydenta wobec wojny w Iraku przed wyborami prezydenckimi w 2008 roku. Gaspard to ważna postać – po wygranej Mamdaniego w prawyborach

eprasa.pl fc0d95e1fd

skontaktował go z wieloma potężnymi graczami, w tym z kardynałem Timothym Dolanem, arcybiskupem Nowego Jorku.

– Okazuje się, że zwykli zjadacze chleba siedzący przy grillu czy na schodach przed domem traktują temat Gazy jako przepustkę dla ludzi ze świata polityki. To dzięki tej przepustce można wejść do ich salonu i porozmawiać o przystępności cenowej, edukacji albo opiece zdrowotnej – powiedział Gaspard, powołując się na badania opinii publicznej, które wykazały narastającą wśród zwolenników Partii Demokratycznej dezaprobatę wobec działań Izraela. – Nie da rady przejść do tych tematów, jeśli nie zacznie się od Gazy – tłumaczył.

—

GASPARD poznał Mamdaniego w 2016 roku w RPA, na premierze *Królowej Katwe*, filmu Disneya w reżyserii matki Mamdaniego, Miry Nair, którego akcja toczyła się w Ugandzie. Twierdzi, że już wtedy w młodym, 25-letnim wówczas mężczyźnie widać było przebłyski charyzmy, która pomogła mu później wejść do polityki. Porównał otwartość i postawę młodego Mamdaniego do – a i owszem – Baracka Obamy. Jednak historia późniejszego burmistrza, podobnie jak wielu innych imigrantów w pierwszym pokoleniu, nie pasuje zbytnio do amerykańskich konwencji politycznych: systemu dwupartyjnego czy biało-czarnej struktury rasowej. Łączy w sobie wiele światów: jest Indusem, Ugandyjczykiem, Amerykaninem, muzułmaninem, Nowojorczykiem.

Mamdani powiedział mi, że to właśnie muzułmańskie wyznanie stanowiło, jak to ujął: „czynnik kształtujący jego postrzeganie świata – i to, jak świat postrzega jego samego", szczególnie po prześladowaniach w meczetach i nasileniu się islamofobii po zamachach z 11 września 2001 roku.

Przypomniał sobie, jak zwierzył się kiedyś ojcu, profesorowi stosunków międzynarodowych i antropologii na Uniwersytecie Columbia, że już ma dość „ciągłego poczucia, że jest w mniejszości". Jego perspektywę zmieniła odpowiedź rodzica: „Byłem Indusem w Ugandzie. Byłem muzułmaninem w Indiach. W Nowym Jorku byłem jednym i drugim. Bycie mniejszością pozwala dostrzec prawdę o danym miejscu, która jest ukryta pod jego obietnicami", wyjaśnił synowi. – W tamtej chwili przestałem postrzegać świat jako miejsce, w którym wszędzie mam jakąś skazę. Pojąłem wówczas zarówno, co ten świat mi odbiera, jak i to, co daje – ciągnął Mamdani.

To jest sposób mówienia – przypowieściami. Pochyla się blisko i wpatruje w oczy. Przyszpila kontaktem wzrokowym. Od czasu do czasu rzuca aluzje do Pucharu Świata w piłce nożnej i brytyjskiej Premier League, bo wie, że jestem fanem Tottenham Hotspur (sam kibicuje ich rywalom – drużynie Arsenalu). Należy do niewielu polityków, jakich pamiętam, którzy siadają do półgodzinnego wywiadu bez doradcy prasowego na podorędziu i nawet nie fatygują się, żeby również nagrywać. Drugą taką osobą jest Sanders.

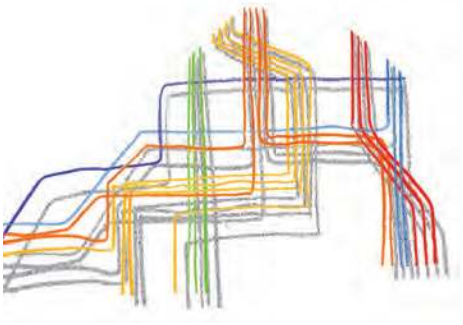

Nic dziwnego, że obaj czują się jak ryba w wodzie w podcastowym świecie zdominowanym przez pewnych siebie facetów. Mamdani pojawił się w *Pablo Torres Show* (sport), *Throwing Fits* (moda), *Odd Lots* Michaela Bloomberga (finanse) – można powiedzieć, że to święta trójca mediów cyfrowych dla milenialsa z Nowego Jorku. Odwiedził *The View* [najpopularniejszy obecnie polityczny talk show w USA emitowany w ABC News – przyp.red.], podcast *I've Had It* i popularny *stream* Hasana Pikera na platformie Twitch, zaliczając tym samym cały wachlarz liberalno-lewicowych mediów. Na TikToku odbył wiralową rozmowę z Crackheadem Barneyem – nowojorskim performerem i komikiem, który bombardował go pytaniami w stylu: „Czy przyjąłbyś status Afroamerykanina jak Elon Musk?". Mamdani odpowiedział na każde, nawet najbardziej absurdalne pytanie i było wyraźnie widać, że czuł się swobodnie w formule programu.

Ritchie Torres, demokrata z Bronksu i częsty krytyk postępowców, powiedział, że Mamdani jest „mówcą, jaki trafia się raz na pokolenie", który do mistrzostwa opanował coś, co nazwał „zasadą trzech trójek": w dzisiejszych czasach kandydat musi być w stanie wyjaśnić różne idee w 30-sekundowej relacji w mediach społecznościowych, w trzyminutowym wejściu w telewizji i w trzygodzinnym podcaście.

Biorąc pod uwagę ich różnice ideologiczne, szczególnie wyraźne w kwestii Izraela (Torres jest jego zagorzałym obrońcą), zapytałem, dlaczego kongresman wypowiadał się o Mamdanim tak pochlebnie – w publicznych i prywatnych rozmowach. Jego odpowiedź wiele mówiła o nieodpartym uroku Mamdaniego i o odwiecznej prawdzie, że wszyscy wybieralni urzędnicy handlują walutą, którą jest ich uwaga. – To proste – powiedział Torres. – Sam się do mnie odezwał.

—

MORRIS KATZ, starszy doradca Mamdaniego, powiedział mi, że do jego najważniejszych spotkań w kampanii należało to pierwsze. Politykowi zaprezentowano na nim wyniki badań opinii publicznej, które przedstawiały popularny pogląd – że głównym zmartwieniem wyborców jest bezpieczeństwo publiczne – a on instynktownie ten temat odrzucił. Stwierdził, że dominującą kwestią jego kampanii będzie przystępność cen.

Katz pamięta, że Mamdani powiedział wówczas: „Ludzie nie wierzą już, że władza obniży ich koszty życia, i właśnie widzimy efekty tego braku wiary".

Mnie z kolei Mamdani wyjaśnił, że jego wizja bierze się z własnych doświadczeń. Zanim jeszcze w jego życiu pojawiło się DSA, pracował jako wolontariusz dla Aliego Najmiego, prawnika zajmującego się prawami człowieka i członka MDCNY, kiedy ten kandydował do rady miasta. To Najmi skontaktował go z ugrupowaniem. Później Mamdani podjął pracę dla Khadera El-Yateema, palestyńsko-amerykańskiego pastora luterańskiego, podczas jego ubiegania się o miejsce w radzie miasta w 2017 roku.

Obie te kampanie stanowiły dla Mamdaniego wzór, który miał sam wprowadzić osiem lat później. Skupiały się na kwestiach mieszkaniowych, a w szczególności

eprasa.pl fc0d95e1fd

na kryzysie dotykającym najemców, który przyspieszyła gentryfikacja. Być może największe znaczenie miał fakt, że El-Yateem nie zamierzał łagodzić swojego stanowiska w sprawie Izraela i Palestyńczyków, mówiąc, że „w 100 procentach" popiera ruch Boycott, Divestment and Sanctions (Bojkot, dywestycje i sankcje) i prowadził kampanię wraz z Lindą Sarsour, członkinią DSA oraz aktywistką palestyńsko-amerykańską, oskarżaną o antysemityzm.

Tyle że kampanie, przy których pracował Mamdani, były przegrane. Porównując je, możemy zauważyć, że jego dzisiejszy sukces wyborczy wynika nie tylko z wyznawanych przez niego wartości, lecz także z jego własnych, unikatowych cech.

Mamdani nazywa się demokratą, czego nie robi wielu przedstawicieli lewicy (włącznie z Sandersem). W jego ustach protest przeciw gentryfikacji przekształcił się w hasło o przystępności cenowej, co stanowi przyjaźniejszy termin, wpasowujący się w jego coraz większą otwartość na rolę sektora prywatnego w budowie większej liczby mieszkań. Przy jego kampanii wyborczej nie pracuje Linda Sarsour.

Mark Levine, przewodniczący gminy Manhattan i kandydat Partii Demokratycznej na kontrolera finansowego miasta, twierdzi, że ta gotowość do złagodzenia swoich wcześniejszych stanowisk czy ukrócenia pewnych znajomości, jaką przejawia Mamdani od prawyborów, odróżnia go od innych współczesnych mu lewicowców. Levine przeciwstawił *modus operandi* Mamdaniego stylowi rządzenia wcześniejszych demokratycznych burmistrzów, na przykład Billa de Blasio, postępowca, który solidaryzował się z wieloma spośród populistycznych celów Mamdaniego, lecz przysporzył sobie wrogów za sprawą drobnych uraz i błędnych decyzji.

Po wygranej Mamdaniego w prawyborach jego sztabowcy stworzyli listę najważniejszych liderów biznesu w mieście i do każdego z nich zadzwonili, wskazując, że kandydatowi zależy na budowaniu koalicji i ustanowieniu otwartej linii komunikacji. – Pragnę podkreślić bezprecedensowość takiego działania: to pierwszy kandydat, jak sięgam pamięcią, który wyciągnął rękę do ludzi będących podczas prawyborów przeciwko niemu – powiedział mi Levine.

Nowojorscy postępowcy nie zapomnieli o tym, że de Blasio stracił poparcie policji podczas swojej pierwszej kadencji. Napięta już wcześniej relacja została całkiem zerwana po zabójstwie dwóch funkcjonariuszy pod koniec 2014 roku. Policjanci, koledzy zabitych, odwrócili się plecami do burmistrza podczas jego wizyty w szpitalu, a następnie na pogrzebach.

W czerwcu 2020 roku, podczas protestów po zabójstwie George'a Floyda, Mamdani napisał na Twitterze: „Nie trzeba nam śledztwa, by wiedzieć, że NYPD [New York City Police Department, nowojorska policja – przyp. red.] jest rasistowska, antyqueerowa i stanowi ogromne zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego. Musimy #zaprzestaćfinansowaniapolicji".

Jego wielekroć powtarzana deklaracja, że nakaże policji aresztować premiera Izraela Benjamina Netanjahu, jeśli podczas kadencji Mamdaniego ten pojawi się w Nowym Jorku, zakłopotała wielu jego sprzymierzeńców – i dostarczyła paliwa jego wrogom.

Jednak od prawyborów Mamdani nieraz dystansował się od takich wypowiedzi, twierdząc, że jeśli zostanie wybrany, przeprosi policję. Posunął się nawet dalej, spotykając się podczas kampanii z ponad dwoma tuzinami szeregowych policjantów na zamkniętej sesji poświęconej wzmocnieniu policyjnych kadr i bezpieczeństwu publicznemu. Rzeczniczka przekazała, że Mamdani otwarcie przeprosił wtedy za tamten wpis z 2020 roku. Wypowiadał się również z aprobatą o Jessice Tisch, aktualnej komisarce NYPD, która jest lubiana zarówno w instytucjach, jak i przez szeregowych funkcjonariuszy. Podczas naszego wywiadu Mamdani podkreślał, że jego pochwała wobec Tisch była „szczera" i rozważa pozostawienie jej na obecnym stanowisku.

Zapytałem Mamdaniego, do jakiego stopnia jest szczery, zważywszy, że Tisch otwarcie sprzeciwiała się reformom wymiaru sprawiedliwości popieranym przez większość postępowców.

– W samym rdzeniu naszego ratusza istnieje, i musi istnieć, przestrzeń na różnicę zdań – odparł. Wyjaśnił, że budując swój gabinet burmistrza, chce mieć pewność, że ludzie dookoła niego „nie będą wyróżniali się szybkością w potakiwaniu każdemu jego pomysłowi". Podkreślał to również w prywatnych rozmowach, mówiąc do Susman, że wierzy w „drużynę złożoną z rywali".

Latem zmierzył się z pierwszym kryzysem związanym z bezpieczeństwem publicznym – miało to miejsce, kiedy polityk przebywał w Ugandzie, świętując z rodziną i przyjaciółmi swój ślub z Ramą Duwaji, 27-letnią ilustratorką.

Dwudziestego ósmego lipca uzbrojony mężczyzna wszedł do wieżowca przy Park Avenue i otworzył ogień, zabijając cztery osoby, w tym dwóch ochroniarzy, z których jeden był policjantem w cywilu. Kiedy wiadomość została upubliczniona, Cuomo i Adams zaczęli wskazywać palcem na Mamdaniego – jako że był poza krajem, a także by przypomnieć jego wcześniejsze stanowisko dotyczące bezpieczeństwa publicznego.

To, co wydarzyło się później, zaskoczyło wszystkich. Wspomniany funkcjonariusz policji, Didarul Islam, był bangladesko-amerykańskim muzułmaninem i znajdował się w tym samym meczecie co Mamdani podczas obchodów Id al-Fitr (Święta Przerwania Postu). Kiedy Katz zadzwonił do polityka o 4:00 rano, ten natychmiast wrócił do Stanów, a z lotniska Kennedy'ego pojechał prosto do rodzinnego domu ofiary na Bronksie, gdzie spędził godzinę z żałobnikami. Jeszcze tego samego dnia w poruszający sposób skrytykował Cuomo i Adamsa, oskarżając ich, że próbowali „cynicznie zbić polityczny kapitał", zamiast wesprzeć rodzinę zabitego. Stojąc ze współzałożycielem Bangladeshi American Police Association (Stowarzyszenia Bangladesko-Amerykańskich Policjantów), Mamdani powiedział, iż nie da się zastraszyć zarzutami – które pogrążyły już wielu postępowców – że jest zbyt miękki wobec przestępczości. Jeśli tamto tragiczne wydarzenie stanowiło ponury test na burmistrza, wyglądało na to, że polityk go wówczas zdał.

eprasa.pl fc0d95e1fd

Jednak jego wielekroć powtarzana deklaracja, że nakaże policji aresztować premiera Izraela Benjamina Netanjahu, jeśli podczas burmistrzowskiej kadencji Mamdaniego ten pojawi się w Nowym Jorku, zakłopotała wielu jego sprzymierzeńców – i dostarczyła paliwa jego wrogom.

Mówił, że w ten sposób uhonoruje nakaz wydany przez Międzynarodowy Trybunał Karny, który skazał Netanjahu za zbrodnie przeciwko ludzkości w Gazie. Jednak Stany Zjednoczone nie uznają jurysdykcji trybunału, a eksperci w dziedzinie prawa uważają, że aresztowanie byłoby najprawdopodobniej nielegalne. Co więcej, mogłoby wywołać coś w rodzaju konstytucyjnego kryzysu i konfliktu z wydziałem policji. Trump zapowiedział już, że wtedy sam by zainterweniował.

Aresztowanie Netanjahu nie jest najważniejsze dla lewicowej bazy wyborców Mamdaniego. Kiedy zapytałem Gustava Gordillo, szefa nowojorskiego oddziału DSA, o to, jakie obietnice wyborcze Mamdaniego uważa za niepodlegające negocjacjom, wymienił przystępność cenową. Zagadnąłem też Murada Awawdeha, który przewodzi New York Immigrant Coalition (Nowojorskiej Koalicji Imigrantów) i zna Mamdaniego z MDCNY, czy aresztowanie Netanjahu jest istotne dla niego jako Palestyńczyka. Odparł, że nie.

Niektórzy z żydowskich zwolenników Mamdaniego ostrzegają, że próba aresztowania premiera mogłaby bezpowrotnie zerwać więzi, które w pocie czoła starał się nawiązać. Brad Lander, kontroler finansowy miasta i były kandydat na burmistrza, który był jego kluczowym sojusznikiem wśród liberalnych Żydów, na zapowiedź aresztowania Netanjahu wzruszył ramionami, odmawiając oficjalnego komentarza. Według Landera istotna jest inna obietnica Mamdaniego złożona w prawyborczy wieczór: „Będę wyciągał rękę i słuchał, i starał się zrozumieć". – I tę obietnicę więcej niż spełnił – ocenił Lander. Wspominał, jak towarzyszył Mamdaniemu w spotkaniu z grupą ortodoksyjnych Żydów, którzy opowiadali, że są na ulicy obrzucani antysemickimi wyzwiskami. – Po prostu empatycznie słuchał i w tamtej sytuacji otwarcie wyrażał, że uważa to za okropne – powiedział.

Jerrold Nadler, członek Izby Reprezentantów i podpora Partii Demokratycznej, który poparł Mamdaniego w czerwcu, a jest uważany za bardziej mainstreamowy żydowski głos niż Lander, oświadczył, że jego zdaniem deklaracja aresztowania Netanjahu jest „zwyczajnie nierealistyczna", bo Nowy Jork nie ma takiej możliwości prawnej. Ale dodał, że docenia wrażliwość (kryjącą się za wypowiedziami kandydata).

Mamdani pozostaje jednak nieugięty, choć akurat jeśli chodzi o tę obietnicę wyborczą, istnieje ryzyko, że zostanie ona wystawiona na próbę. Netanjahu, podobnie jak Trump, jest skory do prowokacji i spokojnie mógłby pojawić się w przyszłym roku w Nowym Jorku tylko po to, by wytknąć nowemu burmistrzowi blef.

Mamdani zaangażował wyborców, którzy w 2024 roku odwrócili się od Partii Demokratycznej: niebiałych obywateli z klasy ludowej, ludzi młodych i Amerykanów w pierwszym pokoleniu. Jednak to, czy jego program zostanie przyjęty szerzej, zależy od woli politycznej.

Gdy wracaliśmy ze śniadania, Mamdani ponowił swoją obietnicę. – To ważne, by miasto Nowy Jork funkcjonowało zgodnie z przepisami prawa międzynarodowego – powiedział stanowczo. Zapytałem, jak to stanowisko wpisuje się w pozostałe zapewnienia: że jego jedynym celem jest załatwienie darmowych autobusów i niskich czynszów; zdaje on sobie sprawę, że jego administracja będzie surowiej oceniana; że nie może patrzeć, jak politycy nie skupiają się na działaniach, które przynoszą realne zmiany.

Jednak wówczas tłoczyliśmy się już na Manhattanie w windzie towarowej z ogromnym ochroniarzem, w drodze do biura wyborczego. Jako że kończył mi się czas, kandydat odpowiedział krótko, dając znać, że wywiad dobiegł końca.

– Czy to obietnica wyborcza, która jest zgodna z rządzeniem? – zapytałem.

– Pokażemy, że tak – odparł.

—

TRUDNO ORZEC, czy to dobrze, czy źle, ale wyjątkowo dużo najbardziej wpływowych postaci Partii Demokratycznej mieszka aktualnie w Nowym Jorku. Schumer i Jeffries, obaj z Brooklynu, przewodzą własnym frakcjom w Kongresie. Posłanka Alexandria Ocasio-Cortez z Bronksu jest najsłynniejszą progresywną polityczką i prawdopodobną kandydatką na prezydentkę w 2028 roku. Mamdani zajął już swoje miejsce w szeregu, wchodząc w przepychanki nie tylko ideologiczne, lecz także pokoleniowe.

Większość nowojorskich demokratów poparła Mamdaniego, w tym kluczowi dla jego strategii urzędnicy z Albany [tak określany jest parlament stanowy Nowego Jorku mający swoją siedzibę w mieście Albany i złożony ze Zgromadzenia Stanowego oraz Senatu Stanowego – przyp. red.]: gubernatorka Kathy Hochul, Carl Heastie – przewodniczący Zgromadzenia Stanowego, a także przechodzący na emeryturę Nadler czy Yvette Clarke, przewodnicząca Congressional Black Caucus (CBC) – grupy zrzeszającej czarnych kongresmenów.

Nawet najważniejsi z demokratów, tacy jak Barack Obama czy była wiceprezydentka Kamala Harris, zadzwonili do Mamdaniego z gratulacjami – i chcieli, by było o tym głośno, wysyłając tym samym jasny sygnał, że widzą, jaki wzbudza entuzjazm, nawet jeśli nie zgadzają się ze wszystkim, co mówi lub robi.

Ciepłe przyjęcie przez establishment tylko podkreśliło reakcje – a raczej ich brak – ze strony Jeffriesa, Schumera i innych oponentów, choćby nowojorskiej senatorki Kirsten Gillibrand. Jeffries i Schumer wypowiadali się mało konkretnie: nie wyrazili poparcia dla Mamdaniego po prawyborach, jednak również go nie odmówili. Reprezentant Tom Suozzi, demokrata z niezdecydowanego politycznie stanu, obejmujący swoim mandatem wschodnie Queens i Long Island, zadeklarował, że Mamdani nigdy nie otrzyma jego głosu: „Socjaldemokraci powinni stworzyć swoją własną partię, bo ja nie chcę tego w mojej".

Napięcie to było wyraźnie wyczuwalne w fascynującym momencie, którego byłem świadkiem w sierpniu, podczas śniadania z okazji West Indian American Day Parade

eprasa.pl fc0d95e1fd

na Brooklynie, dorocznego wydarzenia charytatywnego i stałego punktu w letnim kalendarzu wszystkich nowojorskich demokratów. Podszedłem wówczas do Jeffriesa z prośbą o wywiad na temat Mamdaniego i ogólniej – rywalizacji o fotel burmistrza. Zgodził się i skierował mnie do swoich pracowników politycznych, którzy potwierdzili później, że będzie zainteresowany rozmową.

Podczas śniadania Jeffries przemawiał, podkreślając ekonomiczny chaos spowodowany cłami Trumpa i cięciami Medicaid [państwowego programu pomocy socjalnej w USA, zapewniającego potrzebującym darmowe ubezpieczenie zdrowotne – przyp. red.] zawartymi w niedawnej ustawie budżetowej, która przeszła w zdominowanym przez republikanów Kongresie. Codzienna śpiewka demokratów. Gdy jednak pojawił się Mamdani, nagle zapanowała taka ekscytacja, której nawet Jeffries nie mógł zignorować. Błyskały flesze, ludzie pchali się po *selfie*, a część reporterów zgromadzonych wokół mówcy opuściła go, rzucając się w pogoń za kandydatem na burmistrza.

Gołym okiem było widać, że sprawy potoczyły się tak szybko, że Jeffries, kongresmen z Brooklynu, osobiście namaszczony przez Nancy Pelosi na jej następcę na stanowisku przewodniczącego obradom Izby Reprezentantów, mający wprowadzić Demokratów w przyszłość, być może przegapił swój moment.

Po miesiącu wciąż nie wyglądało na to, by Jeffries wiedział, jak sobie radzić z Mamdanim. „Po prostu nie zabrałem głosu w żaden sposób" – powiedział o wyścigu o fotel burmistrza podczas wrześniowego programu Dona Lemona na YouTubie.

Schumer wyjawił jeszcze mniej, sygnalizując przez swoich doradców, że choć prywatnie lubi Mamdaniego, obawia się, że gdyby oficjalnie go poparł, mogłoby to mieć jakiś wpływ na wyniki Partii Demokratycznej w wyborach uzupełniających do Senatu (poza tym jest jeszcze tamto aresztowanie z 2023 roku podczas protestu). Senatorka Gillibrand z kolei musiała zadzwonić do Mamdaniego z przeprosinami po tym, jak niesłusznie stwierdziła, że „robił aluzje do światowego dżihadu".

Ostatecznie nie udało mi się porozmawiać z Jeffriesem o Mamdanim. Kilka telefonów do ludzi z jego zespołu pozostało pozbawionymi odpowiedzi nagraniami na poczcie głosowej. W październiku 2025 roku poinformowałem ich, iż będę musiał napisać, że polityk przez wiele miesięcy unikał rozmowy o Mamdanim [ostatecznie poparł go dwa tygodnie przed wyborami na burmistrza, które odbyły się 5 listopada 2025 roku – przyp. red.]. Schumer i Gillibrand odmówili wywiadu.

Oficjalne wparcie rzadko ma duży wpływ na wybory. Jest jednak dobrym miernikiem pozycji kandydata we własnej partii, a fakt, że tak wiele znanych w całym kraju postaci wstrzymało się w kampanii od poparcia Mamdaniego, świadczył o trwającym w ugrupowaniu okresie rozliczeń. Mamdani zaangażował wyborców, którzy w 2024 roku odwrócili się od Partii Demokratycznej: niebiałych obywateli z klasy ludowej, ludzi młodych i Amerykanów w pierwszym pokoleniu. Jednak to, czy jego program zostanie przyjęty szerzej, zależy od woli politycznej. „Opodatkowanie milionerów dobrze wypada w sondażach" – mówił Heastie, udzielając poparcia Mamdaniemu. Równie dobrze wypada krytykowanie Izraela.

Dlatego tym, co najciekawsze w relacji Jeffries–Mamdani (albo jej braku) jest to, co się pod nią kryje. W wyborach do Kongresu Mamdani wygrał w okręgu wyborczym

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina poleca

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

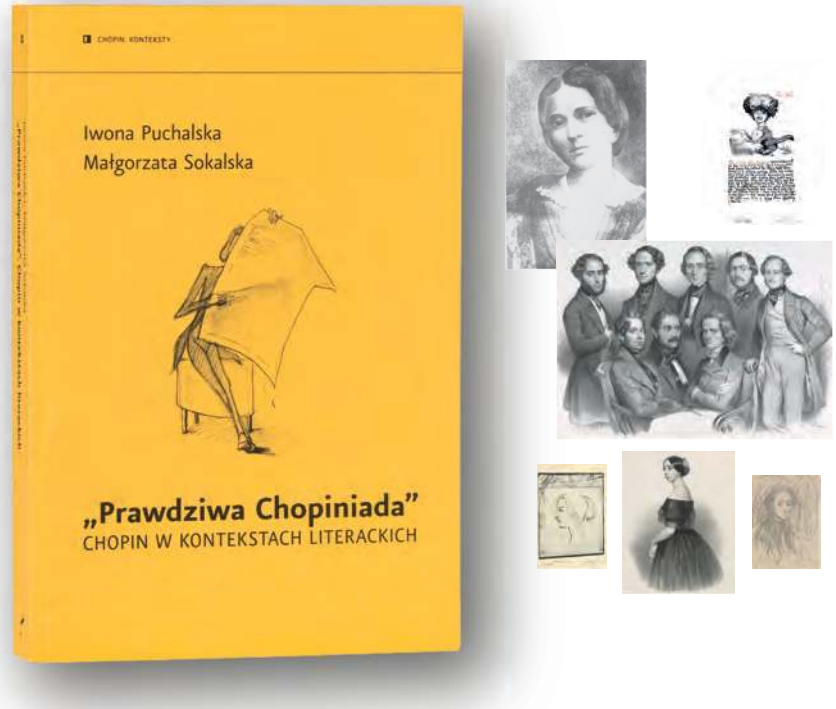

Literatura w rozmaitych jej odmianach towarzyszyła twórczości Chopina od początku jego drogi artystycznej. I nawet jeśli nie zawsze była to literatura szczególnie wysokich lotów, to nie sposób jej pominąć. Nie tylko dlatego, że recepcja jego dzieł od zarania była silnie naznaczona romantyczną ideą korespondencji sztuk, ale choćby i dlatego, że literaturoznawcze metody badań okazują się niezbędne przy korzystaniu z najbardziej elementarnego źródła wiedzy na temat kompozytora, jakim jest jego korespondencja. Biografia i muzyka Chopina dostarczyły ponadto inspiracji wielu pisarzom i poetom, zarówno polskim, jak i z całego świata, a ich teksty tworzą olbrzymią bibliotekę literackich chopinianów, która mimo że niejednokrotnie już eksplorowana i opisywana, nadal skrywa wiele zagadek, a przede wszystkim – stale się powiększa.

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Książka do nabycia w sklepie online: **sklep.nifc.pl** oraz w sklepach stacjonarnych Muzeum Fryderyka Chopina

eprasa.pl fc0d95e1fd

Jeffriesa, osiągając przewagę około 12 punktów, podobnie jak i we wszystkich okręgach ogółem. I zrobił to bez błogosławieństwa tradycyjnych *gatekeeperów*, poszerzając elektorat o nowych wyborców: tę samą strategię starał się zastosować Sanders w prawyborach prezydenckich w Partii Demokratycznej w latach 2016 i 2020.

Według niedawnej analizy danych z prawyborów przeprowadzonej przez Gothamist [popularny blog o nowojorskiej tematyce – przyp. red.] 7 procent nowojorskich wyborców to osoby, które w prawyborach w 2025 roku zarejestrowały się po raz pierwszy (wzrost o 5 procent w porównaniu do wyborów w Partii Demokratycznej cztery lata wcześniej), co przekłada się na 76 860 wcześniej niegłosujących z 1 071 730 wyborców ogółem. Większość z nich należy do grupy wiekowej 18–34 lata i pochodzi z okręgów, w których wygrał Mamdani. To wszystko oznacza, że miasto się zmieniło, a wraz z tym ewoluuje jego demokratyczna polityka – w sposób, który może zapowiadać przetasowania sojuszy w całym kraju.

Zarówno Jeffries, jak i Schumer mają przed sobą perspektywę rywalizowania z lewicowcami podczas prawyborów w nadchodzących cyklach wyborczych. Ocasio-Cortez mogłaby kandydować w 2028 roku na prezydentkę lub zostać główną rywalką Schumera w prawyborach – w obu przypadkach z nowym burmistrzem Nowego Jorku jako prawdopodobnym sojusznikiem. Jeffries ma bardziej palący problem, jako że w 2026 roku zamierza ubiegać się o reelekcję [do Izby Reprezentantów – przyp. red.], a w jego brooklińskim okręgu emocje wokół Mamdaniego są szczególnie silne. Jednym z rywali może zostać Chi Ossé, członek rady miasta z Brooklynu, który na wczesnym etapie kampanii wyraził poparcie dla Mamdaniego. Innym mógłby być Jabari Brisport, senator stanowy, członek DSA – i bliski przyjaciel Mamdaniego.

Jeśli chodzi o starą gwardię w mieście, antypatia Jeffriesa wobec DSA nie jest pozbawiona podstaw. Przez lata ugrupowanie reprezentowało najgorsze cechy tak zwanych Bernie Bros – „ziomali Berniego" – należeli tu głównie biali mężczyźni po elitarnych szkołach wyższych, o których z wielką rozkoszą opowiadali. Pisali posty o polityce, ale rzadko brali udział w rzeczywistej, brudnej politycznej robocie. Nawet sami członkowie tej grupy, na przykład senatorka stanowa Julia Salazar, pierwsza członkini DSA, która dostała się w 2018 roku do Albany, mówili, że organizacja rozwinęła się, a Mamdani pokazał, że przy odpowiednim kandydacie można rozszerzyć model jej działania poza pierwotne środowisko.

Ta ekspansja nie przebiega jednak bez bólów wzrostowych – i wyborczego ryzyka. Podczas kampanii w wyborach na fotel burmistrza, być może po raz pierwszy w swojej karierze politycznej, Mamdani doświadczył krytyki ze strony lewicy. Spotkania z wyborcami zakłócali manifestanci propalestyńscy, krytykując jego stanowisko o prawie Izraela do istnienia. W niektórych lewicowych mediach społecznościowych coraz częściej bywa uznawany za sprzedawczyka.

Wspomniany Gustavo Gordillo spodziewa się, że kadencja burmistrzowska Mamdaniego, podobnie jak i prawybory, posłuży do zaprezentowania dojrzałości organizacji. Przyjrzałem się więc hipotetycznym sytuacjom, które mogą zachodzić podczas urzędowania nowego burmistrza: co, jeśli pozostawi Jessicę Tisch na stanowisku komisarki policji? Co, jeśli nie poprze członków DSA, z którymi rywalizował w prawyborach, kandydujących przeciwko obecnie piastującym urzędy demokratom?

Kiedy rozmawiałem z Gordillem po raz pierwszy, twierdził, że umie sobie wyobrazić świat, w którym żadne z tych radykalnych posunięć Mamdaniego nie spali mostów między nim a lewicą z DSA. Jednak kilka tygodni później, gdy perspektywa pozostania Tisch na stanowisku zaczęła wydawać się coraz bardziej realna, Gordillo uznał, że jednak mogłoby to stanowić problem – co odzwierciedla potencjalne napięcie między Mamdanim jako burmistrzem a bezkompromisowymi lewicowymi wyborcami, którzy pomogli mu objąć urząd.

Gordillo postawił sprawę jasno jeszcze w innej kwestii: nie chce, by Mamdani zrezygnował z prób opodatkowania milionerów.

– Podatek dla milionerów jest czymś, czego wszyscy pragniemy i oczekujemy. Wycofanie się z tego zmieniłoby projekt, do którego wdrożenia dążymy – powiedział. Zwróciłem uwagę, że Mamdani wysyłał już sygnały świadczące o jego elastyczności w kwestii podatku, kiedy mówił mi, że „ważniejsze jest, co ufundujemy, niż to, w jaki sposób".

– Gdyby w magiczny sposób pojawiały się fundusze federalne na wszystkie projekty, które chciał wprowadzić, moglibyśmy rozmawiać. Ale tego nikt się nie spodziewa – odparł Gordillo.

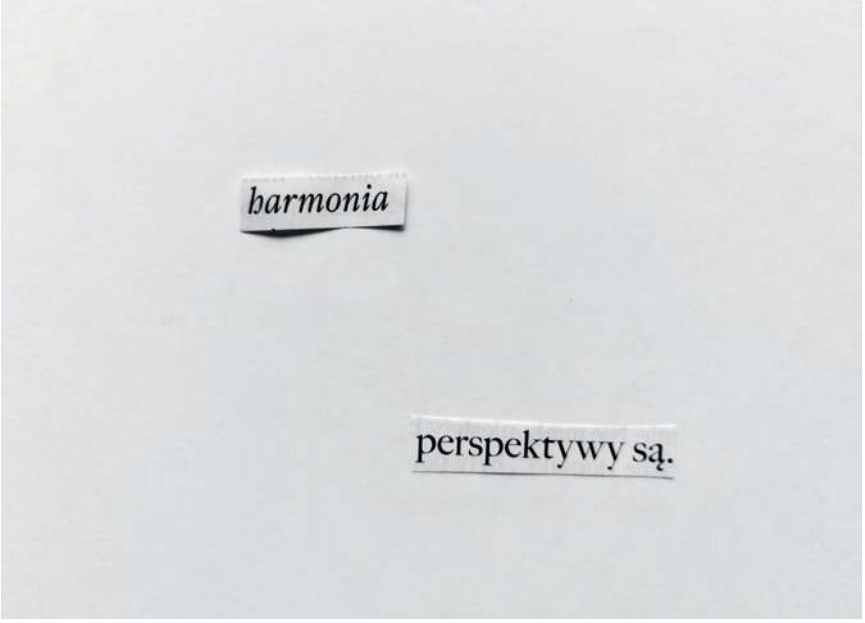

eprasa.pl fc0d95e1fd

W przeciwieństwie do niego Mamdani mówi o sobie jako o demokracie. Nie zgadza się ze stanowiskiem Jeffriesa, że rywalizacja demokratycznych kandydatów podczas prawyborów odciąga uwagę od głównego zadania: zjednoczenia opozycji wobec Trumpa.

– Widzę kilka najbliższych lat jako szansę na spełnienie obietnic wyborczych – powiedział Mamdani, kiedy zapytałem, czy rozważyłby poparcie w prawyborach demokratycznego kandydata. – I uważam, że wdrożenie tych politycznych zobowiązań mogłoby nie tylko przeobrazić naszą rzeczywistość polityczną, lecz także stosunek ludzi do polityki – dodał. Raczej nie była to odpowiedź na moje pytanie. Spróbowałem jeszcze raz: – Czy nadejdzie kiedyś taki moment, kiedy zdystansujesz się od DSA i powiesz: „Teraz jestem demokratą?".

W tym momencie podszedł do nas kelner, dając Mamdaniemu szansę na zrobienie jednej z jego pauz. Po chwili poprosił mnie o doprecyzowanie pytania, a ja spytałem, czy kiedykolwiek poprze piastującego stanowisko demokratę, zamiast jego rywala z DSA.

– Warunki, na podstawie których przyjmuję i wyrażam poparcie, są zgodne z moim programem – powiedział z namysłem, po czym wyjaśnił: – Jestem otwarty na współpracę z każdym, by ten program zrealizować.

Jego wejście do wielkiej polityki mogłoby na nowo ożywić lewicowych demokratów. Po wygranej Bidena w 2020 roku władzę w Partii Demokratycznej w ostatnich latach na tyle zdecydowanie przejął establishment, że jej lewa strona ucichła. Zarówno Sanders, jak i Ocasio-Cortez, niegdyś krytyczni, stali się kluczowymi postaciami popierającymi bidenowski Biały Dom w kwestiach krajowej polityki ekonomicznej czy kryzysu klimatycznego. Ocasio-Cortez – zdecydowanie najważniejszy głos pokolenia milenialsów wśród demokratów – broniła próby reelekcji Bidena nawet po jego katastrofalnym występie w debacie prezydenckiej. Ona również nie odpowiedziała na moje liczne prośby o komentarz (podobnie jak w przypadku Jeffriesa jej ludzie parę razy zapewnili, że byłaby otwarta na rozmowę, po czym kilka następnych wiadomości pozostało bez odpowiedzi).

Adriano Espaillat, dominikańsko-amerykański kongresmen, który początkowo popierał Cuomo, a następnie Mamdaniego, powiedział mi, że pokoleniowy i polityczny podział, o jakim mówił Mamdani w kontekście środowiska czarnoskórych i Żydów, odnosi się również do Latynosów. Stwierdził, że Cuomo ma „znane nazwisko" w jego okręgu, ale Mamdani dysponuje czymś cenniejszym – świeżymi pomysłami.

Ten podział jest również powodem pewnego niepokoju. Niektórzy z demokratów obawiają się, że nasilająca się imigracja, wliczając w to zjawisko przybyszów z Azji Południowej, Latynosów i Amerykanów w pierwszym pokoleniu, mogłaby odebrać im polityczną władzę wewnątrz partii. A wielu lokalnych urzędników, wybranych na zajmowane stanowiska, odmówiło rozmowy na temat Mamdaniego i konsekwencji zmieniających się sojuszy – choćby członek Izby Reprezentantów Anthony Meeks, demokrata z Queens stojący na czele komitetu wyborczego CBC, który również nie poparł Mamdaniego, czy Adrienne Adams, przewodnicząca rady miasta i kandydatka na burmistrzynię w prawyborach demokratów.

Z celebryckich spotkań uczynił stały element swojej kampanii. Pojawił się na koncertach Wu-Tang Clan w Madison Square Garden i na występie Lucy Dacus. Emily Ratajkowski, modelka, w dniu prawyborów zamieściła klip na Instagramie, w którym stoi z Mamdanim ubrana w koszulkę z napisem „Hot Girls For Zohran".

Swym milczeniem potwierdzają ostateczną przewagę lewicy w czasach politycznych wstrząsów. Triangulacja polityczna niebezpiecznie traci na autentyczności, ale stanowiła model postępowania większości mainstreamowych kandydatów demokratycznych, odkąd tę clintonowską postawę przyjął w 2008 roku Obama. Pozbawiony jednak wyjątkowego kandydata oraz mitu, że Trump jest aberracją, obamizm został obnażony, więc demokratyczny establishment gorączkowo poszukuje teraz planu B.

Sytuacja ta aż nadto przypomina punkt, w jakim około dekady temu znaleźli się republikanie, kiedy reelekcja Obamy ujawniła przepaść dzielącą liderów partii oraz ich wyborców z klasy ludowej. Zbliżały się wybory w 2016 roku. Wszyscy wiemy, co stało się później.

—

OBAJ JESTEŚMY kibicami europejskiego futbolu – tymi, którzy nastawiają sobie budzik na 7:00 rano, by co tydzień oglądać, jak drużyna po drugiej stronie świata nas zawodzi. Dlatego właśnie jego postać majaczyła mi czasem w świecie pozapolitycznym jeszcze przed wyborami na burmistrza – wiedziałem choćby, że lubi Arsenal (pisał o tym w mediach społecznościowych). Również z tego powodu rozumiałem, jak ważne jest dla niego to wrześniowe popołudnie w brooklińskim barze FancyFree na Fort Greene, gdzie kibicował właśnie Arsenalowi wraz ze Spikiem Lee, być może jedynym – poza nim samym – sławnym Nowojorczykiem, który również uwielbia tę drużynę.

Po około 30 minutach gry byli już dobrymi kumplami, wspólnie się złościli, walili w ścianę z frustracji albo intonowali arsenalowe przyśpiewki (Lee wyglądał na poirytowanego, że ludzie Mamdaniego mnie tam zaprosili, i dał mi wyraźnie do zrozumienia, że jest tam tylko po to, by oglądać piłkę nożną, a nie gadać z reporterem o polityce). Gdy skończyła się pierwsza połowa, stali bywalcy pożegnali wychodzącego Mamdaniego, wyśpiewując jego imię na melodię *Seven Nation Army* – co stanowiło uniwersalny, futbolowy znak aprobaty.

Z takich spotkań z celebrytami uczynił stały element swojej kampanii. Pojawił się na koncertach Wu-Tang Clan w Madison Square Garden i na występie Lucy Dacus. Emily Ratajkowski, modelka, aktorka i znana postać w mediach społecznościowych, w dniu prawyborów zamieściła klip na Instagramie, w którym stoi z Mamdanim ubrana w koszulkę z napisem „Hot Girls For Zohran" („Gorące dziewczyny za Zohranem"). Klip otrzymał ponad 300 tysięcy polubień.

eprasa.pl fc0d95e1fd

Ta mieszanka kultury i polityki należała do rozpisanego nad kawą w Qahwah House planu, w którym Mamdani podkreślał, że zwycięstwo wymaga obecności w mediach społecznościowych. W końcu jest synem Miry Nair i z mlekiem matki wyssał prawdę, że opowiadanie historii może kształtować rzeczywistość polityczną. W czasie spędzonym w Zgromadzeniu Stanowym [zasiadał w nim od 2021 roku – przyp. red.] studiował postaci pokroju Ocasio-Cortez czy Ossego, popularnego na TikToku członka rady miasta, i kontaktował się z nimi. Uczył się od nich strategii w mediach społecznościowych, by potem spróbować stworzyć własną. Wymagało to wprowadzenia pewnej istotnej zmiany: zdystansowania się do bazującego na krótkich wpisach serwisu X na rzecz platform w rodzaju YouTube'a i rolek na Instagramie, których ton i format bardziej pasują do zrzeszania się wokół jego programu politycznego.

Cyfrowa działalność Mamdaniego, prowadzona przez dyrektora kreatywnego Andrew Epsteina, już od wczesnego etapu kampanii stała się jej wysoko ocenianym elementem, a inwestycja natychmiast okazała się opłacalna: w jednym z pierwszych klipów, w którym Mamdani wyjaśnia rosnące ceny w nowojorskich *food truckach* z żywnością halal (co nazwał halalflacją), zebrał ponad 360 tysięcy odsłon na YouTubie, ściągając do kandydata jego naturalną publiczność.

Mamdani mówi, że jego wyobraźnia polityczna zrodziła się z konieczności. Aby przeprowadzić swoje polityczne plany i podtrzymać pierwszą tego rodzaju koalicję, która przywiodła go do progu władzy, testuje granice swojego kapitału politycznego, nawet mając ponad cztery miliony obserwujących na Instagramie i rozległą sieć aktywnych wolontariuszy. – Polityka nie jest czymś, co po prostu trzeba mieć – powiedział. – To coś, co trzeba robić.

– Po raz pierwszy od dawna ściągnęliśmy do polityki tylu nowych wyborców i wiąże się z tym odpowiedzialność, by nie zmarnować pokładanej w nas nadziei. Nie dostaje się drugiej szansy, aby przekonać innych, że zasługuje się na miejsce w polityce naszego miasta i naszego kraju – ciągnął.

Lee i Mamdani zapozowali do zdjęć, po czym ruszyłem wraz z nim w kierunku Bronksu. Spieszył się, by zdążyć na African American Day Parade w Harlemie, doroczne święto odbywające się wzdłuż Adam Clayton Powell Jr. Boulevard. Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, na początku września, rozstaliśmy się na kilka godzin przed tym, jak gruchnęła wieść o zastrzeleniu w Utah konserwatywnego aktywisty Charliego Kirka, co wznowiło dyskusję o głębokiej polaryzacji Ameryki i przemocy, jaka się z niej rodzi. Chciałem teraz od śmierci Kirka rozpocząć rozmowę, zwracając uwagę, że Mamdani również wiedzie publiczne życie.

Z mlekiem matki wyssał prawdę, że opowiadanie historii może kształtować rzeczywistość polityczną. Jednym z pierwszych klipów, w którym Mamdani wyjaśnia rosnące ceny w nowojorskich food truckach *z żywnością halal, zebrał ponad 360 tysięcy odsłon na YouTubie.*

Powiedział, że to zabójstwo było „czymś potwornym" i że dowiedział się o nim z mediów społecznościowych, gdzie zarówno jemu, jak i wielu innym zaserwowano brutalny klip wideo z tego przerażającego momentu.

Dodał, że atak „uwidocznił, jak tkanka tego kraju rozchodzi się w szwach, i przyszedł moment, w którym wszyscy patrzymy w otchłań". Przyznał, że bardziej niż o siebie niepokoi się o „ludzi ze swojego otoczenia" i że w następstwie ataku jego zespół wprowadził pewne zmiany w protokołach bezpieczeństwa. – Naprawdę? – spytałem. – Widząc to wszystko, nie martwisz się o samego siebie? – Zastanawiałem się nad tym, ponieważ o ryzyku przemocy otwarcie mówili mi sprzymierzeńcy Mamdaniego, przywołując obawy, które miało wielu czarnych wyborców wobec historycznego wyścigu Obamy o prezydenturę w 2008 roku.

– Staram się nie martwić – odparł. Jednak zaledwie tydzień wcześniej pewien Teksańczyk stanął przed sądem pod zarzutem grożenia politykowi i jego rodzinie śmiercią: twierdził, że pragnie „zobaczyć, jak [czaszkę Mamdaniego – przyp. A.W.H.] przeszywa kula Sił Obronnych Izraela".

– Myślę, że długo wydawało się, iż najbezpieczniejsze, szczególnie dla muzułmanina prowadzącego życie publiczne, jest chowanie się w cieniu – powiedział Mamdani. – Widzimy jednak, że bezpieczeństwo jest czymś aż nadto kruchym. A jeśli pozwalasz się zastraszyć, poniekąd dajesz przyzwolenie na kontynuację właśnie takiej polityki – dodał.

Rozmowa przeniosła się na temat pokłosia zabójstwa Kirka, konkretnie zaś na decyzję telewizji ABC, by po skargach Trumpa i konserwatywnych aktywistów zdjąć z anteny program Jimmy'ego Kimmela. Mamdani potępił tę decyzję, a następnego dnia odwołał spotkanie z lokalną redakcją ABC, biorąc udział w zainicjowaniu fali bojkotów, które pomogły przywrócić popularną audycję.

– Nie da się opowiedzieć historii o autorytaryzmie Trumpa, nie wspominając o tchórzostwie licznych instytucji w całym kraju – skomentował sprawę. Następnie poradził liderom tych instytucji, Partii Demokratycznej, społeczeństwu: – Jeśli chcecie odeprzeć ten atak na nasze miasto, nasze wartości i naszych ludzi, to najskuteczniejszą metodą jest walka. A nie ustępowanie – powiedział.

Artykuł pierwotnie ukazał się w wydaniu weekendowym „New York Timesa" – „Sunday Magazine" z 19 października 2025 roku. Astead W. Herndon © 2025 THE NEW YORK TIMES COMPANY.

eprasa.pl fc0d95e1fd

APTECZKA Kulturalny niezbędnik złożony z najważniejszych książek, reprodukcji obrazów, filmów i płyt, ale też wspomnień o miejscach, formujących doświadczeń. Moich rozmówców i rozmówczynie pytam o to, co przynosi im spokój, napędza do działania i ratuje w momentach kryzysu. Z czego składa się kulturalna apteczka powieściopisarki OTTESSY MOSHFEGH?

Stop hierarchii doświadczeń

OTTESSA MOSHFEGH (ur. 1981), amerykańska powieściopisarka o korzeniach chorwacko-irańskich. Laureatka m.in. Pushcart Prize, O. Henry Award i Plimpton Discovery Prize. Nominowana do National Book Critics Circle Award i do Nagrody Bookera. Autorka czterech powieści: *Eileen*, *Mój rok relaksu i odpoczynku*, *Śmierć w jej dłoniach* i *Lapvona* (Wydawnictwo Pauza).

Nie darzę przedmiotów zbyt dużym sentymentem, nigdy nie miałam też potrzeby ich gromadzenia. Dlatego kiedy myślę o tym, czego szukam, gdy potrzebuję sobie pomóc, wcale nie mam przed oczami rzeczy materialnych. Moja apteczka przypomina raczej drogowskaz – składa się z przydatnych w danym momencie praktyk, które pomagają mi nie zboczyć z obranej ścieżki. Sięgam po nią, by zrobić stop-klatkę i w spokoju przeanalizować daną sytuację, dzięki czemu jestem w stanie nie wpaść w kolejny schemat i nie powielić już raz popełnionych błędów.

W swoich książkach piszę o ludziach w jakiś sposób niepasujących do otaczającej ich rzeczywistości. Żeby zrozumieć, co przeżywają, trzeba poznać świat, który traktuje ich jak outsiderów, a także rządzące nim mechanizmy. Dlatego stawiam znak równości między byciem pisarką a byciem uważną obserwatorką. Jeśli chcę w powieści podjąć się wiwisekcji najmroczniejszych zakamarków ludzkiej psychiki, nie wystarczy, że zamknę się w czterech ścianach i swojej głowie. Gdy pojawia się nowy pomysł, daję mu się prowadzić. Wychodzę z domu i szeroko otwieram oczy.

W ten sposób, podążając za pisarskim instynktem, trafiłam do Brighton. Czułam, że to właśnie w takim miejscu jak ten nadmorski kurort w południowej Anglii powinna rozgrywać się akcja mojej kolejnej powieści. W ciągu ostatnich kilku lat jeszcze dwukrotnie odwiedziłam to miasto w poszukiwaniu inspiracji. Po powrocie do Kalifornii, gdy skończyłam pierwszy draft tekstu, uświadomiłam sobie jednak, że przede mną wciąż długa droga, by ta historia mogła ujrzeć światło dzienne, więc odłożyłam pracę na bok, by nabrać do niej dystansu. Pracując nad książką, staram się być uważna nie tylko na świat zewnętrzny, lecz także na to, co podpowiada mi intuicja – aby rozpoznać moment, w którym trzeba powiedzieć sobie „stop" i przynajmniej na jakiś czas zająć głowę czymś innym. Myślę, że właśnie dlatego ukazuje się coraz więcej słabych książek: ktoś, zamiast zrobić sobie przerwę, postanowił jak najszybciej pozbyć się tekstu, opublikować coś, co budziło w nim wątpliwości.

Trudno o taką odwagę, gdy nieustannie jesteśmy oceniani przez pryzmat kapitalistycznych mierników, takich jak produktywność. Prokrastynacja urasta dziś do rangi największej z możliwych zbrodni, bo rzekomo oddala nas od końcowego efektu naszej pracy. Ten kaganiec, który sami na siebie nałożyliśmy, sprawił, że w codziennym życiu również zaczęliśmy przedkładać efekty ponad wszystko inne. Sama od lat tworzę listy zadań. Pomaga mi to uspokoić chaos panujący w mojej głowie. Jednak by uwolnić się od ciągłej presji, musiałam dać sobie prawo do bycia niedoskonałą i nauczyć się nie tworzyć hierarchii doświadczeń: nie wartościować tego, co danego dnia udaje mi się wykreślić z listy. Czasem sukcesem jest ukończenie rozdziału czy odbycie serii ważnych spotkań, a innym razem coś tak prozaicznego, jak posprzątanie kuchni po śniadaniu lub długi spacer z psami. Wolę doceniać każdy wysiłek, który podejmuję, niż karać się za to, czego nie zrobiłam.

Każdy moment jest dobry, by zacząć kwestionować kapitalistyczny sposób myślenia. Latem, podczas krótkiego pobytu w Nowym Meksyku, zupełnie spontanicznie zaczęłam rysować. Wszystkie dni zaczynałam tak samo: od naszkicowania jednego portretu [w tym momencie, podczas naszej wideorozmowy, Ottessa wyciąga z szuflady spory notes i pokazuje mi kilkanaście surrealistycznych rysunków; część z nich ma charakterystyczny dla pisarki pieprzyk po lewej stronie twarzy – przyp. M.R.]. Każdy z nich jest jakąś przedziwną wersją mnie – wyraża to, co akurat czułam. Dzięki rysowaniu mogłam choć na chwilę się uziemić, skontaktować ze sobą. Jednocześnie czerpałam radość z robienia czegoś zupełnie niezwiązanego ze słowami, co uznałam za na wskroś moje. I choć już dawno porzuciłam tę praktykę, wówczas pomogła mi ona wrócić na właściwe tory. Ten okres miał znaczenie, nawet jeśli nie napisałam wtedy kolejnych 100 stron książki. Czy to znaczy, że jednak jestem sentymentalna?

Rozmawiał i przełożył Mateusz Roesler

MATEUSZ ROESLER (ur. 1996), kulturoznawca, dziennikarz, badacz komunikacji. Absolwent Gender Studies IBL PAN. W „Piśmie" odpowiada za koordynację projektów i współprace strategiczne. Autor podcastu *Trzaski i szmery*. Nawiązał długofalowe partnerstwo z żółwiem Herbertem. Instagram: @mm_roesler.

rysunki ANNA GŁĄBICKA

eprasa.pl fc0d95e1fd

Kto ma prawo do miasta

tekst AGATA SKRZYPCZYK

OD WIEKÓW rozwój ośrodków miejskich napędza ten sam trend – ekspansja. Według ONZ do 2050 roku będzie w nich żyła większość z nas. W Europie ma to być nawet 75 procent populacji. Jak wspierać rozwój miast przyjaznych ich mieszkańcom?

Poranne godziny szczytu na kopenhaskim Moście Królowej Luizy wyglądają pod wieloma względami jak w każdym innym mieście. Zaspane oczy Kopenhażan, półprzytomne twarze skupione na dotarciu tam, gdzie kusi obietnica dużego kubka kawy. Tym, co wyróżnia mieszkańców stolicy Danii, jest to, że wybrali rower, dołączając do setek tysięcy miejscowych, którzy wsiadają na jednoślad każdego dnia. Aż 62 procent z nich decyduje się na ten środek transportu, aby dojechać do pracy, szkoły czy odwieźć dzieci do przedszkola. Każdego dnia pokonują oni łącznie ponad milion kilometrów dziennie. Tablica przy wjeździe na Most Królowej Luizy od strony południowej wyświetla liczbę rowerzystów w danym dniu. Z nastaniem wieczoru licznik przekroczy 40 tysięcy. Główny kanał w mieście przecina parę mostów pieszo-rowerowych, a najpopularniejszym z nich, zwanym Rowerowym Wężem, każdego dnia przejeżdża ponad 20 tysięcy rowerzystów.

Ruch na ścieżkach rowerowych jest jedynie potwierdzeniem, że strategia miejskiej mobilności działa. W latach 90. XIX wieku, podczas wytyczania pierwszej drogi rowerowej, w Kopenhadze było 2500 rowerów. Jednoślady szybko zaczęły zyskiwać na popularności i niespełna dwie dekady później ich liczba wzrosła do 80 tysięcy. Dzisiaj w mieście jest około 750 tysięcy rowerów – pięć razy więcej niż samochodów.

Organizacja Narodów Zjednoczonych promuje miejski transport rowerowy jako jeden z elementów Celów Zrównoważonego Rozwoju. Podpisana przez kraje członkowskie ONZ w 2015 roku w Nowym Jorku Agenda 2030 definiuje 17 celów na rzecz zrównoważonego rozwoju świata, czyli takiego, który uwzględnia szacunek dla planety oraz potrzeby przyszłych pokoleń. Obszary zdefiniowane przez ONZ odpowiadają na globalne wyzwania, takie jak ubóstwo, głód, zdrowie, zmiany klimatu, równość i ochrona środowiska.

Punkt 11. na liście mówi o konieczności stworzenia przyjaznych środowisku miast i społeczności. Chodzi o osiedla ludzkie, które w efektywny sposób wykorzystują dostępne zasoby i dążą do przeciwdziałania zanieczyszczeniom i ubóstwu. W idealnym scenariuszu powinniśmy obserwować sprzężenie zwrotne: gdy miasto się rozwija, ludzie czerpią korzyści ekonomiczne, zdrowotne i społeczne.

Rower faktycznie przyczynia się do zmniejszenia korków w miastach, a tym samym poziomu hałasu i emisji spalin. To korzyści, które większości z nas przyszłyby do głowy jako pierwsze. Słusznie, bo idąc za przykładem Kopenhażan, przejeżdżając kilometr na rowerze, wyemitujemy 21 gramów dwutlenku węgla, a pokonując ten sam dystans samochodem – już 271 gramów. Oznacza to, że jednoślad aż 13-krotnie obniża indywidualne

eprasa.pl fc0d95e1fd

rysunek PAWEŁ SMARDZEWSKI

eprasa.pl fc0d95e1fd

AGATA SKRZYPCZYK (ur. 1989), dziennikarka, ekonomistka i podróżniczka. Zajmuje się tematyką zrównoważonego rozwoju oraz odnawialnych źródeł energii. Stypendystka programu Transatlantic Media Fellowship Fundacji im. Heinricha Bölla, w ramach którego opisywała udział obywateli w procesie transformacji energetycznej w USA.

emisje CO_2 wynikające z wyboru pojazdu. Korzyść środowiskowa jest niezaprzeczalna. Niezależnie od tego, czy mowa o niskoemisyjności, czy inkluzywności transportu miejskiego, zapewnienie bezpiecznej infrastruktury komunikacyjnej, w tym rowerowej, jest jednym z głównych warunków zachęcania mieszkańców do pozostawienia samochodu w garażu i wybrania alternatywnych środków umożliwiających przemieszczanie się. Wśród rowerzystów wracających z pracy ulicami Kopenhagi można dostrzec ludzi w lycrze i sportowych butach, ale też pedałujących w szpilkach i eleganckich płaszczach. Popularność roweru niekoniecznie wynika tylko z pasji do sportu, ma na nią wpływ również rozbudowana infrastruktura rowerowa ułatwiająca wybór tego sposobu lokomocji.

Dane na 2024 rok dla Warszawy wskazują, że na każdego mieszkańca stolicy przypada ponad jeden samochód, a liczba pojazdów zarejestrowanych w mieście przekroczyła 2 miliony. Dla porównania – w Kopenhadze w 2023 roku było około 140 tysięcy zarejestrowanych pojazdów, co oznacza, że na pięciu Kopenhażan przypada jeden samochód. Dania należy do krajów, w których obowiązują najwyższe podatki w związku z zakupem samochodu, w niektórych przypadkach trzeba zapłacić nawet 150 procent wartości pojazdu. Ponadto Kopenhaga ma relatywnie wysokie opłaty za parkowanie w mieście – za godzinę postoju w centrum zapłacimy 50 duńskich koron, czyli prawie 30 złotych. Sztokholm natomiast wprowadził system opłaty za wjazd do śródmieścia, włączając wiele ulic do stref bez samochodu.

Londyn zmusza zmotoryzowanych do płacenia za wjazd do centrum miasta. Prawie cały obszar stolicy Wielkiej Brytanii jest objęty strefą ultraniskiej emisji (Ultra Low Emission Zone, ULEZ), a każdy kierowca pojazdu niespełniającego norm emisji spalin za wjazd do niej musi uiścić dzienną opłatę odpowiadającą ponad 60 złotym. Liczne badania pokazały, że utworzenie ULEZ przyczyniło się do obniżenia liczby samochodów niespełniających norm emisji, czyli benzynowych zarejestrowanych przed 2006 rokiem i tych na diesel sprzed 2016 roku. W centrum miasta nastąpiło obniżenie emisji spalin w porównaniu z okresem sprzed wprowadzenia tych regulacji, w tym odnotowano spadek poziomu dwutlenku azotu o 24 procent oraz pyłów zawieszonych PM2,5 o około 29 procent. Wobec wprowadzenia wspomnianych przepisów rodzi się pytanie o grupę mieszkańców, która zostanie nimi objęta. W przypadku londyńskich rozwiązań można pokusić się o stwierdzenie, że to mniej zamożne grupy społeczne mają w posiadaniu stare, wysokoemisyjne pojazdy i to głównie one odczują skutki wprowadzenia strefy z płatnym wjazdem. Z drugiej strony jednak chodzi o zmianę nawyku i otwarcie oczu na alternatywne rozwiązania transportowe.

Zmiany, choć powoli, wprowadzane są także w Polsce. Gdańsk w tym roku wystartował już z 13. edycją programu „Rowerem do pracy i szkoły. Kręć kilometry dla Gdańska". Miasto wykorzystało grywalizację, aby zachęcić mieszkańców do wybierania dwóch kółek. Uczestnicy programu dołączają do gry, w której przez trzy miesiące w specjalnej aplikacji rejestrują liczbę przejechanych kilometrów, rywalizując z innymi organizacjami o wygraną w konkursie. W wielu przypadkach odpowiednia infrastruktura w postaci ścieżek rowerowych czy rowerów miejskich już istnieje, należy jednak pomóc mieszkańcom w zmianie mentalności.

Pierwsze ścieżki w Kopenhadze, powstałe 130 lat temu, zostały wyznaczone na drogach dla powozów konnych, a później samochodów, i nie były odgrodzone od pasa ruchu. Duńska Federacja Rowerzystów od pierwszej połowy XX wieku pracowała nad stworzeniem bezpiecznych tras rowerowych w mieście. Z obserwacji chociażby centrum Warszawy wiemy, że przecinanie się samochodów i rowerów nie jest najbezpieczniejszym rozwiązaniem. W 1983 roku, podczas jednej z demonstracji w Kopenhadze, przedstawiciele Federacji wręczyli szefowi Wydziału Ruchu Drogowego Jensowi Kramerowi Mikkelsenowi dwumetrowy krawężnik. Symbolizował on żądanie rowerzystów: bezpieczne ścieżki w miastach odseparowane od samochodów. Włodarze miasta wsłuchali się w głosy mieszkańców i uwzględnili ich preferencje, projektując nowe drogi dla rowerów. Dwumetrowy kawałek betonu, umieszczony później na jednej z ulic kopenhaskiej dzielnicy Amager, stał się artefaktem kultury rowerowej, który zapoczątkował pozytywne zmiany w infrastrukturze komunikacyjnej miasta.

—

W 1968 ROKU francuski filozof Henri Lefebvre napisał pracę *Le droit à la ville* (*Prawo do miasta*). Przedstawił w niej sposób myślenia o metropoliach, zgodnie z którym to mieszkańcy – nie wyłącznie rynek czy kapitał – powinni decydować o kierunkach rozwoju przestrzeni miejskiej zgodnie ze swoimi potrzebami. Obywatel ma sprawczość oraz prawo do tworzenia, a nie tylko do milczącej akceptacji zastanego porządku.

Mimo że termin zrównoważonego miasta w dużej mierze odnosi się do niskoemisyjności, natury czy zielonych technologii, agenda ONZ przyznaje wysoki priorytet inkluzywności miast. Miasto musi zagwarantować równe szanse w dostępie do zasobów oraz uczestniczenia w życiu wspólnoty wszystkim mieszkańcom. Szczególną uwagę należy zwrócić na uwzględnienie głosów i potrzeb grup wrażliwych: kobiet, dzieci, osób z niepełnosprawnościami i seniorów. Agenda 2030 podkreśla konieczność udziału mieszkańców nie tylko w życiu społecznym, ale również w procesie planowania zasobów

eprasa.pl fc0d95e1fd

miejskich i gospodarowania nimi. Posługując się językiem Lefebvre'a, chodzi o demokratyzację prawa do miasta. Konsultacje społeczne, budżet partycypacyjny, panele obywatelskie – istnieje wiele narzędzi, dzięki którym można się wsłuchać w głos obywateli.

W 2019 roku Fundacja Sendzimira rozpoczęła projekt Wspólna Przestrzeń, w ramach którego przez trzy lata wsparła 22 gminy w przeprowadzeniu pogłębionych konsultacji społecznych dotyczących planowania przestrzennego. Celem było upowszechnienie metod i narzędzi pozwalających na zwiększenie uczestnictwa obywateli w opracowywaniu dokumentów planistycznych. Ta partycypacja – według twórców projektu – miała przełożyć się na lepsze poznanie potrzeb lokalnej społeczności oraz planowanie przestrzeni w sposób jak najlepiej jej służący.

– Ważnym elementem naszego projektu była edukacja urzędników z zakresu tego, czym w ogóle konsultacje społeczne są – mówi Agnieszka Czachowska z Fundacji Sendzimira, współautorka Wspólnej Przestrzeni. – Widzieliśmy wśród urzędników niechęć do prowadzenia konsultacji społecznych, przekonanie, że mieszkańcy nie mają odpowiednio dużo wiedzy, żeby wnieść coś wartościowego do procesu. Naszym zadaniem było uświadomienie ich, że mieszkańcy mają nieocenioną, lokalną perspektywę. Po drugiej stronie konsultacji zdania były podzielone i czasem też początkowo brakowało entuzjazmu do rozmów – dodaje Czachowska. – Część mieszkańców wyrażała zadowolenie, że ktoś ich pyta o zdanie, a część miała przekonanie, że samorządy ostatecznie nie wezmą ich głosu pod uwagę.

Projekt Wspólna Przestrzeń przedstawiał różne techniki prowadzenia inkluzywnych konsultacji i, poza elementem edukacyjnym, doprowadził do utworzenia przestrzeni publicznych i ogrodów deszczowych realizowanych we współpracy z lokalną społecznością. Poza tym pozwolił urzędnikom i mieszkańcom nabrać przekonania, że dialog między nimi może przynieść wymierne korzyści.

Konsultacje społeczne są jednym z narzędzi włączania obywateli w proces podejmowania decyzji w sprawach bezpośrednio z nimi związanych. Inna metoda, tak zwane panele obywatelskie, zakłada dłuższy proces, w którym specjalnie wybrane, reprezentatywne grupy mieszkańców, po dokładnym zapoznaniu się z tematem podczas spotkań z ekspertami, opracowują rekomendacje dla administracji. Za pierwszy panel obywatelski uznaje się inicjatywę z 2004 roku w kanadyjskiej prowincji Kolumbia Brytyjska, gdzie 161 losowo wybranych obywateli debatowało nad stworzeniem alternatywnego systemu głosowania.

– Siłą paneli obywatelskich jest przede wszystkim część edukacyjna – zauważa doktor Marcin Gerwin, politolog, specjalista do spraw partycypacji. – Mieszkańcy mają możliwość wysłuchania prezentacji ekspertów i przedstawicieli organizacji pozarządowych, mogą zadawać pytania i dociekać, o co tak naprawdę chodzi w poszczególnych propozycjach rozwiązań. To jednak nie wszystko. W ramach tak zwanej części deliberacyjnej omawiają te propozycje w małych grupach i na forum, propozycje rozwiązań „ucierają się", dzięki czemu możliwe jest znalezienie najlepszych z nich. Panele obywatelskie jak najbardziej mogą zajmować się kwestiami związanymi ze zrównoważonym rozwojem, takimi jak transport, zieleń w mieście czy odnawialne źródła energii.

Kolejną techniką partycypacji społecznej stosowaną już na całym świecie jest budżet obywatelski umożliwiający mieszkańcom bezpośredni wpływ na użytkowanie części publicznych środków. – Organizowanie konsultacji społecznych pozwala urzędnikom i radnym dowiedzieć się, czego tak właściwie oczekują mieszkańcy w danym temacie – wskazuje Gerwin. – Z kolei budżet obywatelski daje możliwość współdecydowania o wydatkach z budżetu miasta, co pozwala zwiększyć poczucie wpływu na to, co dzieje się w mieście, oraz zaangażowanie się w jego sprawy.

Porto Alegre, stolica południowego stanu Brazylii Rio Grande do Sul, w 1989 roku wprowadziło pierwszy na świecie nowoczesny budżet obywatelski. Inicjatywa powstała po zwycięstwie w wyborach samorządowych Partii Pracujących, która w swoim programie stawiała na demokratyczny udział obywateli i redystrybucję środków publicznych na rzecz najbiedniejszych dzielnic. W tamtym czasie około jedna trzecia mieszkańców miasta żyła w obszarach marginalizowanych, bez dostępu do podstawowych usług, takich jak kanalizacja, czysta woda czy opieka zdrowotna.

Budżet obywatelski umożliwiał mieszkańcom zgłaszanie projektów i decydowanie, które inwestycje są dla nich priorytetem. Dzięki temu życie ludności w Porto Alegre poprawiło się w wielu kluczowych aspektach zaledwie w ciągu pierwszych lat funkcjonowania budżetu. Odsetek gospodarstw domowych z dostępem do kanalizacji i wody pitnej zwiększył się z 75 procent w 1988 roku do 98 procent w 1997 roku. Liczba szkół w ubogich dzielnicach miasta wzrosła o 300 procent. Mieszkania socjalne, które w 1986 roku zapewniały schronienie zaledwie 1700 mieszkańcom, już w 1989 roku mogły pomieścić 27 tysięcy osób. Znacząco zwiększył się również udział środków w sektorze zdrowia i edukacji – z 13 procent w 1985 roku do prawie 40 procent w 1996 roku.

Gdańsk uruchomił swój budżet obywatelski, o wartości 9 milionów złotych, w 2013 roku – jako jedno z pierwszych miast w Polsce, po Sopocie, który wprowadził go dwa lata wcześniej. Ze zgłoszonych 260 projektów

23 miliony

• złotych wyniósł budżet obywatelski Gdańska w 2025 roku. Dla porównania w 2013 roku było to 9 milionów.

eprasa.pl fc0d95e1fd

wybrano do realizacji 65. W 2024 roku liczba projektów zgłoszonych przez obywateli wyniosła 468, a w 2025 roku budżet wzrósł do prawie 23 milionów złotych. Do zrealizowanych przedsięwzięć należą między innymi festiwal sąsiedzki we Wrzeszczu, budowa ścieżek rowerowych łączących podmiejskie dzielnice z centrum miasta czy park na Oruni. W 2020 roku, odpowiadając na potrzeby mieszkańców, miasto wprowadziło również osobny zielony budżet obywatelski, w ramach którego sfinansowano łąki kwietne w mieście, wiaty przystankowe porośnięte roślinami czy ścieżki edukacyjne w miejskich parkach.

– W mojej ocenie zarówno panele obywatelskie, jak i budżet obywatelski są potrzebne, jednak to drobne kroki w stronę demokratycznego zarządzania miastem – mówi doktor Gerwin. – Możliwości są bowiem znacznie większe. O ile dziś narzędzia te służą wypracowaniu rekomendacji, w przyszłości mogą stanowić wiążące narzędzie komunikacji obywatelskiej, które pomogłoby wprowadzić oczekiwane rozwiązania na większą skalę.

W badaniu przeprowadzonym w 2023 roku na zlecenie Ministerstwa Klimatu i Środowiska trzech na czterech respondentów uznało, że w zamieszkiwanych przez nich miastach należałoby prowadzić więcej działań na rzecz ochrony terenów zieleni. Jednocześnie blisko 65 procent ankietowanych zadeklarowało gotowość do rezygnacji z korzystania z naziemnego miejsca parkingowego na rzecz zwiększenia powierzchni terenów zielonych. Świadczy to o tym, że są one postrzegane jako niezbędny element życia w mieście, jego kluczowy zasób i wspólna wartość. Liczba terenów zielonych w polskich miastach pozostaje jednak nadal sporym wyzwaniem i same inicjatywy obywatelskie nie wystarczą. Potrzebne jest wsparcie prawne, bez którego partycypacja społeczna będzie jedynie ładną PR-owską plombą w projektowaniu miejskiej przestrzeni.

Jeden procent z budżetu przeznaczają polskie miasta na zarządzanie terenami zielonymi. Jedynie Kraków wydaje na to ponad 2 procent budżetu.

—

KONTROLA PRZEPROWADZONA W 2022 roku przez Najwyższą Izbę Kontroli w Polsce wykazała, że obowiązujące normy prawne, zamiast wspierać utrzymanie i powiększanie systemów przyrodniczych, dopuszczają do ich postępującego i nieodwracalnego osłabienia. Tereny zielone mogą być chronione przed zabudową przez miejscowe plany zagospodarowania przestrzennego, jednak ten instrument prawny nie wszędzie działa tak, jak powinien.

– Polski system przez lata był krytykowany za niskie pokrycie miejscowymi planami zagospodarowania przestrzennego (MPZP) – wskazują Agata Jurek-Zbrojska, partnerka w kancelarii prawnej CMS, kierująca zespołem nieruchomości i budownictwa, oraz Aleksander Grabecki, counsel w dziale praktyki nieruchomości i budownictwa CMS. Prawnicy podają, że według danych Ministerstwa Rozwoju i Technologii w 2023 roku MPZP obejmowały jedynie około 32 procent powierzchni kraju, co oznacza, że większość inwestycji powstaje na podstawie indywidualnych decyzji o warunkach zabudowy (tak zwanych WZ). Brak planów siłą rzeczy skutkuje często chaotycznym rozwojem przestrzennym i ograniczoną możliwością egzekwowania wysokich standardów urbanistycznych, w tym dotyczących zieleni.

Kraków jest jednym z polskich liderów w opracowywaniu miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego, które obejmują około 80 procent powierzchni miasta. Są przygotowywane ze szczególnym naciskiem na ochronę przed zabudową terenów cennych przyrodniczo. Oznacza to, że prawie 60 procent miasta pokrywa zieleń, co stanowi najwyższy wskaźnik dla stolic województw w Polsce oraz plasuje Kraków w czołówce europejskich miejscowości. Według Europejskiej Agencji Środowiska średnie pokrycie miast terenami zielonymi w 32 krajach Europejskiego Obszaru Gospodarczego i sześciu krajach współpracujących kształtuje się na poziomie 42 procent, pokrycie terenami zadrzewionymi zaś – 30 procent. Ten drugi wskaźnik dla Krakowa wynosi 37 procent.

– Naszą motywacją do utrzymania w Krakowie dużego udziału terenów zielonych jest przekonanie, że zieleń jest elementem infrastruktury miejskiej, równie ważnym jak drogi czy sieci techniczne – mówi Łukasz Pawlik, dyrektor Zarządu Zieleni Miejskiej w Krakowie. – Pełni ona w mieście funkcje ochronne i adaptacyjne: obniża temperaturę w czasie upałów, zatrzymuje wodę opadową, ogranicza skutki suszy, poprawia jakość powietrza. Jednocześnie dostępność do terenów zieleni odpowiada na potrzeby mieszkańców w zakresie zdrowia, rekreacji i jakości życia. Wysoki poziom ochrony tych terenów to efekt świadomej polityki miasta i rosnących oczekiwań mieszkańców. W tym wszystkim skupiamy się na budowie systemu przyrodniczego miasta opartego na sieci rzek i elementach zieleni fortecznej Twierdzy Kraków.

Najwyższa Izba Kontroli zwróciła uwagę, że Kraków przeznacza najwięcej wydatków z budżetu na zarządzanie terenami zielonymi – ponad 2 procent, gdy średnia dla miast wojewódzkich wynosi około procenta. To ciekawe, bo stolica Małopolski przez wiele lat miała złą sławę z powodu dużego zanieczyszczenia powietrza. Smog, pochodzący głównie ze spalania węgla, potęgowany niekorzystnym ukształtowaniem terenu i presją inwestycyjną rozwijającego się miasta, był silnym bodźcem do wprowadzania rozwiązań zmierzających do poprawy jakości powietrza [pisała o nich Katarzyna Kazimierowska, „Pismo" nr 4/2025 – przyp. red.]. Dzięki inicjatywom mieszkańców, którzy założyli Polski Alarm Smogowy,

eprasa.pl fc0d95e1fd

przy wykorzystaniu licznych programów wsparcia oraz realizowanego przez miasto Programu Ograniczania Niskiej Emisji w latach 1995–2022 zlikwidowano ponad 45 tysięcy palenisk na paliwa stałe, które zastąpiono proekologicznymi źródłami grzewczymi, oraz zainstalowano prawie 4 tysiące instalacji OZE. Obecnie w Krakowie prawie 100 procent budynków jest ogrzewanych proekologicznie. Jedyne potencjalnie czynne paleniska na paliwo stałe znajdują się w kilkudziesięciu rozproszonych na obszarze gminy budynkach, które stanowią około 0,1 procent wszystkich budynków mieszkalnych zlokalizowanych w Krakowie.

Urzędnicy krakowscy przygotowali *Kontrakt klimatyczny dla Krakowa*, dokument strategiczny, w którym zobowiązano się do obniżenia do roku 2030 emisji gazów cieplarnianych o 80 procent w stosunku do stanu z roku 2018.

– *Kontrakt klimatyczny dla Krakowa* został opracowany na podstawie danych naukowych – mówi Łukasz Pawlik. – Uwzględnia również zobowiązania wynikające z unijnych polityk klimatycznych oraz inicjatywy UE „100 neutralnych klimatycznie i inteligentnych miast do 2030 roku", w której uczestniczy Kraków. Dokument wyznacza obowiązek systemowego ograniczania emisji i adaptacji miasta do zmian klimatu. Działania koncentrują się na dekarbonizacji, rozwoju transportu niskoemisyjnego oraz zwiększaniu roli zieleni, która poprawia komfort życia, ogranicza skutki upałów i wspiera zdrowie mieszkańców.

Dokument powstał z wykorzystaniem wniosków z Krakowskiego Panelu Klimatycznego, który odbył się w 2021 roku i był pierwszym tego typu panelem obywatelskim w mieście. Efektem jego prac było przekazanie władzom miasta 32 rekomendacji, które stały się jednym z fundamentów *Kontraktu klimatycznego dla Krakowa*.

– Jedną z kluczowych rekomendacji było opracowanie dokumentu tworzonego w sposób partycypacyjny, opartego na aktualnej wiedzy naukowej i regularnie ewaluowanego, tak by dostosowywać działania miasta do najnowszych ustaleń nauki i technologii. *Kontrakt klimatyczny dla Krakowa* uwzględnia potrzeby mieszkańców, ich głos wyrażony podczas panelu obywatelskiego oraz wiedzę naukową i ekspercką – wyjaśnia Ewa Olszowska-Dej, zastępca dyrektora Wydziału Środowiska, Klimatu i Powietrza Urzędu Miasta Krakowa.

Miasto w swojej walce z emisjami duże nadzieje pokłada w miejskiej zieleni. Wykorzystuje w tym celu platformę geoinformatyczną GreenSpaces – zintegrowany system dokumentowania i monitorowania działań związanych z obszarami zielonymi oraz zarządzania nimi. Kraków, jako jedno z pierwszych miast europejskich, stworzył szczegółowe dane niezbędne w zaawansowanym modelowaniu meteorologicznym i badaniach klimatu miasta. Na podstawie danych z kamer w mieście oraz zdjęć satelitarnych oszacowana została biomasa drzew i ich użyteczność w ramach pochłaniania dwutlenku węgla, poprawy jakości powietrza i chłodzenia miasta w upalne dni.

Agenda 2030 ONZ mówi, że zrównoważone miasto to między innymi takie, które zapewnia mieszkańcom dostęp do terenów zielonych oraz przystosowuje przestrzeń miejską do zmian klimatycznych, czyniąc ją bardziej odporną na katastrofy naturalne.

– Mieszkańcy chcą współdecydować o miejskiej zieleni – zauważa Łukasz Pawlik. – Angażowanie ich w procesy jej planowania i utrzymania jest dla nas bardzo ważne, ponieważ sprzyja integracji społecznej i buduje poczucie współodpowiedzialności za przestrzeń wspólną.

Według Światowej Organizacji Zdrowia w Europie z powodu upałów umiera rocznie ponad 175 tysięcy osób. W Polsce Narodowy System Informacji Satelitarnej na bieżąco monitoruje wyspy ciepła w polskich miastach, pokazując, że występują w większości dużych aglomeracji miejskich [pisał o nich Filip Springer, „Pismo" nr 10/2019 – przyp. red.]. Prognozy opublikowane przez Polską Akademię Nauk wskazują, że wzrost temperatury w Warszawie może skutkować zwiększoną śmiertelnością wśród mieszkańców. Uwzględniając średnie ryzyko zgonu, do 2040 roku podczas fali upałów będzie to około 36 procent ogólnej liczby zgonów dziennych. Wyniki badań zamieszczone w zeszłym roku w tygodniku „Nature" wskazują, że najlepszym rozwiązaniem zapobiegawczym jest tworzenie zacienionych miejsc. Obecność drzew w krajobrazie miejskim pozwala obniżyć temperaturę na wysokości pieszych nawet o 12 stopni Celsjusza. Z analiz tych wynika również, że dużo efektywniejsze od budowy scentralizowanych parków jest nasadzanie rozproszonych drzew tworzących skwery i parki kieszonkowe.

Z kolei wnioski przedstawione w 2020 roku przez naukowców z Międzynarodowego Centrum Badań nad Klimatem i Badaniami Środowiskowymi w Oslo udowodniły, że wzrost temperatury powierzchni miejskich w wyniku urbanizacji wpływa nie tylko na intensywność ulewnych deszczów, ale również na częstotliwość ich występowania.

Miasto to złożona siatka zależności między zabudową, roślinami, bakteriami, technologiami i zjawiskami naturalnymi. Bruno Latour, francuski filozof i antropolog, badał relacje między ludźmi, naturą i technologiami. W swojej rozprawie na temat teorii aktora-sieci z 1996 roku zaproponował myślenie o naturze i ludziach jako o powiązanych bytach.

Zamiast oddzielać naturę od społeczeństwa, musimy dostrzec współzależność tych istnień oraz to, jak razem kształtują rzeczywistość. Latour daje podstawy

eprasa.pl fc0d95e1fd

do kompleksowego myślenia o naszym udziale w sprowadzaniu katastrof naturalnych oraz tworzeniu miast na nie odpornych. Podążając tym tropem, można uznać, że każda katastrofa naturalna w mieście jest świadectwem nietrafnego planowania urbanistycznego. Powódź odsłania brak wystarczających obszarów zalewowych, inwazja niechcianych owadów – nadmierną wycinkę terenów zielonych, a fale upałów są skutkiem dominacji betonowych dżungli i braku roślinności. Świadomość tego, jak silnie miejska rzeczywistość jest powiązana z naturą, jednocześnie konsekwentnie ją ignorując, skłania do refleksji.

—

PLACE jednej z centralnych dzielnic Kopenhagi, Østerbro, mogą sprawiać wrażenie zaniedbanych. Wysokie trawy, dziko rosnące kwiaty, wąskie ścieżki, którymi nie da się przejść bez otarcia sobie nóg gałęziami jeżyn. Co ciekawe, powstawanie takich miejsc jest celowe i stanowi element miejskiej strategii przekształcenia Kopenhagi w tak zwane miasto-gąbkę.

Miasto-gąbka oznacza przestrzeń miejską zaprojektowaną w taki sposób, aby naśladowała naturalne procesy zarządzania wodą, pochłaniając, magazynując i powoli uwalniając opady deszczu. Stworzenie w całym mieście terenów zalewowych, zwiększanie powierzchni łąk miejskich i traw to tylko niektóre z elementów misternie zaprojektowanej sieci. Brzmi jak odkrywanie koła na nowo, ale wygląda na to, że jako ludzkość musimy raz jeszcze odrobić tę lekcję.

Drugiego lipca 2011 roku ulewa, która nawiedziła Kopenhagę, w ciągu zaledwie dwóch godzin pokryła miasto 12 centymetrami deszczu. Woda zalała największy szpital w mieście, dużą część miejskiej infrastruktury, drogi, piwnice, siedziby wielu firm i sklepów. Te dwie godziny spowodowały straty szacowane na ponad 6,5 miliarda złotych. Powiedzieć, że miasto było nieprzygotowane na powódź stulecia, to nie powiedzieć nic.

Wstrząśnięci kataklizmem włodarze Kopenhagi zrozumieli, że katastrofy naturalne tej skali, a być może jeszcze dotkliwsze, będą się zdarzać coraz częściej. Ta konkluzja postawiła polityków przed ogromnym wyzwaniem – jak przygotować miasto na kolejne opady o takiej intensywności oraz inne klęski żywiołowe. Zaledwie rok po katastrofie miasto przedstawiło plan zarządzania ulewami. Dokument zawiera strategię kompleksowej modernizacji Kopenhagi zabezpieczającej miasto przed skutkami ulewnych deszczów, przypływów sztormowych oraz suszy. Setki projektów już wprowadzono, a kolejne są w trakcie realizacji – planuje się, że ich zakończenie nastąpi w 2032 roku. Celem jest stworzenie pierwszego na taką skalę miasta-gąbki, które będzie skutecznie pochłaniać wodę deszczową i wprowadzać ją z powrotem do obiegu naturalnego.

Kopenhaskie podejście do koncepcji miasta-gąbki obejmuje szeroką gamę innowacji niebiesko-zielonych oraz szarych. Pierwsze z nich wykorzystują systemy naturalne, aby lepiej zarządzać zasobami wodnymi i zwiększyć odporność na katastrofy naturalne. Miasto założyło kolejne tereny zielone, łąki, parki z wysokimi trawami ułatwiającymi retencję wody oraz ogrody kieszonkowe. Stawy i zbiorniki zalewowe powiększono, a morska linia brzegowa w wielu miejscach została otoczona mokradłami, aby zwiększyć możliwości magazynowania wody – zarówno tej opadowej, jak i sztormowej. Wiele parków w mieście służy również za zbiorniki retencyjne. Nisko położone *skate* parki i boiska sportowe w czasie ulew mają zmieniać się w jeziora z odpowiednim systemem odprowadzania wody.

Kopenhaga stosuje również innowacje szare – przygotowujące nawierzchnię miasta na gwałtowne deszcze. Drogi, chodniki i parkingi są pokrywane przepuszczalnymi materiałami ułatwiającymi odprowadzanie wody do podziemnych tuneli, zbiorników i rur kanalizacyjnych. Na paru ulicach miasta można znaleźć perforowane płytki chodnikowe, które odprowadzają deszczówkę do podziemnych kanałów.

Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu (Intergovernmental Panel on Climate Change, IPCC) przewiduje, że w nadchodzących dekadach ośrodki miejskie położone na wysokich szerokościach geograficznych będą doświadczać zarówno obfitszych, jak i częstszych opadów deszczu, a częstotliwość występowania powodzi stuletnich do 2050 roku podwoi się na prawie połowie powierzchni naszej planety. Duński Instytut Meteorologiczny ostrzega, że jeśli działania na rzecz zapobiegania zmianom klimatu nie będą wystarczające, po roku 2100 powódź stulecia może nawiedzać Danię nawet co dwa lata. Co więcej, topnienie pokrywy lodowej na biegunach spowoduje wzrost poziomu mórz, co stanowi oczywiste zagrożenie dla nisko położonej, nadmorskiej Danii.

Duńscy politycy zdają się faktycznie wsłuchiwać w głosy naukowców i tworzyć strategię rozwoju miasta. Prognozy IPCC dotyczące wzrostu poziomu mórz zainspirowały Kopenhagę do wdrożenia kolejnego projektu – budowy sztucznej wyspy Lynetteholm.

Ta najbardziej ambitna z dotychczasowych inicjatyw zakłada budowę półwyspu o powierzchni ponad kilometra kwadratowego mającego chronić historyczną część miasta przed skutkami podnoszenia się poziomu morza i falami sztormowymi. Konstrukcja ma adaptacyjny charakter, co pozwoli jej dostosować się do zmieniających się warunków. Planuje się, że ten ogromny i kontrowersyjny projekt zostanie ukończony do 2070 roku i będzie kosztować miasto 20 miliardów koron duńskich, czyli około 11,4 miliarda złotych. W ramach inwestycji

eprasa.pl fc0d95e1fd

powstanie też 20 tysięcy domów odpornych na skutki ewentualnych powodzi.

—

HIGH LINE miał być projektem dla wszystkich Nowojorczyków. Starą linię kolejową przekształcono w park, którego pierwsza część, otwarta w 2009 roku, wypełniła się kafejkami, ławkami i zielenią. Piękny widok szybko stał się magnesem dla turystów i inwestorów. Już rok po otwarciu obiektu wartość mieszkań położonych w promieniu pół kilometra od niego wzrosła o 10 procent. Przez kolejne lata cena nieruchomości w najbliższym sąsiedztwie High Line podniosła się o ponad połowę.

Wzrost cen nieruchomości i czynszów doprowadził do opuszczenia Chelsea i Meatpacking District – dzielnic, w obrębie których znajduje się park – przez wielu dotychczasowych mieszkańców, w tym osób starszych, rodzin o niskich dochodach czy społeczności imigranckich. Według lokalnych organizacji pozarządowych już kilka lat po otwarciu parku w rejonie Chelsea znacząco ubyło mieszkań komunalnych i tanich lokali na wynajem, a nowe, luksusowe apartamentowce wyrastały wzdłuż linii High Line niczym mury oddzielające „nową" dzielnicę od starej. Przestrzeń parku została zdominowana przez turystów, przez co mieszkańcy często skarżą się na tłok, hałas i utratę poczucia wspólnoty sąsiedzkiej.

W Polsce rozwój dzielnic w wielu dużych miastach idzie w parze z gentryfikacją. Koronnym przykładem jest krakowski Kazimierz – dzielnica niegdyś uznawana za niebezpieczną, dziś przyciąga turystów, zamożnych mieszkańców i drogie lokale usługowe. Zieloną gentryfikację zaczynamy obserwować coraz częściej także w poprzemysłowych miastach. W Łodzi ceny działek i mieszkań znajdujących się w najbliższym sąsiedztwie terenów zielonych od lat konsekwentnie rosną. Zmienia się społeczny i kulturowy charakter ulic położonych w otoczeniu natury. Ten sam proces możemy zaobserwować na ulicach warszawskiej Pragi, gdzie wieloletnich mieszkańców powoli zastępują zamożni nabywcy mieszkań znajdujących się w bliskim sąsiedztwie Wisły i parków.

Kiedy Henri Lefebvre pisał swoją rozprawę, w miastach mieszkało około 35 procent światowej populacji. Dziś to już ponad połowa, a prognozy ONZ mówią o 68 procentach w 2050 roku. To rodzi pytanie, gdzie pomieścić tę rozrastającą się populację, tak aby zagwarantować wszystkim sprawiedliwy dostęp do zasobów miejskich.

– W Polsce prawo nie nakłada na deweloperów obowiązku budowania mieszkań dostępnych cenowo w ramach inwestycji komercyjnych, tak zwanych *inclusionary zoning* – mówią Agata Jurek-Zbrojska oraz Aleksander Grabecki z kancelarii CMS. – To zasadnicza różnica względem wielu miast europejskich. Temat mieszkań dostępnych cenowo istnieje w polskiej debacie publicznej, ale ustawodawca koncentruje się raczej na programach wsparcia popytowego i działalności Krajowego Zasobu Nieruchomości [instytucji państwowej zarządzającej nieruchomościami Skarbu Państwa – przyp. A.S.] niż na nakładaniu obowiązków na inwestorów prywatnych. Jednocześnie obserwujemy zmniejszanie się zasobu lokali komunalnych, które gwarantowałyby godny start życiowy młodym i mniej zamożnym.

– W Warszawie zasób mieszkań komunalnych to ponad 80,5 tysiąca lokali, czyli 7–8 procent całego rynku mieszkaniowego – dodają prawnicy z kancelarii CMS. – W latach 90. udział ten był wyraźnie wyższy, ale sukcesywna sprzedaż mieszkań lokatorom i ograniczenie nowych inwestycji sprawiły, że dziś jest on stosunkowo niewielki.

Choć w Polsce obecnie brakuje rozwiązań typu *inclusionary zoning*, coraz częściej mówi się o ich wprowadzeniu w przyszłości, przynajmniej w największych miastach. Rosnące ceny mieszkań i presja społeczna sprawiają, że temat może powrócić w agendzie legislacyjnej. W tym kontekście pomocne mogą być umowy urbanistyczne. Jest to nowe narzędzie pozwalające gminom nawiązać formalną współpracę z inwestorem w trakcie uchwalania lub zmiany miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego. Poza negocjowaniem z deweloperami zakładania terenów zielonych mogą także narzucać obowiązek budowy części mieszkań dostępnych cenowo. Chociaż w Polsce nie jest to jeszcze powszechne rozwiązanie, przykłady jego stosowania można już obserwować w europejskich miastach.

Wzór polityki mieszkaniowej płynie z Wiednia, który od dekad rozwija ofertę mieszkań komunalnych i spółdzielczych. Strategia mieszkaniowa stolicy Austrii rozpoczęła się już po pierwszej wojnie światowej jako odpowiedź na kryzys mieszkaniowy i miała na celu stworzenie zasobu tanich mieszkań dla różnych grup społecznych. Kluczowe elementy tej polityki mieszkaniowej to utrzymywanie niskiego czynszu dla lokatorów oraz budowanie lokali dostępnych cenowo będących obowiązkowym punktem nowych projektów mieszkaniowych. Dzisiaj, po dekadach skrupulatnego wdrażania tych założeń, około 60 procent mieszkańców zamieszkuje lokale komunalne lub subsydiowane przez miasto. Jednocześnie dwie trzecie wszystkich mieszkań przeznaczonych na wynajem podlega regulacji czynszu, dzięki czemu Wiedeń może się dziś poszczycić jednymi z najtańszych mieszkań i najniższymi czynszami w Europie. Zgodnie z prawem wprowadzonym w życie w 2018 roku dwie trzecie powierzchni wszystkich nowych budynków mieszkalnych o powierzchni

68 procent

• ludności będzie mieszkańcami miast do 2050 roku według szacunków ONZ.

eprasa.pl fc0d95e1fd

powyżej 5 tysięcy metrów kwadratowych muszą być wynajmowane za limitowany przez prawo czynsz. Ma to zapewnić lokatorom bezpieczeństwo cenowe nawet przy rosnących cenach ziemi i ekspansji rynku nieruchomości.

Stolica Austrii niemal w całości została objęta planami zagospodarowania przestrzennego, co niewątpliwie przyczyniło się do mniej chaotycznej strategii budowy terenów mieszkalnych i ich otoczenia. Prawdopodobnie również do tego, że około połowę powierzchni aglomeracji stanowią tereny zielone. W 1984 roku miasto założyło Wiedeński Fundusz Nabywania Gruntów i Odnowy Miejskiej, do którego zadań należą: pozyskiwanie gruntów na budownictwo socjalne, czuwanie nad projektami rewitalizacji miasta oraz kontrola rozwoju budownictwa mieszkaniowego. Obecnie ma w posiadaniu grunty o łącznej powierzchni przekraczającej 3 kilometry kwadratowe, w tym grunty rolne, nieużytki kolejowe oraz stare szpitale. Dzięki przetargom z deweloperami obszary te sukcesywnie zwiększają pulę mieszkań komunalnych. Wiedeńska strategia mieszkaniowa opiera się na ścisłej współpracy z deweloperami.

– Ulepszany, od lat rozbudowywany system współpracy publiczno-prywatnej oraz długoterminowe umowy zapewniają transparentne otoczenie zarówno dla wynajmujących, jak i dla sektora prywatnego, co sprzyja realizacji polityki mieszkaniowej miasta – mówią Agata Jurek-Zbrojska oraz Aleksander Grabecki z CMS. Chociaż wiedeński system mieszkalnictwa ma swoich krytyków, podkreślających między innymi wysokie ceny czynszu dla tych, którym nie udało się pozyskać lokali z regulowanymi czynszami, oraz złą jakość niektórych mieszkań komunalnych, niezmienny pozostaje fakt, że Wiedeń sukcesywnie zwiększa zasób mieszkań dostępnych cenowo.

Na początku 2025 roku dziesiątki tysięcy mieszkańców Barcelony wyszły na ulice, domagając się 50-procentowej redukcji wysokości czynszów oraz większej dostępności mieszkań przystępnych cenowo. Stolica hiszpańskiej Katalonii zmaga się z nierównowagą między popytem na mieszkania a ich dostępnością na długoterminowy wynajem. Ceny lokali poszybowały w górę w wyniku masowej turystyki i przeznaczania mieszkań głównie na krótkoterminowy, drogi wynajem. W zeszłym roku Barcelonę odwiedziło ponad 15,5 miliona turystów, czyli dziewięć razy więcej, niż wynosi liczba mieszkańców. Oferowanie długoterminowego wynajmu z przystępnym czynszem przestało być lukratywne dla właścicieli lokali.

Władze Barcelony od 2018 roku wymagają, aby 30 procent wszystkich nowo powstających projektów mieszkalnych było przeznaczonych na mieszkania przystępne cenowo. Wprowadzono ograniczenia na wysokość czynszu oraz plan wybudowania 50 tysięcy tanich mieszkań do 2030 roku. Władze miasta zdecydowały też, że od 2028 roku będzie obowiązywał zakaz krótkoterminowego wynajmu mieszkań dla turystów. Trudno jednak zabrać się za rozwiązywanie problemów rynku mieszkaniowego, które piętrzyły się przez lata braku zrównoważonej strategii zarządzania turystyką w mieście. Wysokie czynsze, brak dostępności lokali na wynajem oraz duży odsetek pustostanów to kwestie, które nie zostaną naprawione pojedynczymi regulacjami prawnymi – wymagają one raczej wieloletnich, konsekwentnych strategii na rzecz ochrony mieszkańców.

Co trzeciego mieszkańca Polski nie stać na kupno lub wynajem mieszkania, które zaspokoi jego potrzeby.

Nasza stolica, choć turystycznie mniej popularna, wcale nie ma różowej sytuacji mieszkaniowej. Średnia cena mieszkań w Warszawie w 2024 roku przekroczyła 17 tysięcy złotych za metr kwadratowy. Polska znalazła się na piątym miejscu w UE w zestawieniu najszybciej wzrastających opłat za wynajem. W ciągu niespełna dekady wynajęcie mieszkania podrożało u nas o 66,5 procent. Polski Instytut Ekonomiczny policzył, że w przypadku połowy mieszkańców Warszawy koszt wynajmu pochłania prawie 50 procent ich pensji. Autorzy raportu, powołując się na badanie Szkoły Głównej Handlowej, wskazują, że luka czynszowa w Polsce w latach 2017–2022 wyniosła 35 procent. Oznacza to, że ponad jedna trzecia Polaków znajduje się w sytuacji, w której nie stać ich na kupno lub wynajem mieszkania zaspokajającego ich potrzeby, a jednocześnie zarabiają zbyt dużo, by mogli ubiegać się o lokal dotowany przez państwo.

Drobne przykłady dobrych działań w kierunku zwiększenia zasobu mieszkań przystępnych cenowo płyną z mniejszych miast. Kołobrzeskie Towarzystwo Budownictwa Społecznego realizuje program „Mieszkanie dla rozwoju" skierowany do średniozamożnych mieszkańców. Jego celem jest stworzenie oferty stabilnego najmu w rozsądnej cenie i jednoczesne obniżenie presji na lokalnym rynku. Na osiedlu Witkowice zaplanowano budowę 10 bloków z blisko 300 mieszkaniami finansowanych z kredytu spłacanego przez czynsze oraz wspartego dofinansowaniem z Rządowego Funduszu Rozwoju Mieszkalnictwa. W pierwszym z trzech etapów wybudowano cztery budynki. Gmina dodatkowo dopłaca mieszkańcom do czynszu. Z kolei Pleszewskie Towarzystwo Budownictwa Społecznego stawia na projekty mieszkalne na wynajem z opcją późniejszego nabycia własności. Wybudowano 92 mieszkania z możliwością ich wykupu po minimum pięciu latach. Projekt skierowany był do osób przed 40. rokiem życia,

Partnerem cyklu *Prawo do Przyszłości* jest CMS law·tax·future 30 LAT

eprasa.pl fc0d95e1fd

które zarabiają zbyt mało, by samodzielnie udźwignąć kredyt hipoteczny, ale wystarczająco, aby pokrywać czynsz i opłaty. Czynsze są niższe niż na rynku prywatnym, a jednocześnie wystarczające, by sfinansować inwestycję.

Istnieją też przykłady oddolnych inicjatyw społecznych, takich jak kooperatywy mieszkaniowe. To grupy osób, które wspólnie decydują się na zakup nieruchomości lub działki pod jej budowę. Celem takiego zrzeszenia jest zapewnienie godnego miejsca zamieszkania tworzącym go osobom. Integrując zasoby członków, kooperatywy mają większą siłę przetargową i osiągają korzyści – oferują niższe koszty inwestycyjne i niższe miesięczne wydatki. Wprowadzona w 2023 roku ustawa regulująca kooperatywy mieszkaniowe sprzyja ich formalnemu funkcjonowaniu oraz przywraca do łask model znany w przedwojennej Polsce. Pierwsze projekty zaczynają powstawać w dużych miastach.

—

ROZWAŻAJĄC PRZYSZŁOŚĆ urbanistyki, można zadać sobie pytanie – czy łatwiej przekształcić istniejące miasto, czy zbudować od zera nowe? Wydaje się, że stare grody mają często niezrównoważone fundamenty i kuszącym rozwiązaniem byłoby zbudowanie idealnego miasta przyszłości.

Tak też mógł pomyśleć książę Arabii Saudyjskiej, Muhammad ibn Salman, ogłaszając w 2006 roku odważny projekt The Line. Futurystyczny eksperyment zakłada zbudowanie miasta-linii rozciągającego się na 170 kilometrów. Bez samochodów, z gęstą siatką transportu publicznego, w całości zasilanego energią odnawialną – projekt ma być częścią strategii kraju na odchodzenie od paliw kopalnych. Dwa równoległe 500-metrowe wieżowce, między którymi będzie leżeć megamiasto, swoją lustrzaną powierzchnią mają odbijać krajobraz otaczającej ich pustyni. Wszystkie udogodnienia i usługi byłyby zlokalizowane w zasięgu 5-minutowego spaceru, a przewidziane tereny zieleni stanowią część wizji stworzenia najbardziej przyjaznego środowisku miasta.

The Line, planowane jako dom dla 9 milionów mieszkańców i oparte na zrównoważonym, zeroemisyjnym stylu życia, sprawia wrażenie projektu wręcz utopijnego. Przynajmniej w teorii. Budowa miasta będzie wiązała się z przymusowym przesiedleniem 20 tysięcy członków plemienia Huwaitat bez poszanowania ich prawa do pozostania na należących do nich od stuleci terenach. Poza tym tak rozległy projekt pochłonie ogromne ilości surowców, w tym stali, szkła i cementu potrzebnych do jego realizacji. Eksperci szacują, że powstałe podczas wznoszenia konstrukcji zanieczyszczenia mogą osiągnąć poziom nawet 1,8 gigatony dwutlenku węgla, co jest liczbą ponadpięciokrotnie wyższą niż roczne emisje dwutlenku węgla w całej Polsce.

Innym przykładem takiej eksperymentalnej urbanistyki jest Czandigarh w Indiach, zaprojektowane przez szwajcarskiego architekta Le Corbusiera w latach 50. XX wieku. Miasto zostało zbudowane jako nowa siedziba rządu prowincji po tym, gdy w ramach podziału Indii dotychczasowa stolica niepodzielonego Pendżabu, Lahaur, przypadła Pakistanowi. Czandigarh, które miało zapewnić miejsce na siedzibę administracji prowincji, mieszkania dla uchodźców i efektywne połączenia drogowe i kolejowe, powstało jako manifest nowego, postkolonialnego państwa – starannie podzielone na strefy funkcjonalne, z monumentalną architekturą i uporządkowaną siatką ulic. Projekt ten miał gwarantować porządek, dostęp do natury i nowoczesność, ale jednocześnie zignorował wiele lokalnych zwyczajów i codziennych nawyków mieszkańców, pokazując, że modernizm i jego funkcjonalność mają górować nad tradycją. I tak jak niegdyś Paryż budowany przez Króla Słońce, nowe miasta łatwo mogą stać się pomnikiem ego ich budowniczych.

Lefebvre mówił, że wystarczy otworzyć oczy, by zrozumieć życie codzienne człowieka, który biegnie ze swojego domu na bliski lub odległy dworzec, do zatłoczonego metra, do biura czy fabryki, żeby wieczorem wrócić tą samą drogą, przyjść do domu, by odzyskać siły i zacząć od nowa następny dzień. Być może w dobie pracy zdalnej te słowa nie są już aktualne dla wszystkich, jednak wciąż mogą inspirować do refleksji o codziennym życiu mieszkańców. Myśląc o mieście jako o sieci interakcji ludzkich, łatwiej dostrzec potrzebę uczestniczenia w kształtowaniu przestrzeni, jej dobrego skomunikowania, dostępu do zieleni oraz niskoemisyjnych rozwiązań.

Ale zrównoważone miasto przyszłości to miasto nie tylko niskoemisyjne, lecz także przede wszystkim takie, w którym obywatele mają prawo współistnienia i swobodnego samostanowienia, czego dziś ani o Indiach, ani o Arabii Saudyjskiej powiedzieć nie można. Bo to mieszkańcy nadają ton rozwojowi przestrzeni, zgłaszając swoje potrzeby dzięki platformie dialogu miasto–mieszkaniec. Metropolie przyszłości traktują budżety i panele obywatelskie jako normę, a godne miejsce zamieszkania w otoczeniu zieleni jako prawo, nie zachciankę.

We wrześniu 2025 roku w stolicy Korei Południowej, Seulu, rozpoczęło się Biennale Architektury i Urbanizmu. Ta piąta już edycja skupiała się na tworzeniu przestrzeni zorientowanej na mieszkańców, inkluzywnej i pozwalającej czerpać przyjemność z przebywania w niej. To mieszkańcy współtworzą wiele instalacji, co jest metaforą ich udziału we współtworzeniu przestrzeni miejskiej. Hasło wydarzenia nie mogło lepiej oddawać naszej potrzeby posiadania prawa do miasta: *Radically more human* – „Radykalnie bardziej ludzkie”.

eprasa.pl fc0d95e1fd

Saturn

tekst KAROLINA GRUCA, MICHAŁ ROMAŃSKI
rysunki MICHAŁ ROMAŃSKI

eprasa.pl fc0d95e1fd

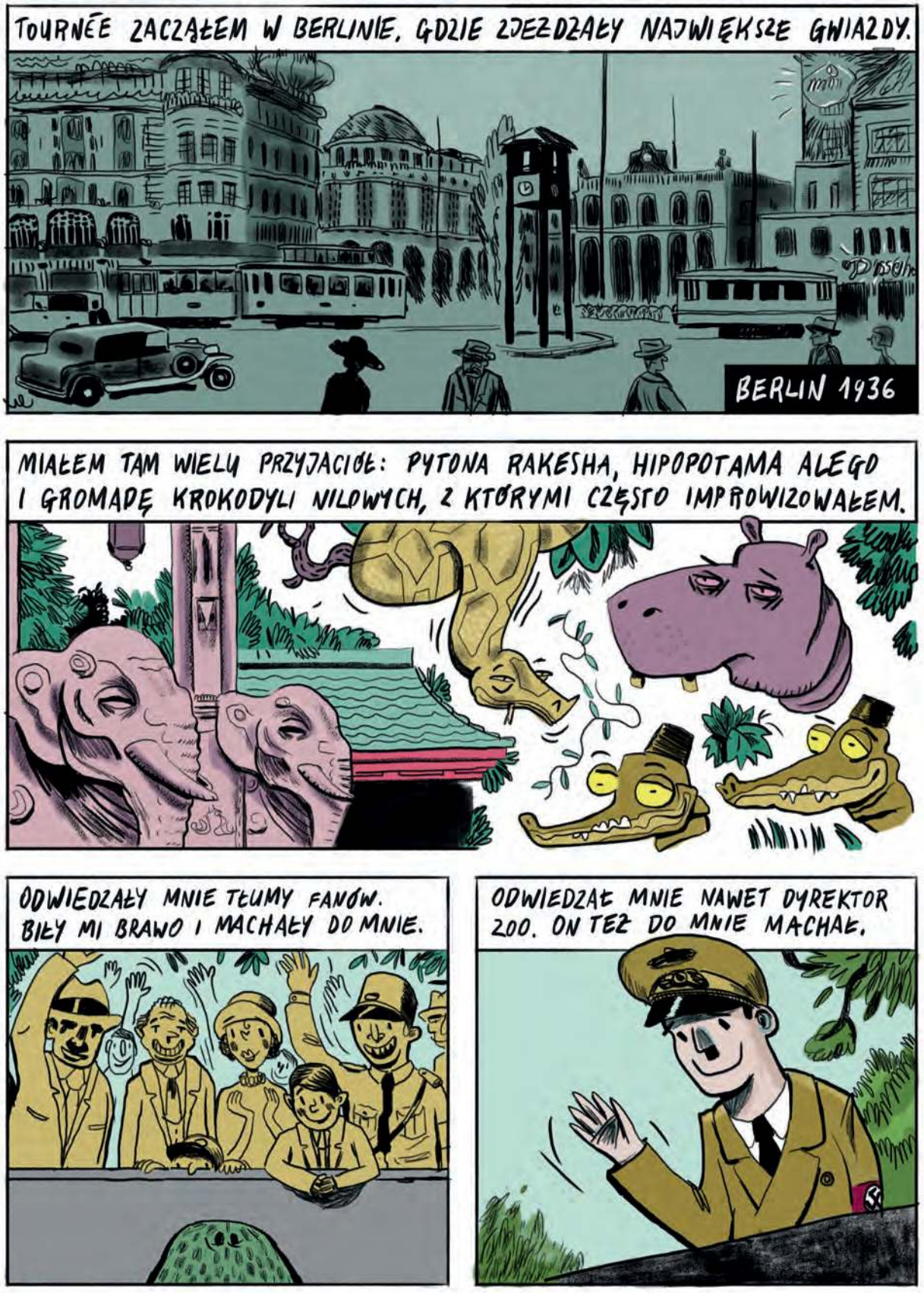

eprasa.pl fc0d95e1fd

MICHAŁ ROMAŃSKI (ur. 1981), projektant graficzny i twórca komiksów. Pracuje w Centrum Nauki Kopernik w Warszawie. Laureat wielu nagród i wyróżnień, m.in. zdobywca I miejsca za komiks *Saturn* (scenariusz z Karoliną Grucą) w konkursie na krótką formę komiksową na Międzynarodowym Festiwalu Komiksu i Gier w Łodzi.

eprasa.pl fc0d95e1fd

KAROLINA GRUCA (ur. 1980), z zamiłowania scenarzystka komiksów. Zdobywczyni I miejsca za komiks *Saturn* (scenariusz z Michałem Romańskim) w konkursie na krótką formę komiksową na Międzynarodowym Festiwalu Komiksu i Gier w Łodzi.

eprasa.pl fc0d95e1fd

eprasa.pl fc0d95e1fd

eprasa.pl fc0d95e1fd

eprasa.pl fc0d95e1fd

eprasa.pl fc0d95e1fd

REPORTAŻ

Bezruch

tekst SYLWIA GUTOWSKA

POD KONIEC 2024 ROKU RUCH zamknął swój ostatni punkt sprzedaży. Wszyscy ajenci pracujący dla sieci stracili pracę. Sześćdziesięciu z nich postanowiło wykupić budki i prowadzić biznes na własną rękę. Gdy wraz z tymi, którzy zdecydowali się na to wcześniej, przejdą na emeryturę, znikną ostatnie kioski.

Jedna z moich stałych klientek śmiała się, że jak mnie nie będzie, to nie będzie już poranka. Poryczałam się jak głupia. No ale słońce dalej wschodzi. Nie zrobiłam aż tak wielkiej krzywdy ludziom – mówi Barbara Jęczeń. Przez ostatnie ćwierć wieku dzień zaczynała o piątej rano. Mąż Antoni wychodził wcześniej, żeby rozpakować prasę dla dwóch pierwszych klientów. – Ja w tym czasie z psem biegiem, potem robiłam śniadanie i do pracy. Poza niedzielą nigdy nie jedliśmy rano przy stole w domu. Poranni klienci często pytali, co ciekawego jest w gazetach. To mnie zawsze rozbrajało. Jakbym ja miała czas czytać!

Mieszczący się na parterze jednej z sopockich kamienic sklep Strit był *de facto* kioskiem. Można było w nim kupić prasę i drobne artykuły. – Mydło, szydło i powidło – mówi była właścicielka. W takiej formie na stałe działał od początku wieku. Wcześniej, w 1979 roku, Barbara otworzyła tam butik z ubraniami. Później przeszła na sprzedaż telewizorów, w latach 1995–1998 – gazet i czasopism, następnie używanej odzieży, aż w 2001 roku na dobre utworzyła sklep z prasą.

W tamtym czasie w kolportażu było dostępnych 3,5 tysiąca tytułów. Z roku na rok ich liczba malała, zamykały się czasopisma i całe wydawnictwa. Zmniejszało się też zainteresowanie klientów prasą papierową. – Zmieniło się wszystko. Jeszcze kilkanaście lat temu czasopisma, takie jak „Twój Styl", „Zwierciadło" czy „Pani", schodziły na pniu. Miałam z 10 dużych paczek – wszystkich tytułów – dziennie. Ważyły do 20 kilo i sięgały od podłogi do połowy mojej łydki. A ostatnio? Dwie skromne i jeszcze zostawało – podkreśla. To samo z dziennikami. Oprócz „Gazety Wyborczej", która w Sopocie zawsze była najpopularniejsza (100 sztuk dziennie), świetnie sprzedawały się lokalne dzienniki trójmiejskie. Barbara wymienia nieistniejące już tytuły. „Głos Wybrzeża" (na oko 30 sztuk) ukazywał się do 2005 roku. „Wieczór Wybrzeża", który schodził jak świeże bułeczki, istniał do 2002 roku – od grudnia 2001 roku już tylko jako dodatek do „Dziennika Bałtyckiego" (status popołudniówki stracił w 1998 roku). Dopóki obie gazety ukazywały się osobno, dostawa prasy była dwa razy dziennie, od poniedziałku do soboty.

Barbara wspomina, że na początku milenium modne były magazyny kolekcjonerskie. – Kolorówka bardzo dobrze szła. To był okres prasy z płytami. Jak jakaś gazeta miała dobrą płytkę CD w środku, to ludzie nie patrzyli, co to, tylko brali. To było szaleństwo. W ostatnich latach już tak nie kupowali dla dodatków. Ale wtedy? To one robiły sprzedaż – wyjaśnia.

O tym, jaki tytuł pojawi się w kiosku, decyduje nadział prasy. – „To jest pani nadział prasy". Mówię: „Ale kto kogo nadział?" – żartuje Barbara. „Nadział", czyli inaczej przydział tytułów i liczby gazet, jest ustalany na podstawie tego, co sprzedaje się w danym punkcie. Wyliczał go dystrybutor, dostosowując dostawę do danego kiosku. Jeśli coś przez około trzy miesiące nie cieszyło się zainteresowaniem, przestawało być przysyłane.

Ruch, przez lata monopolista na rynku, do końca 2024 roku mający jeszcze swoje

eprasa.pl fc0d95e1fd

rysunek GOSIA KULIK

eprasa.pl fc0d95e1fd

SYLWIA GUTOWSKA (ur. 1988), dziennikarka, olsztynianka z urodzenia, gdańszczanka z wyboru. Z wykształcenia kulturoznawczyni i polonistka, absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu. Zajmuje się głównie tematami społecznymi.

kioski, dystrybuował też prasę przez prywatnych sprzedawców. Barbara zaopatrywała się właśnie u nich. Dopiero w ostatnim roku przeszła do firmy Kolporter. – Zaczynałam, jak jeszcze to wszystko było niescentralizowane, więc ja tych ludzi znałam, mogłam zadzwonić i o coś poprosić. Później trudno się było skontaktować, bo dzwoniło się na infolinię, łączyło z Krakowem, a potrzebowałaś z Gdańskiem, więc wszystko dłużej szło. A ja załatwiałam takie sprawy jak na przykład gazetka z wczoraj dla klientki. Bo jej koleżanka ma ten artykuł i ona też musi go mieć. No to się brało telefon, wydzwaniało, żeby ten numer jakoś zdobyć. Był czas tylko do piętnastej, bo potem prasa z poprzedniego dnia szła do niszczarki. Albo klient pytał: „Tydzień temu wyszło to, czy to możliwe?". No i na tym telefonie z Ruchem w Gdańsku siedziałam i u nich było możliwe załatwienie wszystkiego. Trzeba przyznać, że tam dziewczyny super pracowały, były życzliwe.

Załatwianie gazety „na wczoraj" nie było jedynym zadaniem specjalnym Barbary. Jej sklep pełnił funkcję punktu informacyjnego dla mieszkańców Sopotu i zagubionych turystów. Właścicielka zyskała dzięki temu miano instytucji. – Klientki przychodziły pytać, do jakiego lekarza się powinny zapisać, bo ten ich odszedł. Gdzie na molo, gdzie na pogotowie – wylicza. Tu toczyły się rozmowy o życiu, polityce. – Omawiane były książki, które warto przeczytać, filmy warte obejrzenia. Coś się działo, to było życie. A teraz? Nie ma takich miejsc – kwituje. Z biegiem czasu lat przybywało również klientom. Aż troje przekroczyło setkę. Jeden z nich, 102-latek, przyjeżdżał specjalnie autobusem z innej dzielnicy miasta, Kamiennego Potoku. – Prezenty bożonarodzeniowe, wody toaletowe (Pani Walewska, a dla mężczyzn Brutal) i krem nie mogły być gdzie indziej kupione, tylko u mnie – wspomina. – W tym roku po raz pierwszy pozwolił mi się odwieźć do domu. Torba ciężka, powiedział: „Może rzeczywiście jestem już w tym wieku, że trzeba mnie podwieźć".

Pani Janina miała 104 lata. – Pod koniec życia jeździła już na wózku, ale po krem Dermiki zajeżdżała i do mojej koleżanki Iwony na rybkę do baru przy plaży. Była jeszcze 100-letnia pani Ossowska, która z kolei wzywała mnie do domu, żebym przyniosła jej baterie do pilota – wymienia Barbara.

W sklepie przesiadywały dzieci. – Największą frajdą było dla nich metkować towar. „Proszę pani, jeszcze pięć!" Mówiłam im: „Jak poprawisz dwóję z matmy, wtedy dam ci 30 sztuk". Moje dzieci przychodziły pomagać im w angielskim. Niektórych udało mi się przekonać, żeby wybrali lepszą szkołę, technikum zamiast zawodówki, jednego chłopaka namówiłam na licencjat. Dwa pokolenia młodzieży wychowałam. Do dzisiaj jak się u nich coś zmieni, mają nową dziewczynę, to do mnie przylatują albo chociaż SMS napiszą.

Według Barbary dzisiejsi 30- i 40-latkowie nie kupują gazet. – Może jak gdzieś jadą w podróż. A ja bazowałam na takich klientach od wieków.

Sklep z prasą to nie tylko praca od świtu do wieczora, ale i niemal brak urlopów. Co prawda dawniej, kiedy jej dzieci studiowały, było z tym lepiej. Wtedy siadały za ladą, a ona mogła wyjechać z mężem nawet na miesiąc. Później zatrudniali zaprzyjaźnionych studentów. Dopiero w ostatnich latach, gdy chętnych na zastępstwo zabrakło, z urlopami było krucho. Udawało się wykroić kilka dni, najdłużej tydzień.

– Jak wychodzę na spacer z psem, to co chwilę kogoś spotykam i pogadać mogę. Jestem totalną optymistką. Bardzo kocham ludzi. Od razu daję duży kredyt zaufania. Tak się łatwiej żyje – podkreśla. Na zamknięcie sklepu dostała album ze zdjęciami jej i męża okraszonymi wpisami wieloletnich klientów i sąsiadów. Na pomysł wpadła synowa, która zrobiła obiegówkę po Sopocie. „Zamknięcie Stritu wywołało chaos! Mieszkańcy wzywają na pomoc ONZ, na ulicach płoną resztki gazet i batonów!" – głosi podpis pod zdjęciem Barbary i Antoniego z doklejonymi mikrofonami telewizji i gazet. „Dużo zdrówka na wolności! Stasiek Matusiak". „Nie ma ludzi niezastąpionych, kto tak myśli, nie znał Basi i Antosia. Niech płacz mojego serca na zawsze zada kłam temu durnemu sloganowi. Kocham Was!!! Leonard z Wiesławem".

Dwudziestego ósmego lutego 2025 roku Barbara ostatni raz przekręciła klucz w drzwiach swojego sklepu. Zanim to jednak zrobiła, odwiedziła sąsiadów, którzy przez lata zostawiali u niej swój zapasowy zestaw – gdyby zatrzasnęły im się drzwi lub dziecko szybciej wróciło ze szkoły, zawsze można było zejść po klucze do „pani Basi". O emeryturze myślała od dawna, ale o tym, że zrobi to właśnie teraz, zdecydowały dwie rzeczy. W krótkim czasie zmarły jej obie siostry, co skłoniło ją do zwolnienia tempa. A coraz trudniejsza sytuacja na rynku sprzedaży prasy jeszcze bardziej nagliła do odejścia – w ostatnich latach z tego powodu w Sopocie zamykały się kolejne kioski.

– Kończy się jakiś etap. Dlatego to była taka trudna decyzja. Jednak nie wszystkich będę codziennie widziała – mówi. Z początkiem emerytury nie mogła nacieszyć się pierwszymi od lat śniadaniami spożywanymi w domu, bez pośpiechu. Planów na najbliższe lata ma sporo. Uniwersytet trzeciego wieku, basen dla seniorów, no i codzienne spacery z dużym psem, który wymusza na swoich opiekunach ruch.

Najbliższy salonik prasowy mieści się w nowoczesnym budynku Dworca Głównego, w odległości około pół kilometra, a więc kilka minut pieszo w kierunku przeciwnym do morza.

—

„SPRZEDAM KIOSK". W tym wątku na platformie OLX przez pierwszą połowę 2025 roku ciągle przybywało ogłoszeń. Budki: od takich w bardzo złym stanie po całkiem przyzwoite, z toaletą i klimatyzacją. Są też „kultowe" bryły K-67, tak zwane jugokioski (bo produkowane w latach 60. w Jugosławii). „Od 15 lat nie prowadzę kiosku, tylko go dzierżawię, a państwo, którzy prowadzili, przeszli na emeryturę". „Ten kiosk był pomieszczeniem socjalnym naszej firmy". „To był kiosk Ruchu, wykupiłem go od sieci, a ajent został zwolniony". „Kupiłem sobie z OLX-a na magazyn, ale niepotrzebne mi te wszystkie lodówki, więc sprzedaję". „Kupiłem kiosk od chyba trzeciego pośrednika, nie wiem, kto go prowadził".

Siedemnastego grudnia 2024 roku Ruch zamknął swój ostatni punkt – mieścił się w warszawskiej siedzibie firmy, przy ulicy Annopol 17A. Wszyscy pracujący dla sieci ajenci dostali wypowiedzenia umów. Sześćdziesięciu z nich zdecydowało się wykupić kioski i prowadzić je na własną rękę.

eprasa.pl fc0d95e1fd

Upadek kultowej firmy nie oznaczał końca takich miejsc w Polsce. Pięćset punktów z prasą ma sieć Kolporter, choć częściej są to wolnostojące samoobsługowe saloniki prasowe ze sprzedawcą za ladą. Tradycyjne budki, które widzimy jeszcze na ulicach, to dziś kioski prywatne.

Ruch przetrwał ponad 100 lat i trzy ustroje. W 1918 roku jako spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością założyli go Jan Stanisław Gebethner i Jakub Mortkowicz, wówczas czołowi wydawcy i księgarze. Pierwszy kiosk – zwany wtedy trafiką – otworzyli na stacji kolejowej Warszawa Główna. Już w 1935 roku sieć miała ich 700 i była jedynym kolporterem prasy w całej Polsce. Po drugiej wojnie światowej firma została znacjonalizowana. Powstało Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch", które było włączane w kolejne państwowe przedsiębiorstwa, aż w 1973 roku dołączyło do Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa–Książka–Ruch" (RSW), stając się tubą propagandową partii, ale i największym wówczas wydawcą i kolporterem prasy w Europie Środkowo-Wschodniej. W drugiej połowie lat 80., gdy gospodarka PRL-u pogrążała się w kryzysie, część majątku trafiła do spółek należących do prominentnych działaczy partyjnych.

Po upadku komunizmu spółdzielnię objęła prywatyzacja. W latach 90. zaczęła sukcesywnie tracić wpływy na rynku na rzecz nowych firm kolportażowych, na przykład: DPJ, Daft Press, Kamel i istniejących do dziś Kolporter i Garmond Press. Konkurencja początkowo spowodowała zwiększenie liczby punktów sprzedaży, ale też traktowanie prasy jak każdego innego towaru. W sprawozdaniu Instytutu Wydawców Prasy sprzed 17 lat czytamy, że po 2000 roku myślenie o prasie w kategoriach wolnorynkowych zaczęło przynosić negatywne skutki – znikały zarówno mniej popularne tytuły, jak i same kioski, które nie dostawały tak preferencyjnych warunków sprzedaży jak sieci hipermarketów. Zapomniano przy tym, że obrót prasą to też ważny element kształtujący demokratyczne społeczeństwo: „dystrybucja prasy historycznie ukształtowała się jako wyodrębniona dziedzina handlu, bezpośrednio powiązana z wydawnictwami prasowymi. To (...) dokonywało się wraz z rozwojem i upowszechnianiem idei wolności i swobód obywatelskich, jako jeden z kluczowych elementów systemu demokratycznego, gdzie prasa jest głównym gwarantem tych wolności. Kolportaż wykształcił się jako forma handlu, w której obowiązują ściśle określone zasady, mające także służyć tej wolności" – wyjaśniają autorzy referatu. Bez regulacji relacji wydawca–kolporter powszechna dostępność różnorodnych tytułów ostatecznie się zmniejszała.

Według medioznawczyni profesorki Jolanty Dzierżyńskiej-Mielczarek z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach w latach 1990–2015 – mimo nowych propozycji na rynku – sprzedaż prasy spadała.

W związku z podejrzeniem o niegospodarność przy zarządzaniu majątkiem Ruchu od paru lat toczy się postępowanie krakowskiej prokuratury. Śledztwo trwa, jak dotąd nikt nie usłyszał zarzutów.

W ciągu ćwierćwiecza przeciętny nakład polskiego tytułu zmniejszył się o 60 procent. Zmalały też liczby egzemplarzy gazet wysokonakładowych. Dzierżyńska-Mielczarek podaje za Izbą Wydawców Prasy, że w 2017 roku Polska była na 20. miejscu w Unii Europejskiej pod względem liczby gazet codziennych w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Wśród powodów takiego stanu rzeczy wymienia atomizowanie się grup odbiorców, ograniczenie czasu poświęcanego na prasę i stopniowe przechodzenie czytelników do internetu. Według *Digital News Report* za 2025 rok opublikowanego przez think tank Reuters Institute for the Study of Journalism zaledwie co dziesiąty Polak wskazuje prasę drukowaną jako źródło, z którego czerpie wiadomości. Jeszcze dziesięć lat temu przyznawał się do tego co czwarty.

Ostatnie dwie dekady to dla Ruchu walka o przetrwanie. W 2010 roku amerykański fundusz inwestycyjny Eton Park Capital Management wykupił wszystkie akcje debiutującej z sukcesem w 2006 roku na Giełdzie Papierów Wartościowych spółki Ruch, płacąc właścicielom 630 milionów złotych (z czego prawie 358 milionów złotych trafiło do Skarbu Państwa). Z transakcją związany był Igor Chalupec, biznesmen, były prezes PKN Orlen (2004–2007) i wiceminister finansów (2003–2004), właściciel należącej do Eton Park spółki Lurena Investments B.V. W 2011 roku zainwestował 204 miliony złotych Ruchu w obligacje Lureny, która miała spłacać dług wobec Ruchu z dywidendy – wypracowanej i wpłacanej na konto swojego właściciela jako akcjonariusza. Plan się jednak nie powiódł, zysków nie odnotowano, a na koniec 2018 roku firma była winna kolporterowi prasy ponad ćwierć miliarda złotych – terminy wykupu dwukrotnie przesuwano (w finansach to tak zwane podwójne rolowanie) i za każdym razem zamiast pieniędzy proponowane były nowe obligacje. W okresie od 2010 do 2017 roku firma dorobiła się 600 milionów złotych straty. Spółka przestała być wypłacalna wobec wierzycieli – umowy wypowiedzieli „Gazeta Wyborcza" i „Super Express". W 2019 roku Lurena zawarła porozumienie z Alior Bankiem, aby kontynuować działalność Ruchu mimo zadłużenia, przygotowując firmę do przejęcia przez Orlen.

Jednocześnie obsługę konsultingową Ruchu prowadziła należąca do Chalupca firma Icentis Capital. Z tego tytułu w latach 2010–2016 na jej konto wpłynęło 34,5 miliona złotych (konsultowała też sprzedaż akcji Skarbu Państwa funduszowi Eton Park w 2010 roku).

Schyłkowy okres działalności Ruchu badał Tomasz Jóźwik, dziennikarz ekonomiczny „Dziennika Gazety Prawnej", wcześniej redaktor naczelny działu Biznes Polskiej Agencji Prasowej. Proszę go o komentarz.

– Zła sytuacja, straty i niezdolność Chalupca do restrukturyzacji działalności pokrywane przez wyprzedaż nieruchomości – wymienia. Pozbywanie się kiosków przez kilka lat pozwalało ratować budżet. – Jak się skończyła wyprzedaż nieruchomości, to Ruch po prostu upadł. Druga sprawa to zainwestowanie milionów złotych w obligacje Lureny – zauważa Jóźwik.

– To była nieudana próba ratowania zadłużonego przedsiębiorstwa?

– Ruchu nie udało się zrestrukturyzować. Podstawowa działalność regularnie przynosiła straty, mimo że na polskim rynku

eprasa.pl fc0d95e1fd

funkcjonowały równolegle takie firmy, jak Kolporter czy Garmond Press, które w trudnej sytuacji czytelnictwa prasy papierowej zdołały się utrzymać. Może ta koncepcja w ogóle była nie do uratowania? Może te kioski trzeba było sprzedać w 2010 roku, kiedy ktokolwiek chciał je jeszcze kupić? – zastanawia się dziennikarz. – Faktem jest, że przez ostatnie lata Ruch żył na koszt wydawców, nie rozliczając się w pełni z dystrybuowanych gazet. Trochę też na koszt Alior Banku, który udzielił spółce znajdującej się w trudnej sytuacji kredytu i wielokrotnie go przedłużał, mimo że wiele innych instytucji w tym czasie zażądałoby spłaty. Z drugiej strony zdarzają się takie sytuacje w biznesie, gdzie jakiś rodzaj działalności jest trwale nierentowny – podsumowuje.

Jak poinformowali mnie rzecznicy krakowskich prokuratur, w sprawie wytoczonej Chalupcowi w związku z podejrzeniem o niegospodarność przy zarządzaniu majątkiem Ruchu po 2010 roku toczyło się postępowanie w Prokuraturze Okręgowej w Krakowie. W kwietniu 2023 roku przekazano je do Prokuratury Regionalnej w Krakowie. Śledztwo trwa, jak dotąd nikt nie usłyszał zarzutów.

W 2020 roku zarządzany przez Daniela Obajtka Orlen wykupił Ruch. Prezes zapowiadał, że ma pomysł na jego rozwój. W 2021 roku koncern uruchomił projekt „Orlen w ruchu", który miał sprzedawać prasę i uzupełniać sprzedaż detaliczną poza stacjami benzynowymi. Planowano utworzenie około 900 punktów. Na mapie Google znajduję ich dziś kilka – głównie w Warszawie. Ponadstuletniej marki nie udało się już uratować. W momencie podjęcia decyzji o likwidacji zadłużenie Ruchu wynosiło ponad 160 milionów złotych. W sieci było wówczas 128 kiosków.

Nowe władze Orlenu na czele z Ireneuszem Fąfarą w marcu 2025 roku złożyły zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa polegającego na niekorzystnym zarządzaniu majątkiem spółki przez poprzednie kierownictwo. W tej sprawie postępowanie prowadzi Prokuratura Regionalna w Warszawie.

—

MIMO FALI ZAMKNIĘĆ kiosków w Gdańsku nadal można je spotkać. Choć nie tak często jak jeszcze 10 lat temu, kiedy charakterystyczna w tym mieście brązowa konstrukcja stała niemal na każdym przystanku i osiedlu. Przechadzając się prowadzącą do centrum ulicą Kartuską, mijam kilka punktów zamkniętych na cztery spusty. Do jednego z dwóch otwartych w pobliżu zaprasza mnie Jarosław (nie chce podawać nazwiska). Jest ciasno. Z plecakiem i dzieckiem na ręku prawie demoluję mu wystawę, ale udaje się porozmawiać. W promieniu kilkudziesięciu metrów od jego kiosku znajdują się główny budynek urzędu miasta, sąd okręgowy i apelacyjny oraz szpital wojewódzki. To dobry punkt na sprzedaż prasy. Jarosław uruchomił go 14 lat temu. Był wtedy przedstawicielem handlowym, szukał innego zajęcia. Obok domu zobaczył kartkę z napisem „Sprzedam kiosk". Dotychczas je zaopatrywał, wiedział więc, na jakich zasadach funkcjonuje ten biznes. Pracę polegającą na podróżach na drugi koniec Polski zamienił na siedzącą, i to blisko domu. – Później to siedzenie w miejscu dało mi się we znaki. Kręgosłup, do tego krążenie w nogach. Ale dbam o siebie, chodzę na siłownię, staram się prowadzić aktywny tryb życia.

W świadomości klientów Jarek jest zrośnięty ze swoim kioskiem. Przez wiele lat widywali go tylko przez okienko. – Kiedyś idę sobie ulicą i spotykam jednego, a on mnie zagaduje: „Dzień dobry, a gdzie pan idzie?" „Do domu". „A długo tu pan mieszka?" „Nie, dopiero trzydzieści parę lat".

Kiosk jest otwarty od poniedziałku do piątku od 6:00 do 16:00. Zaopatruje go Kolporter. Jak wszędzie dystrybutor sam wylicza, co i jak się sprzedaje, i na podstawie tych danych przysyła odpowiednią liczbę egzemplarzy wybranych gazet.

– Spory spadek miałem w pandemii. Ludzie przestali wychodzić do lekarzy, na ulicach był mniejszy ruch. Później kioski stopniowo się likwidowały, a sprzedaż gazet mimo mniejszej konkurencji i tak spadała. No i internet zabiera czytelników. Do tego rosnące ceny kolejnych wydań – wylicza kioskarz. Mimo wszystko u Jarosława, w przeciwieństwie do większości sprzedawców, z którymi rozmawiam, kupują nie tylko seniorzy. – Młodsze osoby też sięgają po magazyny opinii. Osiem–dziesięć sztuk tygodniowo, a to na dzisiejsze realia jest już dużo – mówi. To specyfika miejsca, w którym stoi kiosk. Czasopisma biorą często ludzie, którzy idą w odwiedziny do chorego w pobliskim szpitalu lub do przyszpitalnej przychodni, żeby zająć się czymś w poczekalni. To też adwokaci, prokuratorzy, sędziowie udający się do stojącego tuż obok gmachu sądu. Jednak kioskarz przyznaje, że gdyby żył ze sprzedaży samych gazet, to szybko by biznes zamknął. Pokazuje szerokim gestem rąk, ile kiedyś dostawał prasy, i mniej zamaszystym, ile przychodzi teraz. – Bilety kupuje się przez aplikacje, a papierosy coraz więcej osób rzuca – ocenia na podstawie swoich obserwacji (ale z informacji Instytutu Praw Pacjenta i Edukacji Zdrowotnej wynika, że pali dziś 29 procent dorosłych Polaków; w 2015 roku paliło 24 procent – podaje na swojej stronie Ministerstwo Zdrowia). Jarosław ratuje się, sprzedając sprzęt do rehabilitacji: piłeczki do ćwiczeń, gumy do rozciągania czy maści przeciwbólowe.

Kiedyś powszechna była „prenumerata teczkowa", czyli odkładanie stałym klientom gazet do teczek. U Jarosława nadal można na to liczyć. – Codziennie trzymam dla paru klientów „Fakt" i „Super Express". Jeden pan na weekend bierze dla żony „Twoje Imperium". Miałem też stałych czytelników dwumiesięcznika o rodzinie królewskiej – „Dworskie Życie" [wydanie specjalne „Życia na Gorąco" – przyp. S.G.]. Odkładam kolorowe gazety z programem telewizyjnym, „Politykę", magazynowe wydania „Wyborczej". Nadal sprzedaję „Gazetę Polską" i „Gazetę Warszawską", ale nie odkładam ich do teczek – wymienia. Czasem stałym klientom wysyła SMS-y z informacją o jakiejś nowości, na przykład książce czy modelu do składania. Przez lata zdążył się zaprzyjaźnić z kilkoma osobami.

W świadomości klientów Jarek jest zrośnięty ze swoim kioskiem. Przez wiele lat widywali go tylko przez okienko. – Kiedyś idę sobie ulicą i spotykam jednego, a on

eprasa.pl fc0d95e1fd

mnie zagaduje: „Dzień dobry, a gdzie pan idzie?”. „Do domu”. „A długo tu pan mieszka?” „Nie, dopiero trzydzieści parę lat”. Tak myśmy się znali – śmieje się. Ma nadzieję, że jeszcze długo będzie mógł prowadzić kiosk. Lubi swoją pracę.

—

GDAŃSK TO jedyne miasto w Polsce, w którym działa lokalna organizacja zrzeszająca pracowników handlu prasą. – Należy do nas duża część naszej gdańskiej społeczności – mówi Jacek Laskowski, prezes Gdańskiego Stowarzyszenia Kioskarzy (GSK). W latach 90. Ruch zaczął wypychać swoich pracowników na umowy ajencyjne. „Impulsem do powstania Stowarzyszenia była konieczność ochrony kioskarzy przed ówczesnym monopolistą – Robotniczą Spółdzielnią Wydawniczą RUCH. W 1991 roku RUCH z dnia na dzień, pod groźbą utraty pracy, zmusił osoby pracujące w kioskach do przejścia na własną działalność gospodarczą, stawiając jednocześnie nie do przyjęcia warunki finansowe za korzystanie z kiosków, będących wówczas własnością RSW RUCH” – czytam na stronie GSK. Do organizacji dołączali kolejni kioskarze z samej stolicy regionu, ale i okolic – Sopotu, Gdyni, Pruszcza Gdańskiego. W grupie było łatwiej walczyć o swoje prawa. – Ruch zalegał z dzierżawami do miasta, a myśmy się zebrali do kupy i podpisaliśmy nowe umowy z urzędem, jako nowi dzierżawcy terenów pod naszymi kioskami – wspomina Laskowski, który do stowarzyszenia dołączył w 1993 roku. – W tamtych czasach był spory bałagan. Przez moment płaciłem trzy dzierżawy: do Skarbu Państwa, urzędu miasta oraz zarządu dróg i zieleni z racji zajęcia pasa drogowego. Kłóciłem się. Trzeba było brać nowe mapki, dochodzić, czyj teren do kogo należy, pisać odwołania. To była bardzo wyboista droga. Każdy mówił, że ma rację i liczył odsetki – mówi. Pamięta, że szybko udało mu się przekonać Skarb Państwa, że to nie jest teren tej instytucji, ale jeden kwartał musiał opłacić podwójnie. Zwrotu nigdy nie dostał.

Opowiada o trudnych warunkach wielogodzinnej pracy w aluminiowo-szklanej budce. Zimą trzeba ją ogrzewać farelką, co pochłania pieniądze, latem w kiosku robi się gorąco jak w szklarni. Wyzwaniem są też koszty utrzymania działalności. Do opłat stałych należą: dzierżawa terenu, podatki i ZUS, księgowa, prąd, paliwo. Jeśli dodać do tego spadek sprzedaży prasy, biznes przestaje być atrakcyjny.

Prezes GSK wspomina też falę zamknięć kiosków w Gdyni. Kilkanaście lat temu władze miasta wpadły na pomysł, by stare, często nieestetyczne przybytki, zastąpić nowoczesnymi konstrukcjami. Było to warunkiem przedłużenia kioskarzom dzierżawy terenu. Koszt nowej bryły wynosił wówczas około 50–60 tysięcy złotych. Wielu przedsiębiorcom to się nie opłacało i zamknęli swoje punkty. – Dziś w Gdyni

ostało się kilka kiosków, które nie znajdują się na gruntach należących do miasta, ale zajmują tereny spółdzielcze lub prywatne – tłumaczy Laskowski. Jak informuje Ratusz, na gruntach miejskich stoi jeszcze kilka prywatnych kiosków. W 2024 roku nastąpiła zmiana władzy – po 26 latach Wojciecha Szczurka zastąpiła Aleksandra Kosiorek. Nowy rzecznik prasowy urzędu miasta nie chce komentować decyzji sprzed kilkunastu lat.

A w Gdańsku? Laskowski zapewnia, że współpraca z urzędem miasta od lat układa się wzorowo. Tak przynajmniej jest w przypadku prywatnych właścicieli kiosków. – Jak rozmawiałem z tamtejszymi ajentami Ruchu, kiedy jeszcze mieli swoje punkty, to bardzo narzekali, że są na prowizji, z której po opłatach praktycznie nic nie zostaje. Dlatego często się zmieniali, a kioski stały puste. A jak stały puste, to trzeba było je zamknąć – wyjaśnia. Choć według jego szacunków w mieście jest jeszcze 40 kiosków, są już dzielnice bez punktów z prasą. – Mam dwie osoby, które przyjeżdżają aż z Zielonego Trójkąta [osiedle Gdańska będące częścią dzielnicy Młyniska położonej nad Martwą Wisłą – przyp. S.G.], w którym nie ma gdzie kupić gazet. Dlatego dwa razy w miesiącu wsiadają w tramwaj i się u mnie obkupują.

Jacek Laskowski ma kilka teczek. Odkłada do nich kolorowe magazyny z programem telewizyjnym, z dzienników „Fakt” i „Super Express”, z miesięczników „Zwierciadło”. Przyznaje, że lokalny „Dziennik Bałtycki” sprzedaje się u niego bardzo słabo. Największą codzienną gazetę w województwie pomorskim, wraz z jego wydawcą (Polska Press), w 2020 roku wykupił Orlen. Redakcja zmieniła linię, wielu dziennikarzy odeszło, a część z nich założyła nowy periodyk – „Zawsze Pomorze”. Laskowski mówi, że wśród jego klientów nowa marka nie przebiła się tak jak poprzednia, a samemu „Dziennikowi Bałtyckiemu” nie udało się dotąd odbić po zmianie władzy i „rozmrożeniu” upolitycznionej linii. – Za dużo było polityki, za mało o regionalnych sprawach – stwierdza.

Zaprzyjaźnił się z około setką klientów. – Dla niektórych jesteśmy konfesjonałem, choć nie udzielamy rozgrzeszenia – śmieje się. Starsze osoby nie tylko robią u niego zakupy, ale też załatwiają drobne sprawy. Płacą rachunki, proszą o wezwanie taksówki czy odczytanie SMS-a. Kioskarz jest dla nich często jedyną w ciągu dnia osobą, z którą mogą porozmawiać. Ale zagadują go też młodsi, uczniowie pobliskich szkół. Kiosk to po prostu miejsce, gdzie przystaje się na rozmowę. – Zwłaszcza latem, jak jest dużo turystów, to sobie staną i narzekają, że u nich w mieście nie ma już kiosków i to jest tragedia. Nie mają gdzie kupić różnych rzeczy – mówi Laskowski.

Na brak kiosków narzekają też mieszkańcy okolic Trójmiasta. Laskowski wspomina klienta z Wejherowa, który, przyjeżdżając do Gdańska do pracy, regularnie zatrzymuje się u niego i kupuje te same produkty: szare mydło, wodę brzozową i żyletki Polsilver dla dziadka. – To coś, co trudno dostać gdzie indziej. Przecież popularne sieciówki często takich rzeczy nie mają.

To prawda. W hipermarketach zdarza się na nie wpaść, ale to rzadkość. Produkty

eprasa.pl fc0d95e1fd

rodem z lat 90. to nie tylko nostalgia milenialsów, przedmioty, którymi w dzieciństwie byli otoczeni dzisiejsi 30- i 40-latkowie. Dla starszych klientów to po prostu konsumenckie przyzwyczajenie. Jeśli 70-latek przez dekady używał jakiegoś kosmetyku, niechętnie go zmieni. – Niektórzy twierdzą, że coś jest lepsze, zdrowsze. Że tylko szampon Bambi najlepiej myje skórę głowy z uczuleniem. Kupują go w kiosku nawet wtedy, gdy podobny produkt w dużym sklepie dostaną taniej – mówi Laskowski. Podkreśla, że kioskarze zaopatrują się w chemię i kosmetyki u polskich dostawców. – Wiadomo, że cena u nas nie będzie taka jak w Lidlu czy Biedronce. Niestety, nie przeskoczę tego. Jesteśmy zbyt mali, żeby kupować paletami.

Kosmetyki to jeden ze sposobów na zwiększenie oferty. Z końcem kwietnia 2025 roku ze sprzedaży zniknęła część wyrobów tytoniowych. Chodzi o papierosy z ubiegłoroczną akcyzą, a więc i niższą ceną. Z kolei w połowie stycznia 2026 roku – dziewięć miesięcy po wejściu w życie Ustawy o ochronie zdrowia przed następstwami używania tytoniu i wyrobów tytoniowych, która przewiduje okres przejściowy – zacznie obowiązywać zakaz sprzedaży aromatyzowanych wkładów do e-papierosów.

Prezes gdańskiego stowarzyszenia zauważa, że wraz z zamknięciem kiosków Ruchu prasa wróciła do dużych sieciówek spożywczych. Przez co on stracił część klientów. – Patrzę, jak dawny klient wraca z Lidla i gazetę już ma w siatce.

Zagrożeń dla tradycyjnych kiosków wciąż przybywa. Jednym z nich są nowe oferty zamawiania prasy do paczkomatu Orlenu („Orlen Paczka") i InPostu (uruchomiony w marcu zeszłego roku program pilotażowy z „Tygodnikiem Powszechnym"). Ma to być reakcja na potrzebę rynku, jaką stworzyła likwidacja kiosków Ruchu. Kioskarz uważa, że to rozwiązanie może być szczególnie przydatne w małych miejscowościach, gdzie miejsc z prasą już po prostu nie ma. Tylko to nie jest wyjście dla wszystkich, bo chociaż kompetencje cyfrowe osób starszych wciąż rosną, to z obsługą paczkomatu mogą mieć problem najstarsi – ci, którzy najbardziej byli związani z „instytucją kiosku".

Jacek Laskowski ma 53 lata. Prowadzi również drugą działalność, w branży nieruchomości. Mówi, że w kiosku na pewno nie doczeka emerytury.

—

WITRYNY W CAŁOŚCI wyłożone gazetami, duży wybór magazynów. Brak zabawek i kosmetyków. Do okienka podchodzi kobieta i prosi o „Dziennik Pomorski". Tak czasem mówi się tu na „Gazetę Pomorską" – lokalny tytuł regionu kujawsko-pomorskiego. Jestem w Rypinie, miasteczku powiatowym liczącym 15 tysięcy mieszkańców. Najbliższe duże miasta to oddalony o 65 kilometrów Toruń i o niecałe 60 kilometrów Włocławek. To około godziny drogi samochodem. Rypin otaczają wsie i inne małe miasteczka. Kiosk U Gosi i salonik prasowy w budynku marketu Netto – należące do Małgorzaty i Zbigniewa Grzeszkiewiczów – są niemal jedynymi miejscami w powiecie, gdzie można kupić gazety codzienne, a jedynymi z tygodnikami opinii i miesięcznikami (na początku wieku w samym mieście było 17 punktów z prasą).

Małżeństwo od sześciu lat jest na emeryturze, ale nadal prowadzi swój biznes. Początek ich kiosku to rok 2002, gdy od siostry Małgorzaty, która pracowała w biurze Ruchu, dowiedzieli się, że jest na sprzedaż. Po trzech latach przekształcili go w prywatny. Właścicielka przyznaje, że około 2005 roku w sieci nastąpiła zmiana na gorsze: – Wraz z nadejściem pierwszego PiS-u przyszli „młodzi gniewni", nowi menedżerowie w Ruchu, a z nimi nowe warunki. Na przykład niższa o kilkadziesiąt procent marża. Gdyby wtedy nie udało mi się od nich odłączyć, to na pewno bym tego nie prowadziła. Tak samo, gdyby nie było saloniku prasowego, w którym jest większy ruch. Z samego kiosku byśmy się nie utrzymali, a razem to się jakoś łączy.

Budka stoi w dobrym punkcie, przy osiedlu bloków z wielkiej płyty, tuż obok sporego parkingu. Kupują tam mieszkańcy osiedla, głównie starsi ludzie, a ci, którzy przejeżdżają autem, mogą się zatrzymać i podejść do okienka. – Kiedy zaczynałam, było u nas około 2 tysięcy tytułów. Dzisiaj jest ich około 500 – mówi Małgorzata. Mimo to U Gosi można wybierać w magazynach lifestyle'owych, psychologicznych, tygodnikach opinii. Wiele kiosków ma ograniczony wybór, królują kolorowe magazyny z krzyżówkami – w końcu w każdym miejscu decyduje popyt. Konkurencję Małgorzata widzi w stojakach z prasą w prywatnych sklepach spożywczych i sieciowych, które zareagowały na zamknięcia kiosków. Znaleźć tam można lekką kolorową prasę, jak „Chwila dla Ciebie" czy „Twoje Imperium". Dlatego Grzeszkiewiczowie stawiają na dostarczenie klientowi tego, czego nie może znaleźć nigdzie indziej. – Jeśli ktoś potrzebuje konkretnego tytułu, to szuka miejsca, gdzie może go kupić. Nawet jeśli tego nie mam, to mogę zamówić – wyjaśnia i podkreśla, że jeśli regularnie sprzedaje się choć jeden egzemplarz, to go zamawia. – Staramy się. Jeszcze się trzymamy, ale to jest trudne. Z samej prasy byśmy się nie utrzymali.

Drugie miejsce – salonik prasowy w supermarkecie – w internecie jest oznaczone jako „sklep prasowo-herbaciany". Punkt jest partnerem jednej z popularnych sieciówek sprzedających herbaty i kawy. Znajduje się tam też kolektura Lotto. – To czysty zysk, bo nie ponoszę tutaj dodatkowych kosztów związanych z prowadzeniem punktu z zakładami – mówi Grzeszkiewicz. Wystrój sklepu uzupełnia gablota, za którą leży drobna biżuteria ze srebra.

– Też się sprzedaje?

– Od czasu do czasu – mówi właścicielka. – Podobnie jak kartki okolicznościowe na chrzciny, śluby, święta.

Drugim po „Gazecie Pomorskiej" (8632 sprzedawane dziennie egzemplarze papierowe) lokalnym dziennikiem w rejonie Torunia, a trzecim w województwie

eprasa.pl fc0d95e1fd

kujawsko-pomorskim, są „Nowości. Dziennik Toruński" (2646 egzemplarzy papierowych dziennie). – Pamiętam, że jak zaczynałam, to w jeden piątek sprzedawałam 100–150 sztuk „Nowości". A w tej chwili wie pani, ile? Trzy–cztery. Tylko że wtedy w piątek była tam lokalna wkładka, „Dodatek Rypiński" – wyjaśnia. Wszystkie dzienniki, lokalne i ogólnopolskie, sprzedają się gorzej od poniedziałku do czwartku, lepiej jest w piątek, kiedy wychodzą wydania magazynowe. Stałym klientom Małgorzata odkłada gazety do teczek. To duże grono, kilkadziesiąt osób. Co zamawiają Rypinianie? „Gazetę Wyborczą" – klient płaci z góry za cały miesiąc, a potem tylko przychodzi i odbiera. Tygodniki – „Newsweek", „Polityka". Oczywiście programy telewizyjne. I magazyny kolekcjonerskie, w których jest jakiś model do złożenia.

Największymi odbiorcami prasy papierowej w Rypinie są najstarsi i najmłodsi. Seniorzy zwykle sięgają po magazyny z programem telewizyjnym lub plotki z życia gwiazd. Małe dzieci, gdy wracają z mamami z zakupów w supermarkecie, zaglądają do saloniku i chwytają upstrzone brokatem gazety z dołączonymi zabawkami i naklejkami, umieszczone na najniższej półce. Ale kupujących wciąż ubywa. – Czasami ktoś przechodzi ulicą z rodziny dawnego klienta, myślę sobie: „ten u mnie kupował, ten, ten". Ich już nie ma. Umarli albo nie mogą już czytać, psuje im się wzrok lub za bardzo nie rozumieją, co czytają. Ich dzieci nie przychodzą.

Według Małgorzaty wiele osób rezygnuje z kupna gazet ze względów ekonomicznych. – Na przestrzeni ostatnich lat w Rypinie nie powstała ani jedna większa firma. Za to upadły mleczarnia i fabryka mebli. Były jednymi z większych pracodawców – mówi. W mieście działają trzy duże zakłady: producent wózków sklepowych Damix (firma wywodzi się z lat 70., ale przekształciła się w 1996 roku), fabryka elementów meblowych Rejs (powstała w latach 90.) oraz wytwórca pasz dla zwierząt hodowlanych Cedrob, który otworzył swój zakład na terenie rypińskiej specjalnej strefy ekonomicznej w 2016 roku. Mimo to w powiecie rypińskim stopa bezrobocia jest prawie dwa razy wyższa niż średnia krajowa – według Głównego Urzędu Statystycznego na koniec 2024 roku wynosiła 10 procent. – Jeśli dziennik kosztuje około siedmiu złotych, to jest to spory wydatek, zwłaszcza dla emeryta. Wiem, ile ja mam emerytury z własnej działalności. Miałam momenty, że chciałam to wszystko rzucić. Ale włożyłam tu dużo serca i lubię swoich klientów. Jakoś to się równoważyło – mówi.

Grzeszkiewicz początkowo pracowała codziennie od godziny 6:00 do 20:00. Po około pięciu latach, kiedy otworzyła drugi punkt i mogła zatrudnić dodatkowego pracownika, była zmiana. Pierwsze 15 lat działalności przetrwała z mężem bez urlopu. Dzisiaj jest w stanie zatrudniać dwie pracownice. Dzień zaczyna godzinę później, o 7:00. To dlatego, że dostawa prasy została przesunięta. W kiosku lub saloniku pracuje tylko w weekendy. W tygodniu na zastępstwie, gdy na przykład zachoruje dziecko sprzedawczyni. Kiedy Grzeszkiewiczowie zakończą działalność, sukcesji nie będzie. Ich syn ma swoją pracę i życie, mieszka pod Toruniem. Może kupnem będzie zainteresowana jedna z pracownic. Jeśli nie, z mapy miasta znikną ostatnie punkty z szerokim wyborem prasy.

Kiedy podchodzę do okienka Kazimiery, choć nie było mnie u niej wiele lat, od razu pyta, co u mnie. Pamięta wiele szczegółów. – Żona jest spowiednikiem – mówi mi Piotr. – Śmialiśmy się, że do okienka powinniśmy dostawić klęcznik.

—

BYŁ ROK 1993 i na osiedlu Jaroty w Olsztynie budowały się jeszcze ostatnie bloki, kiedy Kazimiera i Piotr przejęli nowo otwarty kiosk. Poprzednia właścicielka miała trzy punkty i jednego z nich chciała się pozbyć. Budka stoi na przystanku autobusowym przy ulicy Wilczyńskiego, głównej arterii tej części miasta. Stąd mieszkańcy dojeżdżają do centrum. To mój kiosk, bo przez 17 lat mieszkałam w bloku prawie tuż nad nim. Kupowałam „Bravo", „Popcorn", później „Filipinkę". Żaden z tych tytułów już nie wychodzi. Przez dekady małżeństwo zdążyło stać się częścią krajobrazu osiedla i dobrze poznać jego mieszkańców. Kiedy podchodzę do okienka Kazimiery, choć nie było mnie u niej wiele lat, od razu pyta, co u mnie. Pamięta wiele szczegółów. Kiedy dzwonię do nich tydzień później, telefon odbiera Piotr. – Żona jest spowiednikiem. Śmialiśmy się, że do okienka powinniśmy dostawić klęcznik – mówi. Metafora spowiedzi powtarza się w rozmowach z kioskarzami z różnych miast.

Oboje przyjechali do Olsztyna z mazurskich miasteczek. Piotr z Kętrzyna, gdzie w latach 90. bezrobocie wynosiło nawet 80 procent. Na przełomie wieków całe Warmińsko-Mazurskie było niechlubnym liderem tych statystyk. W 2003 – roku najwyższego bezrobocia po 1989, kiedy jego ogólnopolska stopa przekraczała 20 procent – zatrudnienia nie mogło znaleźć ponad 30 procent mieszkańców. Piotr mówi, że szczególnie w tamtym czasie oboje doceniali swoją pracę w kiosku. A teraz? – Trzeba kochać ludzi, prasę, być kontaktowym. Inaczej by człowiek nie wytrzymał. Dla pieniędzy nie pracujemy już od jakichś 20 lat – wyznaje. O realiach ostatniego okresu Piotrowi ciężko mówić pozytywnie. Z 30–40 egzemplarzy „Gazety Olsztyńskiej" dziś sprzedają się jedna, może dwie sztuki dziennie. Z kilkunastu stałych klientów proszących o odkładanie pism do teczek zostało trzech. A bilety ludzie kupują w aplikacjach lub automacie, takim jak ten postawiony na przystanku przy ich kiosku. Na emeryturę wybierają się z żoną za cztery lata. – Chyba że będziemy musieli przejść na opiekę społeczną po tylu latach pracy – słyszę w tle Kazimierę. Ich jedyna córka nie przejmie kiosku. Kazimiera i Piotr nie planują wystawiania budki na sprzedaż, pójdzie na złom. Gdy konkurencja zamknie kiosk stojący po drugiej stronie przystanku autobusowego, znikną ostatnie dwa w tej dzielnicy.

– Niedawno obok przechodzili rodzice z małym chłopcem – opowiada mi Piotr. – „Zobacz, tu jeszcze stoi kiosk Ruchu". „A co to jest?" Następne pokolenie nie będzie wiedziało, co to był kiosk.

eprasa.pl fc0d95e1fd

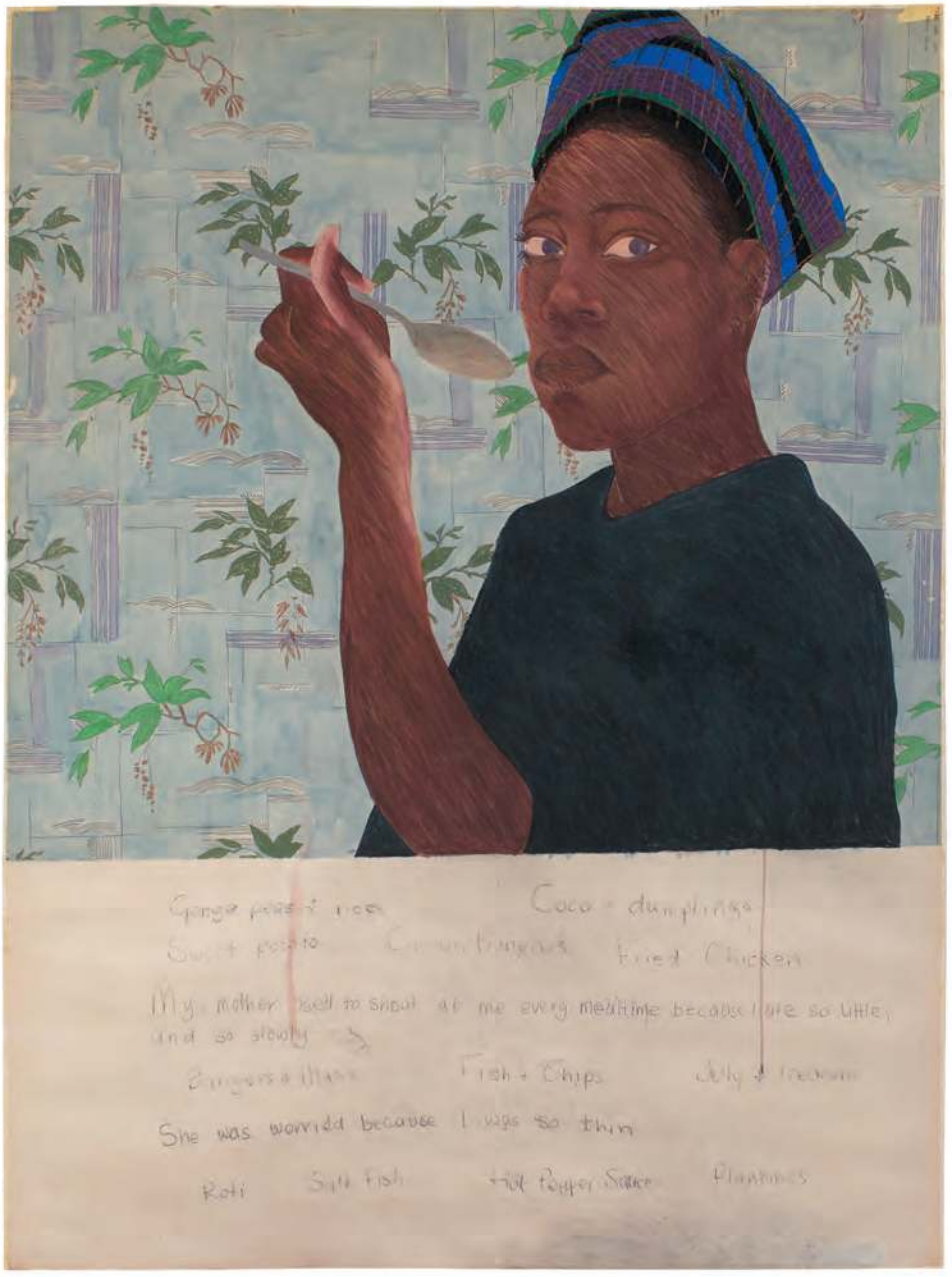

Ryż z groszkiem

SONIA BOYCE

Pastel na papierze, 1982

Kolekcja Lubainy Himid

zdjęcie ROBERT GŁOWACKI © 2025 SONIA BOYCE. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE. DACS IMAGES. DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTKI ORAZ INSTITUTE OF CONTEMPORARY ART Z LONDYNU

eprasa.pl fc0d95e1fd

ZOFIA CZARTORYSKA-PŁOSKA (ur. 1988), historyczka sztuki, kuratorka. Autorka audycji *Sztuka mniej obca* o globalnej scenie artystycznej w Programie 2 Polskiego Radia oraz audioserialu *Wszystko już było*, wyróżnionego w konkursie Podcast Roku 2025. Kuratorka takich wystaw jak *Po co wojny są na świecie. Sztuka współczesnych outsiderów* (MSN) i *Nie jestem już psem* (Muzeum Śląskie w Katowicach).

—

„Trzeba tu powiedzieć, że Irie Jones, piętnastolatka, była dziewczyną potężną. Europejskie proporcje Clary były wyjątkiem w pokoleniowym łańcuchu i Irie odziedziczyła solidną jamajską sylwetkę nie po matce, ale po Hortense, faszerowanej ananasami, mango i guawą; dziewczynka była potężna, miała wielkie cycki, wielki zadek, rozłożyste biodra, grube uda, wielkie zęby. Ważyła prawie dwieście funtów i miała trzynaście funtów w skarbonce" – tak przedstawiła jedną ze swoich bohaterek Zadie Smith w głośnej powieści *Białe zęby* (przeł. Zbigniew Batko). Irie, podobnie jak autorka książki, należała do pokolenia dzieci imigrantów z brytyjskich kolonii na Karaibach, którzy od lat 40. do 70. osiedlali się w Wielkiej Brytanii. Jako brytyjscy obywatele, przedstawiciele tak zwanego pokolenia Windrush (od nazwy statku HMT „Empire Windrush", na którym w 1948 roku przybyła do Anglii grupa kilkuset imigrantów) poszukiwali lepszych perspektyw życiowych w kraju, który potrzebował siły roboczej do odbudowy po drugiej wojnie światowej.

Bohaterka powieści Smith ma obsesję na punkcie dwóch rzeczy: swojego wyglądu, który odbiega od ideału piękna preferowanego przez brytyjskie społeczeństwo, oraz swojej złożonej tożsamości kulturowej, którą próbuje zrozumieć. Urodzona w Londynie, na każdym kroku dowiaduje się, że nie jest taką Brytyjką jak inne. Tytułowe „białe zęby" są podwójnym symbolem: z jednej strony poszukiwania akceptacji (w przypadku „wykorzenionej" matki Irie mającej wprawione sztuczne, „idealne" uzębienie), z drugiej zaś – rasizmu i groźby przemocy (wybrzmiewających w komentarzach emerytowanego wojskowego, gdy opowiada dzieciom, że dzięki białym zębom Kongijczyków łatwiej było mu do nich celować w ciemnościach). Ciało jest więc przestrzenią, w której odkładają się kolonialna historia, ale też proces poszukiwania własnej odrębności i przynależności.

Córką przedstawicieli generacji Windrush jest też jedna z najwybitniejszych współczesnych artystek brytyjskich – Sonia Boyce (ur. 1962). Jej matka pochodziła z Barbadosu, a ojciec był Gujańczykiem; poznali się w Londynie, gdzie oboje wyemigrowali w latach 50. W 1982 roku w eksperymentalnej Whitechapel Gallery, w której sąsiedztwie się wychowała, Boyce obejrzała wystawę Fridy Kahlo, odkrywanej wtedy na nowo przez feministyczne historyczki sztuki. Uderzyło ją to, jak meksykańska malarka wykorzystywała wizerunek własnego ciała, by opowiedzieć w złożony sposób o swojej tożsamości. W tym czasie uczyła się w Stourbridge College, w małej miejscowości na zachodzie kraju. Kilkanaście kilometrów dalej, w miasteczku Wolverhampton, odbyła się wtedy pierwsza Konferencja Czarnych Artystów, która zapoczątkowała ruch British Black Arts Movement – walczący o większe uwidocznienie artystów diaspory w brytyjskiej sztuce. Boyce zaangażowała się w tę działalność, a w twórczości na kilka lat skoncentrowała się na autoportrecie, który uznała za najlepsze pole do eksploracji jej brytyjsko-karaibskiej, kobiecej tożsamości.

Ryż z groszkiem to ikoniczna praca z tego okresu twórczości artystki. Ukazuje ją pewnie patrzącą w oczy widza, niespecjalnie przejętą tym, że została przyłapana w intymnym momencie jedzenia. Pod rysunkiem widzimy odręczne zapiski: niedbale zanotowane nazwy typowo angielskich (fish & chips) i karaibskich (plantany) potraw oraz wspomnienie z dzieciństwa o matce zawsze martwiącej się, że córka za mało je i jest zbyt chuda. U Boyce także pojawia się wątek ciągłej obserwacji ciała oraz potrzeby kontroli wyglądu.

Pokolenie artystek, do którego należy Boyce, chciało pokazać na własnych zasadach czarne kobiece ciała i doświadczenia czarnych Brytyjek, ponieważ takich obrazów w muzeach i galeriach w tamtym czasie w ogóle nie było. Chodziło im o to, by uczestniczyć w kulturze z całym bogactwem ich złożonych etnicznych tożsamości, ale chciały też uniknąć zaszufladkowania jako osoby poruszające jedynie „czarną", mniejszościową tematykę. Walka o miejsce w brytyjskiej sztuce zajęła im prawie 40 lat. W 2016 roku Boyce została pierwszą czarną kobietą przyjętą do założonej w 1768 roku londyńskiej Royal Academy of Arts. W 2022 roku jako pierwsza niebiała artystka reprezentowała kraj na Biennale w Wenecji, skąd wróciła ze Złotym Lwem dla najlepszego pawilonu, w którym widzowie mogli poznać zapomniany wkład czarnych Brytyjek w historię światowej muzyki i wyzwalający potencjał ich technik improwizacji.

„Bo inną jeszcze cechą imigrantów (uchodźców, emigrantów, wędrowców) – pisała Smith – jest to, że nie mogą się uwolnić od swojej historii, tak samo jak nikt nie może zgubić swego cienia".

MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ W WARSZAWIE

Pracę Soni Boyce oraz blisko 200 innych artystek można zobaczyć w Muzeum Sztuki Nowoczesnej na wystawie *Kwestia kobieca 1550–2025* do 3 maja 2026 roku.

Więcej na **magazynpismo.pl/w-ramach-pisma**

eprasa.pl fc0d95e1fd

Gorzka prawda nie tylko o *Słonych ścieżkach*

tekst PATRYCJA BUKALSKA

LITERATURA OPOWIADAJĄCA o cierpieniu i traumie dobrze się czyta, a jeszcze lepiej się sprzedaje. Jednak niedawny książkowy skandal pokazał, że najbardziej w tej sytuacji cierpi… prawda.

Lot z Aberdeen był opóźniony o kilka godzin, a jako że to nieduże lotnisko, niewiele można tam robić. Jedna kawa, kolejna. Poszłam się przejść, zajrzałam do księgarni: nowości i bestsellery. Na jednej z niższych półek *The Salt Path* – i super oferta: „Kup jedną, a drugą dostaniesz za pół ceny". Było to już kolejne wydanie (książka ukazała się też w Polsce, w 2020 roku, pod tytułem *Słone ścieżki*). Na okładce widniał kadr ze zrealizowanego na podstawie tej opowieści filmu. Do półki doklejono tekst promocyjny (odręcznie napisany, ale na papierze z logo księgarni) – kilka zdań streszczenia oraz podsumowanie: *Beautiful nature writing – what a journey* („Piękny tekst o naturze – co za podróż").

Zdziwiłam się, że po skandalu, który przecież odbił się szerokim echem w mediach, ktoś wciąż tak rekomenduje tę książkę. A może uniwersalność opowieści o wędrówce i odrodzeniu, nadziei i miłości jest istotniejsza niż prawdziwość opisanych wydarzeń? Wsiadałam do samolotu także z innym pytaniem: Co można pominąć i co wolno zmienić w „historii prawdziwej"?

SŁONE ŚCIEŻKI to wspomnienia Raynor Winn, kobiety po 50-tce, która w 2013 roku straciła dom i jednocześnie dowiedziała się o śmiertelnej chorobie męża Motha. Zamiast czekać na najgorsze, wyruszyła z nim na pieszą wędrówkę południowo-zachodnim wybrzeżem Anglii – z plecakiem i niemal bez grosza przy duszy (jeśli nie liczyć 48 funtów tygodniowego zasiłku), po drodze rozbijając na dziko niewielki namiot.

Wcześniej mieszkali na farmie w Walii, w domu, który własnoręcznie wyremontowali. Tam wychowały się ich dzieci, tam hodowali kury i owce, a także prowadzili agroturystykę – wynajmując gościom przebudowaną stodołę. Idylliczne życie załamało się w wyniku zdrady przyjaciela Motha, człowieka znanego mu od dzieciństwa. Moth zainwestował w jego biznes, a gdy ten – w książce przedstawiany jako Cooper – zbankrutował, okazało się, że małżeństwo jest odpowiedzialne za jego długi. Na ich poczet zajęto im dom.

Tak rozpoczyna się pierwszy rozdział: Winnowie chowają się pod schodami, podczas gdy do ich drzwi dobijają się komornicy – i w tej przerażającej chwili wzrok Raynor pada na przewodnik po słynnej pieszej trasie South West Coast Path wiodącej wzdłuż południowo-zachodniego wybrzeża Anglii. Zostawiają za sobą dosłownie wszystko – czy też: wszystko zostaje im odebrane – i ruszają w drogę. Początkowo z trudem, krok za krokiem, mila za milą.

Wędrówka ma dać im czas na zastanowienie się, co dalej. Okazuje się jednak czymś więcej – dzięki niej zyskują siłę i przekonanie, że dadzą sobie radę, dodatkowo znacząco poprawia się stan zdrowia Motha.

Kilka dni po tym, jak przegrali sprawę w sądzie i dowiedzieli się, że muszą opuścić swój dom, poznał on diagnozę swoich trwających od dłuższego czasu dolegliwości. *De facto* był to wyrok: zwyrodnienie

eprasa.pl fc0d95e1fd

rysunek HANNEKE ROZEMULLER

eprasa.pl fc0d95e1fd

PATRYCJA BUKALSKA (ur. 1972), dziennikarka „Tygodnika Powszechnego". Autorka książek: *Rysiek z Kedywu. Niezwykłe losy Stanisława Aronsona*, *Sierpniowe dziewczęta '44*, *Krwawa Luna*, *Szkło pod powieką* (wspólnie z Anną Jakubowską), *Ziemia jednorożca. Podróż po Szkocji* oraz *Szkic. Hanka i Jacek Fedorowiczowie w rozmowie z Patrycją Bukalską*. Życie dzieli między Polskę a Szkocję.

korowo-podstawne (CBD), postępująca choroba neurodegeneracyjna. Osoby nią dotknięte żyją zazwyczaj około pięciu, dziesięciu lat od zachorowania, w czasie których konsekwentnie pogarsza się ich stan, w tym zdolność poruszania się, a nawet przełykania. Zdarzały się przypadki ludzi przeżywających 15 lat, ale pod koniec życia nie byli już w stanie funkcjonować samodzielnie. Na CBD nie ma lekarstwa.

Raynor i Moth przeszli ponad tysiąc kilometrów. Notatki z podróży przekształciły się w *Słone ścieżki*. Opowieść – o utracie, nadziei, miłości i kojącej sile natury – podbiła serca czytelników w Wielkiej Brytanii i poza nią, zbierając entuzjastyczne recenzje. „Wolność biwakowania na dziko, pływania w morzu w blasku księżyca i życia na krówkach i pasztecikach pozwala im pogodzić się ze swoją sytuacją i odzyskać nadzieję (...). Ta pełna ironicznego humoru książka wzrusza i podnosi na duchu" – pisał „The Guardian". „Najbardziej inspirująca książka roku. (...) Pokazuje ludzki potencjał wytrzymałości i uzdrawiające moce natury" – opiniował „The Times". Już w roku wydania *Słone ścieżki* dostały się na listę bestsellerów „Sunday Timesa", na której utrzymały się przez 85 tygodni. Rok później były numerem jeden w niezależnych księgarniach w całej Wielkiej Brytanii i zyskały status literackiego fenomenu. Kolejne lata tylko to potwierdziły.

To nie jest pierwsza książka o wędrowaniu, pokonywaniu trudności i odnajdowaniu siebie. Skąd więc jej oszałamiający sukces? Może stąd, że wyszła w 2018 roku, czyli niedługo przed pandemią, a podczas tego okresu wszyscy zatęskniliśmy za wolnością i przestrzenią? A może doświadczenia autorki mocno rezonowały z lękami i nadziejami czytelników? I to nie tylko tych na Wyspach, choć faktem jest, że w tej historii znajdziemy typowe tropy brytyjskości – zamiłowanie do pieszych wędrówek (tylko w Anglii jest ponad 150 tysięcy kilometrów publicznych ścieżek), herbatę dobrą na wszystko i sarkastyczne poczucie humoru.

Przetłumaczoną na ponad 25 języków opowieść kupiły ponad 2 miliony czytelników na całym świecie. Sprzedaż dodatkowo została spotęgowana przez ekranizację książki – w 2025 roku do kin wszedł film z Gillian Anderson i Jasonem Isaacsem (w Polsce miał premierę na początku 2026 roku, pod tytułem *Ścieżki życia*).

Po wydaniu bestsellerowych *Słonych ścieżek* Winn opublikowała dwie kolejne książki: *Dziką ciszę* (2020) i *Landlines* (2022). W nich również opisuje życie swoje i męża, opierając się na podobnym schemacie: pogorszenie stanu Motha i forsowna wędrówka zakończona poprawą jego samopoczucia. Czwarta – *On Winter Hill* (*Na zimowym wzgórzu*) – miała ukazać się w październiku 2025 roku i zapewne również odniosłaby sukces. Tak się jednak nie stało.

—

W LIPCU 2025 ROKU, niedługo po oficjalnej premierze filmu, dziennikarka śledcza Chloe Hadjimatheou opublikowała w brytyjskim tygodniku „The Observer" artykuł, wskazując w nim nieścisłości i półprawdy, którymi operuje Raynor Winn. Nad autorką *Słonych ścieżek* zgromadziły się czarne chmury. Do nieścisłości należą chociażby przyczyny utraty domu i rozpoczęcia wędrówki przez Winnów.

Hadjimatheou jest nagradzaną dziennikarką, ale wcześniej zajmowała się zupełnie inną tematyką, głównie polityczną, między innymi Bliskim Wschodem. Jednak to właśnie z nią skontaktował się ktoś, kto uważał, że historia choroby Motha jest wyolbrzymiona. Dziennikarce została przekazana informacja, która stała się punktem zaczepienia: autorka *Słonych ścieżek* tak naprawdę nie nazywa się Raynor Winn, lecz Sally Walker. Wraz z mężem Timem (tak w rzeczywistości ma na imię Moth) mieszkała wcześniej w małym miasteczku w północnej Walii.

Choć publikacja pod literackim pseudonimem nie jest niczym niezwykłym, tutaj nabrała dodatkowego znaczenia – skoro prawdziwe imiona małżonków nie były znane w przestrzeni publicznej, to nikt nie byłby w stanie zweryfikować ich opowieści. Podczas zorganizowanego przez „Observera" spotkania z czytelnikami (dostępnego online) Hadjimatheou przyznaje, że początkowo miała wątpliwości, czy warto się tą sprawą zajmować. Nie wiedziała, czy wiązałby się z tym jakiś interes publiczny i czy jej informator nie kieruje się osobistymi pobudkami. Uznała jednak, że interes taki istnieje, przede wszystkim ze względu na sposób, w jaki w książce została przedstawiona choroba Motha – przypomnijmy – zwyrodnienie korowo-podstawne (CBD).

Schorzenie zdiagnozowane u męża Winn (pozostańmy przy przybranych imionach i nazwisku) było jednym z powodów podjęcia przez małżeństwo wędrówki. Z książki wynika, że już pierwsze setki pokonanych kilometrów miały mieć na zdrowie Motha dobroczynny wpływ. Potwierdzenie tego faktu znajdziemy zresztą w prologu *Słonych ścieżek* – podczas nocnego przypływu namiot wędrowców, rozbity blisko brzegu, zalewa woda. W ciemnościach rozpaczliwie starają się ratować dobytek, tych kilka rzeczy, które jeszcze posiadają – i które są im niezbędne do przetrwania. W kulminacyjnym momencie Moth, jeszcze niedawno mający trudności z poruszaniem się, podnosi namiot wysoko nad głowę i przenosi go w bezpieczne miejsce. „Niesamowite: ten człowiek, który ledwie dwa miesiące wcześniej z trudem zakładał płaszcz bez niczyjej pomocy, teraz stał na plaży w samych majtkach, z plecakiem na plecach, trzymał nad głową wciąż rozłożony namiot i mówił mi: uciekaj" – czytamy (przeł. Kamila Slawinski).

eprasa.pl fc0d95e1fd

Od rozpoczęcia ich wędrówki minęło ponad 30 dni, przeszli 391 kilometrów. „To cud" – pisze Winn.

W *Landlines* posuwa się jeszcze dalej, bo sugeruje, że choroba została pokonana. Stwierdza, że skan mózgu Motha wykazał wyraźną redukcję komórek receptorowych, „co jest widoczne w postaci świateł na ekranie. Jego światła niewątpliwie gasły". Po setkach pokonanych mil – tym razem jednym z najtrudniejszych brytyjskich szlaków ze Szkocji do Kornwalii – Moth przechodzi badanie i tym razem skan mózgu jest prawidłowy. Jak jednak wyjaśnili lekarze, gdy dziennikarka „Observera" zwróciła się do nich z prośbą o konsultację, w CBD komórki mózgowe są niszczone przez białka – wyrządzonych na skutek tego szkód nie da się odwrócić. Podkreślali, że nie ma sposobu, aby zmiany neurologiczne, do których dochodzi w przebiegu choroby, się cofnęły. Nie znaleziono też dotychczas niczego, co pozwoliłoby wyleczyć CBD lub choćby złagodzić objawy i spowolnić postęp schorzenia.

Gdy „The Observer" publikował wyniki dziennikarskiego śledztwa Hadjimatheou, od zdiagnozowania Motha mijało 12 lat – i dzisiaj (choć nie można uznać, że jest w pełni zdrowy) wydaje się samodzielnie funkcjonującym człowiekiem, pojawił się na przykład na premierze filmu, a nawet przeszedł trasę maratonu w Londynie w 2023 roku.

W medycynie zdarzają się i błędne diagnozy, i nietypowy przebieg danej choroby. CBD jest schorzeniem bardzo rzadkim, nie każdy lekarz się z nim spotkał. Jednak od diagnozy Motha minęły lata, a w kolejnych książkach nie ma co do niej wątpliwości – jest pokazany jedynie prosty związek przyczynowo-skutkowy: nasilenie się symptomów, długa wędrówka, poprawa. W *Słonych ścieżkach* Raynor zastanawia się co prawda nad tym mechanizmem, dyskutuje z lekarzem, ale ostatecznie przyjmuje, że tak po prostu jest. W *Dzikiej ciszy* po zakończeniu wędrówki pisze: „Pośród zimnego wiatru, niosącego nasycone solą morskie powietrze, nie było już wątpliwości. Mothowi nie mogli pomóc lekarze ani medykamenty, ale nie potrzebował ich. Musiał tylko prowadzić żywot, do jakiego go stworzono, jego ciało znalazło sposób, by ominąć przeszkody i żyć dalej". O dobroczynnym wpływie wędrówek małżeństwo mówiło też w wywiadach.

Należy podkreślić, że Raynor Winn nigdy nie napisała, że wędrowanie to lekarstwo na CBD, brytyjski wydawca publikuje zaś zastrzeżenie: „Wszelkie medyczne informacje w tej książce są oparte na osobistym doświadczeniu autorki i nie powinny być traktowane jako zamiennik profesjonalnej porady". Jednak mimo to niektórzy czytelnicy tak właśnie tę opowieść odczytali. Współpracę z Winnami nawiązało też stowarzyszenie PSPA wspierające osoby cierpiące na postępujące porażenie nadjądrowe (PSP) oraz właśnie CBD.

Niektórym pacjentom dotkniętym neurologicznymi przypadłościami i ich bliskim *Słone ścieżki* przyniosły nadzieję, u innych chorych wywoływały poczucie winy, że za mało się starają, że może gdyby byli silniejsi, odważniejsi i chodzili więcej, to by wyzdrowieli.

Po publikacji artykułu do Hadjimatheou odezwał się jeden z chorych na CBD, John Todd. Książkę podsunęła mu żona i starała się go skłonić, by więcej chodził, choć nawet wyjście do sklepu oddalonego o niecałe trzy kilometry było dla niego poważnym problemem. „Wierzyłem w każde słowo" – mówił o historii Winnów, gdy odwiedziła go dziennikarka. I dodał: „Teraz uważam to za obraźliwe, jeśli ktoś stara się mi powiedzieć, że ta nieodwracalna choroba, na którą cierpię, na którą nie ma lekarstwa, jest moją winą, bo nie dość chodziłem".

Hadjimatheou mówi, że inni chorzy, z którymi rozmawiała, podkreślali, że fałszywa nadzieja może odebrać im szansę na odpowiednie wykorzystanie czasu, jaki im pozostał. W komentarzach pod materiałami „The Observer" widać gniew osób, których bliscy zostali dotknięci CBD. „Ta historia jest kpiną ze wszystkich ludzi, którzy jak moja matka, doświadczyli spustoszeń spowodowanych przez tę wyniszczającą chorobę" – napisała córka kobiety, która zmarła po 10 latach choroby. Ostatnie trzy lata musiała być karmiona papkami, nie była też w stanie mówić ani w inny sposób się komunikować.

Niektórym pacjentom Słone ścieżki przyniosły nadzieję, u innych chorych wywoływały poczucie winy, że za mało się starają.

—

CHOROBA MOTHA to nie jedyna kwestia, która przyciągnęła uwagę dziennikarki. Hadjimatheou zbadała też okoliczności utraty domu – traumatycznego wydarzenia otwierającego książkę. W *Słonych ścieżkach* Raynor i jej mąż tracą dach nad głową przez niefortunną inwestycję w przedsięwzięcie przyjaciela Motha z dzieciństwa, na skutek czego zostają obarczeni odpowiedzialnością za jego długi. Po długiej sprawie sądowej – mimo że jak sądzą, prawo powinno stanąć po ich stronie – słyszą, że przegrali. Dowody, które miały świadczyć na ich korzyść, po prostu nie zostają wzięte pod uwagę. Jednoznacznie więc Winnowie przedstawieni są jako ofiary czyjejś nieuczciwości, ludzie zbyt ufni i naiwni.

Ten pozytywny obraz osób dobrych i wykorzystanych jest też podkreślany w *Dzikiej ciszy*, gdy Winnowie zastanawiają się, czy przyjąć szczodrą ofertę ich zamożnego fana i zamieszkać na jego farmie w Kornwalii, której on sam nie ma czasu prowadzić – w zamian za niski czynsz oraz niewielkie wynagrodzenie. Jak czytamy, byłby to dla nich „akt wiary", na który, jak czuli, nie mogą sobie pozwolić. „Wymagało [rozważenie propozycji – przyp. red.] zaufania, jakim już chyba nigdy nie będziemy umieli kogoś obdarzyć. Musielibyśmy rozstać się z przeszłością, zapomnieć, na jakie manowce wyprowadziło nas poprzednio zaufanie komuś; musielibyśmy uwierzyć, że

eprasa.pl fc0d95e1fd

tym razem będzie inaczej – pisze Raynor Winn w książce. – Nie potrafiliśmy tego zrobić; nie można było tak po prostu pozbyć się tamtego wspomnienia, rany okazały się zbyt głębokie, nie chciały się zabliźnić. Nie byliśmy w stanie zapomnieć". Bardzo często autorka wspomina o tym, jak trudno jest im komuś zaufać – choć ostatecznie przyjmują propozycję: na farmie spędzili cztery lata, to tam powstały kolejne książki.

Tymczasem dziennikarka dotarła do zgoła innego obrazu pisarki i innych informacji. To Winn zawiodła czyjeś zaufanie. Pracując przed laty jako księgowa w małej agencji nieruchomości, miała się rzekomo dopuścić defraudacji firmowych środków. Gdy jej pracodawca odkrył, że brakuje pieniędzy, i zawiadomił policję, małżeństwo, żeby zwrócić niebagatelną sumę 64 tysięcy funtów – i w ten sposób uniknąć ewentualnego procesu – pożyczyło pieniądze na wysoki procent i pod zastaw domu od krewnego Motha. Kiedy on z kolei sam wpadł w tarapaty, jego wierzyciele przejęli ten dług i zażądali spłaty. Ponieważ Raynor i jej mąż nie byli w stanie oddać pieniędzy, stracili dom.

To druga nieścisłość ustalona przez Hadjimatheou. Trzecią jest fakt, że nawet po utracie farmy Winnowie nie byli całkiem bezdomni i bez grosza przy duszy – bo, jak się okazało, mieli też ziemię oraz dom (co prawda w ruinie) we Francji.

—

GDY CHLOE HADJIMATHEOU opublikowała swój artykuł w lipcu 2025 roku, wybuchł skandal. Wydawca, czyli prestiżowy Penguin Random House, zapewnił, że przed publikacją wykazał się należytą starannością: ma z autorką umowę „gwarantującą rzetelność faktograficzną", a książka przeszła weryfikację prawną, co – jak podkreśla wydawca – „jest standardem w przypadku większości dzieł literatury faktu". Data premiery *On Winter Hill* – kolejnej książki Raynor Winn – została jednak przesunięta. Fundacja PSPA zerwała współpracę z małżonkami.

Kilka dni po ukazaniu się artykułu sama pisarka wydała oświadczenie: „*Słone ścieżki* opowiadają o tym, co przydarzyło się Mothowi i mnie po tym, jak straciliśmy dom i jako bezdomni znaleźliśmy się na cyplach południowo-zachodniej Anglii. Nie obejmuje każdego wydarzenia czy momentu w naszym życiu, ale jest raczej kapsułą czasu z okresu, gdy nasze życie zmieniło się, w miejsce całkowitej rozpaczy wprowadzając nadzieję" (przeł. P.B.). W kolejnych punktach odpowiedziała na zarzuty „The Observer".

Zdaniem autorki artykuł jest niesprawiedliwy i wprowadza w błąd, jeśli chodzi o stan zdrowia jej męża. Opublikowała zaświadczenia lekarskie, w których przebieg kliniczny choroby Motha jest opisywany jako nietypowy, a symptomy uznaje się za łagodne. Winn używa przy tym jednak – inaczej niż w książce – terminu: syndrom korowo-podstawny (Corticobasal Syndrome, CBS). Wyjaśnia, że o CBS mówi się w przypadku diagnozy klinicznej opisującej objawy obserwowane za życia chorego, a CBD to określenie choroby stwierdzonej po śmierci. Pisarka podkreśla też, że w swoich książkach nie próbowała udzielać porad medycznych: „Po prostu opisuję osobistą historię Motha i jego walkę z chorobą oraz to, co mu pomogło" – oświadczyła.

Chętnie wydawane są zwłaszcza te książki, które zawierają nie tylko opis dramatycznych wydarzeń i przeciwności losu, ale też happy end, oferując czytelnikom nadzieję i inspirację.

Natomiast jeśli chodzi o kwestie finansowe, w tym o zarzut kradzieży, zaznacza, że sprawa – którą określa jako „spór" – między nią a pracodawcą nie jest tą opisaną w książce i to nie ona skutkowała utratą domu. Przeprasza jednak za popełnione błędy, podkreślając, że znajdowała się wtedy pod presją. „Zostałam przesłuchana, nie postawiono mi zarzutów ani nie ustalono wobec mnie sankcji karnych. Zawarłam ugodę z Martinem Hemmingsem [dawnym pracodawcą – przyp. red.], ponieważ nie miałam dowodu potrzebnego, by potwierdzić to, co się stało. Warunki ugody zostały dobrowolnie zaakceptowane przez obie strony" – czytamy w oświadczeniu. Sugeruje ono, że Raynor po prostu nie była w stanie udowodnić swojej niewinności. Dom zaś mieli stracić w sposób opisany w książce – w wyniku zaufania przyjacielowi, który ich oszukał.

W oświadczeniu przedstawiono również zarys tej historii. Raynor i Moth potrzebowali pieniędzy, by spłacić jej pracodawcę, więc w 2008 roku poprosili przyjaciela o zwrot środków zainwestowanych w jego biznes. Przyjaciel pieniędzy nie miał, zaoferował im w zamian pożyczkę za pośrednictwem swojej firmy – pod zastaw domu Winnów i z wysokimi odsetkami. Miał sam ją później spłacić, podobnie jak odsetki, ale tego nie zrobił. „Wierzyliśmy, że dotrzyma słowa" – pisze Raynor na swojej stronie internetowej.

Jeśli chodzi o ziemię i nieruchomość we Francji, pisarka podkreśla, że w ruinach budynku nie można mieszkać, a sama działka, gdy próbowali ją sprzedać, była według agenta właściwie bezwartościowa. Zapewnia też, że nie chowali się za swoimi przybranymi imionami. Winn ma być jej nazwiskiem panieńskim, prawdziwe imię Sally nigdy się jej nie podobało, a Moth to w zasadzie Tim – po prostu skrót od Timothy'ego, prawdziwego imienia męża.

—

WYJAŚNIENIA WINN być może usatysfakcjonowały część czytelników. Nie były jednak wystarczające dla „Observera", który szczegółowo ustosunkował się do kolejnych punktów oświadczenia pisarki. W kolejnej publikacji z 14 grudnia Hadjimatheou cytuje otrzymaną od rodziny Winn jej rzekomą korespondencję, z której wynika, że ta miała okraść także swoją matkę oraz rodziców Motha. Dziennikarka widziała też maile mające świadczyć o tym,

eprasa.pl fc0d95e1fd

że para mieszkała w domu należącym do siostrzenicy Winn przez znaczną część czasu, w którym rzekomo odbywała swoją podróż wzdłuż brytyjskiego wybrzeża.

Głos zabrały też postacie przedstawione w książce. Na przykład w *Słonych ścieżkach* opisane jest małe bistro w nadmorskim miasteczku i jego wyjątkowo nieprzyjemny, wulgarny właściciel. Nazwa knajpki nie została podana, ale w tej miejscowości znajduje się tylko jeden taki lokal. Jego właścicielka, Joanna Cocking, była w szoku, gdy dotarły do niej wieści, w jaki sposób została ukazana. Zastanawia się, ilu klientów przez to straciła. W książce jest wiele innych, drobniejszych nieścisłości – nie zgadzają się wystrój knajpki oraz fakt, że ani właścicielem nie był nigdy mężczyzna, ani żaden kelner nie rzucił tam pracy (w książce obrażany przez właściciela młody chłopak daje Raynor i Mothowi za darmo kanapki, a potem odchodzi). Joanna nie jest jedyną osobą, która odkryła, że została krzywdząco lub nietrafnie przedstawiona w książce. Relacje takich ludzi opublikowały „The Observer" i „The Times".

Sprawa będzie się zatem pewnie nadal przez jakiś czas toczyć. Jednak już teraz wzbudziła szerszą dyskusję o odpowiedzialności zarówno autorów, jak i wydawców – być może dlatego, że na jej przykładzie, jak w soczewce, widać bolączki rynku wydawniczego.

—

SKANDAL ZE *Słonymi ścieżkami* nie jest pierwszy, a też zapewne nie ostatni, jeśli chodzi o mijanie się pisarzy i pisarek z prawdą. Przypomniał za to o przypadku innej bestsellerowej autobiograficznej książki, który wstrząsnął rynkiem i czytelnikami – *Milion małych kawałków*, wydanej w 2003 roku (w Polsce w roku 2006). Jej autor, James Frey, opisał swoje uzależnienie od alkoholu i narkotyków oraz proces wychodzenia z nałogów – jak się okazało po latach, znacznie te kwestie koloryzując. Na przykład w areszcie spędził zaledwie kilka godzin, a nie – jak pisał – trzy miesiące. I trafił do niego nie za potrącenie policjanta, napaść na funkcjonariusza i posiadanie kokainy, ale po prostu za jazdę pod wpływem alkoholu.

Kiedy wyszło to na jaw, wydawca zaoferował czytelnikom zwrot pieniędzy, a scenariusz planowanego filmu trafił na jakiś czas na półkę. Nie złamało to jednak kariery Freya. Powrócił z kolejną książką. Nie uważał też, że zrobił coś nagannego. Kiedy Picasso maluje swój autoportret, to czy jest on wiarygodny, jeśli nie jest tak realistyczny jak fotografia? – miał pytać. Jego książka sprzedała się w ośmiu milionach egzemplarzy.

Są też bardziej spektakularne przykłady. Amerykańska pisarka Laura Albert – jako J.T. LeRoy, transpłciowy nastolatek po przejściach – opublikowała rzekomo autobiograficzne opowieści. Książki opisują trudne dzieciństwo i dorastanie bohatera, doświadczenia przemocy, prostytucji i uzależnienia. Autorka posunęła się jednak dalej niż tylko do użycia pseudonimu. „Stworzyła" żywą postać: rzekomego autora książek. Podczas medialnych wydarzeń czy wywiadów J.T. LeRoya odgrywała Savannah Knoop, określająca się jako neutralna płciowo osoba przebrana za nastolatka w ciemnych okularach i blond peruce (Albert była wtedy w związku z bratem Savannah). W rzeczywistości człowiek o imieniu J.T. LeRoy i opisanym w książkach życiorysie nigdy nie istniał. BBC uznało to za „największy literacki przekręt w Stanach Zjednoczonych".

Zarówno *Milion małych kawałków*, jak i *Słone ścieżki* można zaliczyć do szczególnej kategorii literatury *non-fiction*, czasem nazywanej *misery lit*, czyli „literatura niedoli", skupiającej się na traumatycznych, osobistych doświadczeniach autora i – jak argumentują jej krytycy – wzbudzającej niskie, niemal wojerystyczne zainteresowanie. Chętnie wydawane są zwłaszcza te książki, które zawierają nie tylko opis dramatycznych wydarzeń i przeciwności losu, ale też happy end, oferując czytelnikom nadzieję i inspirację. Można w tym kontekście wspomnieć o przetłumaczonych również na język polski *Szklanym zamku* Jeannette Walls czy *Elegii dla bidoków* J.D. Vance'a, obecnego wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych.

Słone ścieżki wpisują się w ten trend, a sukces tej książki, jak zwraca uwagę w „Timesie" krytyczka literacka Johanna Thomas-Corr, wpłynął na sytuację innych autorów wspomnień. „Zastanawiam się, ile autentycznych, skomplikowanych, prawdziwych opowieści o nędzy i niedoli zostało odrzuconych, aby Walkerowie mogli opowiedzieć swoją bajkę. Do tego dochodzą konsekwencje dla innych pisarzy tego gatunku, którzy niezmiennie narzekają na presję, by wcisnąć swoje bolesne doświadczenia życiowe w zgrabne pakiety zbawienia – komentowała. – Istnieje pewna formuła na to napędzane rynkowo pisanie o własnym życiu i o dojściu do z góry przesądzonego szczęśliwego finału i odkupienia" (przeł. P.B.).

Jej zdaniem książka Raynor Winn stała się szablonem dla kolejnych tego typu opowieści powstających jak na taśmie produkcyjnej. Krytyczka przywołuje doświadczenie jednego z autorów (lub autorki – nie podaje nazwiska), któremu początkowo wydawcy proponowali, żeby okładka jego/jej książki wyglądała jak *Słone ścieżki*. Mieli mówić: „To może wskoczyć w kategorię *Słonych ścieżek* w tym roku!". Thomas-Corr podaje tu między innymi przykład wydanej w 2023 roku *Finding Hildasay* (*Odnajdując Hildasay*) Christiana Lewisa. To historia byłego spadochroniarza cierpiącego na depresję, który rusza w drogę, by obejść całe brytyjskie wybrzeże, idzie z adoptowanym psem, odbudowuje swoje życie i zbiera fundusze na pomoc weteranom. Kolejna książka o nadziei i pokonywaniu przeciwności losu – i kolejny bestseller.

eprasa.pl fc0d95e1fd

Może jednak, przy całej krytycznej ocenie trendu, nie należy negować wagi tego rodzaju osobistych przeżyć oraz siły charakteru bohaterów i autorów – wytrwałość Christiana Lewisa może budzić podziw, a ludzie chcą takie historie poznawać, szukając nadziei i optymizmu. Wydawcy więc je publikują, choć z pewnością nie wszystkie bronią się literacko – bo też nie każdy dzielny wędrowiec jest dobrym pisarzem. Wydawane masowo i wedle jednego szablonu książki stają się więc bardziej produktem niż dziełem literackim – ze szkodą dla autorów i dla czytelników.

Thomas-Corr przywołuje opinię irlandzkiego historyka Roya Fostera, który miał o tego rodzaju wspomnieniowych książkach powiedzieć: „To jak chodzenie po Ikei. W Ikei mówią ci, jak robić zakupy. To ścieżka, którą musisz podążać i z której nie możesz zboczyć". Krytyczka wskazuje też na inne problemy rynku wydawniczego – brakuje i *fact-checkingu*, i doświadczonych redaktorów, a wśród już pracujących niewiele jest osób spoza typowej klasy średniej, zatem brak pewnej różnorodności doświadczeń, które byłyby pomocne w ocenie propozycji wydawniczych.

—

DARRAN ANDERSON, mieszkający w Londynie irlandzki pisarz, autor książki *Inventory* (*Spis*) o swoim dorastaniu w Derry w czasie Kłopotów – tak określany jest krwawy konflikt w Irlandii Północnej zakończony porozumieniem wielkopiątkowym w 1998 roku – formułuje diagnozę sytuacji jeszcze ostrzej. Jego zdaniem Frey i Winn wywołali oburzenie w środowisku literackim nie tylko dlatego, że mogli się posłużyć półprawdami. Jak pisał w portalu UnHerd, chodzi raczej o to, że „pokazali oni, czym jest gatunek «literatury niedoli»: okazją do zarobku i ćwiczeniem w pornografii traumy. Oburzenie wynika po części z faktu, że wydawcy zapłacili za czułą delikatność cierpienia, a zostali oszukani. Walka gladiatorów, której się domagali, okazała się jedynie ustawioną walką wrestlerów. Powiedzenie: «nie wiń graczy, obwiniaj grę» jest aktualne" – podkreślał (przeł. P.B.).

„Czy to jeden z grzechów wydawniczego biznesu?" – pytam Andersona drogą mailową.

„Grzechy te są liczne i być może nieuniknione. Błądzić jest rzeczą ludzką. Ale powtarzanie tych błędów, dlatego że na krótką metę są opłacalne, jest niewybaczalne" – odpowiada po kilku dniach. Właśnie wędruje po walijskich Black Mountains i dlatego nie możemy porozmawiać. „Odnoszę wrażenie, że Raynor Winn stała się wygodnym kozłem ofiarnym, który podtrzyma tę farsę jeszcze jakiś czas. Wszelkie jej uchybienia etyczne czy błędy bledną w porównaniu z tym, co robi przemysł wydawniczy, zachęcając pisarzy, by sprzedawali traumę swoją i innych, nie dbając ani o nich, ani o potencjalne konsekwencje. Mimo wzniosłych gadek o empatii i pozowaniu na postępowość, ta branża może być dość brutalna i moralnie oportunistyczna, a nieszczęście jest w niej walutą, ludzi zaś można wykorzystać lub się ich pozbyć". Zdaniem Andersona wydawcy płacą autorom za ich ból i za możliwość podglądactwa, więc niektórzy ulegają pokusie, by sfabrykować to, czego potrzeba, by nakarmić system.

Pierwszą książką Andersona były *Imaginary Cities* (*Wyobrażone miasta*) – niezwykły esej, swego rodzaju przewodnik po istocie miast, tych prawdziwych i tych nieistniejących. Wydana w niezależnym wydawnictwie przyciągnęła uwagę większych wydawców. Poproszono go o przedstawienie propozycji kolejnych projektów książkowych. „Odrzucono mi pół tuzina dość ambitnych, ale ekscytujących pomysłów i stało się jasne, że mogę pisać tylko o dorastaniu w biedzie w czasie Kłopotów w Irlandii Północnej. To problem, który dotyka także moich przyjaciół – opowiada. – Jeśli jesteś gejem, czarnoskórym lub należysz do klasy robotniczej, musisz napisać książkę o «problemach», krótki lament na skrzypce o swoich zmaganiach dla rozrywki innych. To głęboko cyniczne, ponieważ prowadzi do ograniczeń, podczas gdy pisarze bliżsi establishmentowi mogą pisać, co im się podoba".

Proces takiego stereotypowego zaszufladkowania pokazuje powieść Percivala Everetta *Erasure* (*Wykreślenie*) – na jej podstawie w 2023 roku powstał film *Amerykańska fikcja*. Jej bohaterem jest czarnoskóry autor Thelonious Ellison piszący ambitne powieści filozoficzne, dla których nie może znaleźć wydawcy. Odnosi sukces dopiero wtedy, gdy pisze książkę zatytułowaną *Fuck* pod przybraną tożsamością czarnoskórego przestępcy – a zatem wpisuje się w oczekiwany stereotyp. „Świat wymaga, abyś przedstawił się dwa razy: najpierw takim, jakim jesteś, a potem takim, jakim masz być" – pisał Everett.

W literaturze faktu szczególnie wyraźnie widać, jak tożsamość lub trauma pisarza staje się jego „szufladką". W przypadku Andersona były nią Kłopoty. Napisał w końcu o życiu w Derry, o ojcu i jego pobycie w więzieniu, o dziadku przemytniku, o IRA, o śmierci i przemocy, o najmroczniejszych chwilach. Wybrał jednak formę, dzięki której wyrwał się z narzuconego przez branżę ograniczenia – swoją opowieść prowadzi przez spis przedmiotów. Jest to książka niezwykła, intensywna i gęsta, zbudowana na odłamkach pamięci wywołanych przez rzeczy. Jej fragmentaryczna struktura w pewien sposób odzwierciedla to, jak działa nasza pamięć, jak uruchamiają ją drobiazgi, i to, że pamięć jest selektywna.

„Wiedziałem, że nie ma możliwości opowiedzenia tej historii w tradycyjnej strukturze, bo ani tak nie żyję, ani nie widzę swego życia w ten sposób. Choć chciałbym – wyjaśnia Anderson. I dodaje: – W moim kraju

eprasa.pl fc0d95e1fd

istnieje bogata tradycja ustnego opowiadania historii, ale gdy pytałem kogokolwiek bezpośrednio o Kłopoty czy o ubóstwo, to albo zamykał się w sobie, albo udzielał wymijającej odpowiedzi. Kiedy jednak prosiłem ludzi, aby opowiedzieli mi o jakimś przedmiocie, otwierali się".

Inventory może mieć nietypową formę, ale pozostaje autobiograficzną literaturą faktu. Wspomnienia mogą się zmieniać, różnić; przedmioty są stałe i obiektywne.

Anderson podkreśla, że gdy prowadzi warsztaty dla początkujących pisarzy, zawsze doradza im, by fabularyzowali swoje historie. „Niezależnie od tego, czego się spodziewasz, nie będziesz gotowy na to, co może wyniknąć z pisania wspomnień" – zauważa. Zwłaszcza że autorzy rzadko mogą liczyć na wsparcie w przypadku trudnych sytuacji po wydaniu książki. Wprawdzie Andersonowi udało się, jak przyznaje, współpracować z kilkoma wrażliwymi redaktorami, ale i tak przyszło mu zapłacić wysoką cenę za *Inventory*.

„Książka przyniosła kilka pozytywnych rzeczy – moja ciotka skontaktowała się ze mną, mówiąc, że poczuła, że krótkie życie jej syna w końcu nabrało znaczenia, po tym, jak przeczytała upamiętniający go rozdział. Choćby to sprawiło, że wszystko to wydawało się warte zachodu. Jednak nie da się uniknąć przykrości. Z powodu tej książki bardziej lub mniej oddaliliśmy się od siebie z ojcem – zauważa Anderson. – Był cichym człowiekiem, więc trudno było to dostrzec, ale czułem to i przez długi czas prawie nie rozmawialiśmy, a potem niestety odszedł. To ciężar, który muszę dźwigać. Po jego śmierci znalazłem w jego pokoju nieotwartą paczkę z moją książką, którą kupił, ale nigdy jej nie przeczytał, więc nigdy się nie dowie, że był bohaterem. Tak to już jest".

—

WIELE BY ZMIENIŁO, gdyby wydawcy mieli *fact-checkerów*. Ostatnio ledwo mają redaktorów, często niezbyt doświadczonych, poza tym ci, którzy jeszcze zostali w branży, są przepracowani. No i nie są przeszkoleni do *fact-checkingu* – stwierdza w rozmowie ze mną Helene Stapinski, amerykańska dziennikarka, autorka kilku książek, w tym o swojej pochodzącej z Europy rodzinie.

Pytam ją o granice, których w pisaniu przekraczać nie wolno. – To dość proste: pisz, co chcesz, tylko nie nazywaj tego *non-fiction*. Tyle że myślę, że łatwiej przekonać wydawcę do wydania literatury faktu. Fabułę ciężko się wydaje, trzeba przedstawić wydawcy całą książkę, a w *non-fiction* wystarczy kilka rozdziałów i na podstawie tego można podpisać kontrakt. To prostsze i ludzie na to idą – odpowiada.

Tak na marginesie, wspomniany wcześniej James Frey najpierw – a w każdym razie tak twierdzi – próbował wydać swoją książkę jako powieść, zapewne jednak wydawcy uznali, że jako autobiografia pisarza po odwyku będzie bardziej atrakcyjna.

Stapinski zaczynała swoją karierę dziennikarską w „The Jersey Journal", lokalnej gazecie w rodzinnym mieście. To tam poznała podstawy zawodu.

– Nauczono mnie, że nie wolno mi wymyślać rzeczy. Nie chodzi o obawę, że mnie ktoś przyłapie. To moralny obowiązek – mówi. – I to zależy od ciebie, sama musisz się pilnować.

Koniec października i pierwsze dni listopada 2025 roku Helene spędziła w Polsce, prowadząc warsztaty pisania dla studentów, a także gromadząc materiały do kolejnej książki, o polskiej gałęzi rodziny.

– Moja pierwsza książka *Five-Finger Discount: A Crooked Family History* (*Wziąć na wynos. Historia złodziejskiej rodziny*) opowiadała o mojej rodzinie, w tym o krewnych, którzy byli przestępcami, więc największe obawy wydawcy budziło to, że ktoś jeszcze żyje i może mnie pozwać. Czy fakty się zgadzają, już ich mniej martwiło. Taka jest korporacyjna natura tej branży – wyjaśnia mi Helene. – A zatem to ty musisz podjąć decyzję, co pisać, jak pisać.

– Dla mnie nie było to jakoś skomplikowane aż do trzeciej książki opisującej moją rodzinę we Włoszech sprzed 100 lat i morderstwo w niej. Sugestywne opisanie sceny byłoby dla mnie proste, gdybym pisała o czasach mi współczesnych, ale jeśli chodzi o przeszłość, to środki i materiał są bardziej ograniczone. Chcesz coś opisać, ale nie chcesz zmyślać – dodaje dziennikarka.

Zbieranie materiałów do książki *Murder in Matera* (*Morderstwo w Materze*) zabrało jej 10 lat. Sprawdzała na przykład, jak wyglądały w tamtych czasach wesela – na tej podstawie mogła opisać wydarzenia w swojej rodzinie. – To są rzeczy, których nie zmyśliłam, choć przecież mnie wtedy tam nie było. Podobnie jest z opisem miejsc, spośród których w południowych Włoszech wiele się nie zmieniło – opowiada. – Unikałam jednak w książce cytowania, bo uważam, że jeśli nie mam bezpośredniej wypowiedzi, to nie mogę tego robić. Nie byłabym w stanie czegoś takiego zrobić... Dla reportera to zasada numer jeden: nie zmyślaj cytatów!

Co myśli o sprawie *Słonych ścieżek* i o tym, że autorka najwyraźniej przemilczała niewygodne fakty? – Pomijanie ważnych rzeczy jest takim samym kłamstwem, co zmyślanie – odpowiada zdecydowanie. Uważa, że w książkach opisujących inspirujące historie trzeba być bardzo uczciwym. – Inaczej czytelnicy poczują się zdradzeni. Jakbyśmy nie mieli dość kłamstwa wokół siebie... To nie jest dobra droga – podsumowuje.

—

ROS HEMMINGS jest wdową i to właśnie jej zmarły już mąż Martin był niegdyś pracodawcą Sally Walker, czyli Raynor Winn. To jego pieniądze miała rzekomo zdefraudować

Pisz, co chcesz, tylko nie nazywaj tego non-fiction. Tyle że łatwiej przekonać wydawcę do wydania literatury faktu.

eprasa.pl fc0d95e1fd

przed laty pisarka, gdy zajmowała się rachunkami jego firmy. Pieniądze – po tym, jak sprawa została zgłoszona na policję – zostały zwrócone, ale nie wszystkie szkody udało się naprawić. W rozmowie z Chloe Hadjimatheou Ros powiedziała, że tamto wydarzenie „absolutnie zniszczyło jej męża, bo ufał każdemu, kto dla niego pracował, a Sally zawiodła to zaufanie".

A potem Sally-Raynor napisała książkę, pomijając ten fragment swojej, i nie tylko swojej, przeszłości. „Zarobiła dużo pieniędzy na niszczeniu życia mojej rodziny. Mam nadzieję, że przynosi jej to niekończącą się radość – gorzko mówi Ros. I dodaje: – Potrzebujemy prawdy. Inni ludzie też mogli zostać przez to wszystko zranieni".

To jest być może najważniejsza z granic – życie innych ludzi. „Pisząc swoją książkę, Raynor Winn wymazała prawdę Ros i jej przeżycia. Myślę, że to ma znaczenie: gdy zaczynasz zmieniać prawdę innych osób" – wyjaśniała Hadjimatheou podczas spotkania z czytelnikami.

—

NIE KUPIŁAM *The Salt Path* na lotnisku. Nabyłam ją znacznie wcześniej – za niecałe trzy funty w charytatywnym sklepie z używanymi rzeczami w Pangbourne, małym miasteczku nad Tamizą w hrabstwie Berkshire. Nie wiem dokładnie, kiedy to było, ale pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobiły na mnie jej pierwsze strony. Nie opis utraty domu i środków do życia czy bezradności związanej z chorobą męża – ale śmierci owcy o imieniu Smotyn. Starego, kilkunastoletniego zwierzęcia, dla którego tracąca farmę autorka nie mogłaby już znaleźć nowych opiekunów i które – jakby przeczuwając, że w zmieniającej się sytuacji nie ma już dla niego miejsca – po prostu umiera samo na pastwisku. Jak zostawić zwierzę, które żyło z nami prawie 20 lat? Jak rozstać się z ostatnimi przebłyskami dawnego życia? Z tym, co utracone na zawsze? Czytałam to ze ściśniętym sercem. A teraz nie wiem – nie wiem, czy owca rzeczywiście umarła samotnie na swoim pastwisku, ani nawet czy w ogóle istniała. Uwiera mnie to pytanie.

Wracam do lektury. I wciąż dobrze się to czyta. Książka w wielu momentach jest przejmująca, porusza mnie, niektóre zdania zostają w pamięci. Są prawdziwe. A może tylko wydają się prawdziwe – ale i tak odnajduję w nich własne myśli i uczucia. Pewnie nie tylko ja. Teraz przy powtórnej lekturze jakoś mnie to złości, bo podważa prawdziwość moich własnych emocji. Co jest prawdą? Co wyobrażeniem?

Winn mogła opublikować tę książkę po prostu jako powieść – zaznaczyć, że jest inspirowana jej doświadczeniami; nie musiała deklarować, że to stuprocentowa prawda. Mogła też napisać całą prawdę – o tym, że pierwotną przyczyną ich kłopotów było oskarżenie jej o zdefraudowanie pieniędzy i dlatego znaleźli się w takiej sytuacji. Czy jednak taka uczciwość byłaby bardziej przekonująca? Czy wyznanie bohaterki niedoskonałej, ze skazą, zdobyłoby większe uznanie? I przede wszystkim, czy ktoś by to wydał?

Pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobił na mnie opis śmierci owcy o imieniu Smotyn. A teraz nie wiem, czy owca umarła samotnie na swoim pastwisku, ani nawet czy w ogóle istniała.

„Jeśli chodzi o *non-fiction*, masz prawo opowiedzieć swoją historię. A inni mają prawo poczuć się nią urażeni. To niemal nieuniknione. Jeśli podążasz za prawdą, zdenerwujesz ludzi, naruszysz ich złudzenia i mechanizmy obronne, bo prawda niemal zawsze jest dla kogoś niewygodna – uważa Darran Anderson. – Radziłbym zmierzyć się z tym w samym tekście. Gdyby *Słone ścieżki* zgłębiły kwestie autentyczności i uczciwości oraz zbadały przepaść między tym, kim się wydajemy, a tym, kim naprawdę jesteśmy, byłaby to o wiele bardziej poruszająca książka i przetrwałaby tę burzę. Problem pojawia się, gdy zaczynasz wierzyć we własne kłamstwo. Jednak ze względu na subiektywną naturę doświadczenia i pamięci literatura faktu będzie zawierać fikcję, a fikcja literacka będzie zawierać literaturę faktu. Pomysł nabożnego pilnowania tych granic jest dla mnie absurdalny".

Podsumowując, Irlandczyk stwierdza: „Raynor Winn musi spojrzeć w oczy tym, których mogła skrzywdzić lub wykorzystać w życiu prywatnym, ale w literaturze po prostu dała branży i czytelnikom to, czego chcieli – formułę «uzdrawiającej mocy natury», odkupieńczą «literaturę niedoli», lekturę pocieszenia. Chciałbym wierzyć, że możemy mieć większe ambicje co do literatury, ale jeśli to jest to, czego obecnie domaga się i co oferuje branża, to cóż, w miłości i na wojnie wszystkie chwyty dozwolone".

Słone ścieżki wywarły realny wpływ na życie wielu swoich czytelników. Dla niektórych była to wzruszająca lektura, innym dała nadzieję, że odwaga i wytrwałość pomogą przetrwać trudny czas w ich życiu. Dziennikarka Katie Glass – przyznając, że teraz jest załamana rewelacjami „The Observer" – wspomina w „Timesie", że książkę czytała, kiedy jej własne życie wydawało się rozpadać. Opowieść była dla niej „nie tylko medytacją nad pięknem natury i korzyściami płynącymi z dobrego spaceru, ale triumfem odporności, który przemówił do mnie (...) w moim najgorszym momencie. (...) Zainspirowała mnie do podniesienia się i dalszego działania. Przypomniała mi, że możemy kształtować własne przeznaczenie" (przeł. P.B.) – pisze. Jeszcze innych opowieść o marszu Raynor i Motha dosłownie pchnęła na nadmorskie ścieżki, na ich własną wędrówkę w poszukiwaniu refleksji nad własnym życiem lub przygody. I akurat tego nie zmienią ostatnie kontrowersje. *Słone ścieżki* istnieją naprawdę.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków **Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego** pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

eprasa.pl fc0d95e1fd

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Wejdź z „Pismem” w nowy rok.
Zamów prenumeratę z darmową dostawą.

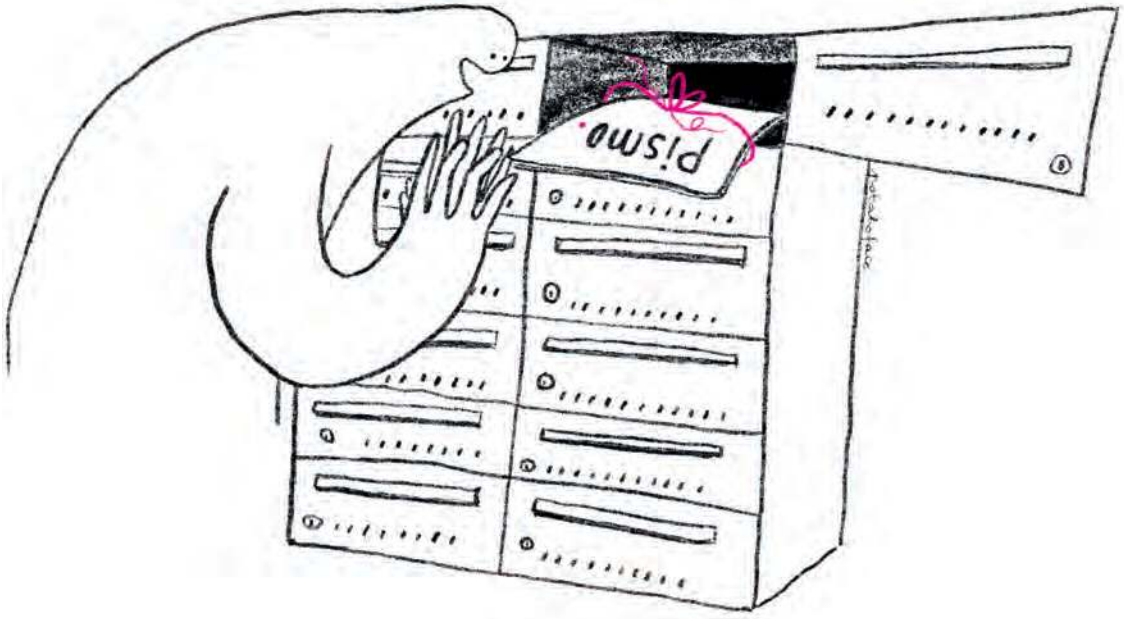

Zeskanuj kod QR lub wejdź na magazynpismo.pl/prenumerata i zamów roczną prenumeratę „Pisma”. Dostęp online otrzymasz w prezencie.

eprasa.pl fc0d95e1fd

O przejmowaniu kontroli i pułapce niechęci do pesymizmu

tekst MAGDALENA BIGAJ

MAGDALENA BIGAJ
(ur. 1984), twórczyni i prezeska Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa. Autorka książki *Wychowanie przy ekranie*. Medioznawczyni, badaczka i działaczka społeczna. Pomysłodawczyni i współautorka Ogólnopolskiego Badania Higieny Cyfrowej. Laureatka Nagrody Korczaka za działania na rzecz praw dziecka w przestrzeni cyfrowej.

—

Wyobraźcie sobie, że nagle tracicie swoje konta w usługach Microsoftu, Google, Apple i PayPala. Przestają działać wasze karty Visa i Mastercard. To właśnie przydarzyło się francuskiemu sędziemu Międzynarodowego Trybunału Karnego (MTK) Nicolasowi Guillou. Gdy administracja Donalda Trumpa postanowiła nałożyć na niego sankcje za wydanie nakazu aresztowania Benjamina Netanjahu, głównym narzędziem wymierzenia kary stały się usługi bankowe i cyfrowe. Witajcie w Europie, cyfrowej kolonii.

O ile można się oburzać na fakt, że ktokolwiek w ogóle postanowił nakładać sankcje na sędziego i to jeszcze sędziego MTK, o tyle nikogo – kto obserwuje rzeczywistość geopolityczną – nie powinno dziwić, że to właśnie mechanizmy gospodarki cyfrowej okazały się najskuteczniejszym narzędziem presji. Bo choć sędzia Guillou jest Francuzem, a swoją pracę wykonuje w Holandii, to europejskie firmy okazały się niemal całkowicie zależne od amerykańskich korporacji, co wykluczyło go ekonomicznie i społecznie w Europie i większości miejsc na świecie.

Tak działa mechanizm kolonializmu. Na początku oferuje pomoc i postęp, by finalnie wprowadzić wyzysk i bezwzględną zależność. W czasach dominacji gospodarki cyfrowej państwa podbija się już nie przez zajmowanie ziemi, lecz przez uzależnianie ich od swoich technologii. Na zależności te wielokrotnie zwracała uwagę w swoich tekstach i podcastach dziennikarka technologiczna i filozofka Gosia Fraser. Opisywała między innymi naciski amerykańskiej administracji na Komisję Europejską, by dokonać modyfikacji w kluczowych dla ochrony użytkowników internetu aktach europejskich dotyczących usług cyfrowych (*Digital Services Act*), rynków cyfrowych (*Digital Markets Act*) oraz regulacji kwestii sztucznej inteligencji (*AI Act*).

W dużym skrócie wszystkie te dokumenty w swoich założeniach mają chronić prawa Europejczyków w przestrzeni cyfrowej. Oznacza to jednak ograniczanie swobody platform, w tym także wielu ich bezprawnych działań, o których w mijającym roku wielokrotnie donosiły media. Latem 2025 roku badacze z międzynarodowej organizacji pozarządowej Global Witness dowiedli, że algorytm TikToka podsuwał dzieciom materiały pornograficzne. W listopadzie magazyn „Time" opublikował informacje z częściowo odtajnionych materiałów w ramach postępowania przeciwko Meta Platforms, z których wynikało, że firma tolerowała istnienie w swoich produktach kont związanych z handlem ludźmi i krzywdzeniem seksualnym dzieci. Potwierdziły to między innymi zeznania byłych pracowników Mety. Jak natomiast wynika ze śledztwa Reutersa, pod koniec ubiegłego roku Meta prognozowała, że blisko 10 procent jej globalnych rocznych przychodów z reklam będzie pochodziło z ogłoszeń typu scam. I z materiałów zgromadzonych przez Reutersa, w tym z wewnętrznych raportów Mety, wynika, że firma doskonale o tym wie. A nawet optymalizuje zyski, żądając wyższych stawek od nadawców reklam „większego ryzyka" (*higher risk*). Na skutek tego użytkownikom Facebooka i Instagrama wyświetla się dziennie blisko 15 miliardów ogłoszeń oszustów.

W obliczu tych i innych doniesień związanych z krzywdzeniem dzieci na VLOP-ach (wielkich platformach internetowych, ang. *Very Large Online Platform*) wydawać by się mogło, że one z własnej woli podejmą działania samoregulacyjne. Nic bardziej mylnego. Wszystko wskazuje na to,

Fundację Pismo, wydawcę magazynu „Pismo", wspiera **Orange**.

eprasa.pl fc0d95e1fd

A gdyby tak w centrum rozwoju technologii postawić człowieka? Magdalena Bigaj, medioznawczyni i twórczyni Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa, pyta o społeczne koszty postępu technologicznego. Ile za niego płaci *homo sapiens digitalis*? I jak higiena cyfrowa może nam pomóc zachować zdrowie fizyczne, psychiczne i społeczne? Więcej na **magazynpismo.pl/listy-z-cyfrowego-roju**

że postanowiły uruchomić działania w innym kierunku. Jak wskazuje publikowany przez instytucje europejskie *Rejestr przejrzystości* (*Transparency register*) firmy technologiczne wydają obecnie na lobbing w Unii Europejskiej aż 151 milionów euro, co stanowi ogromny wzrost w stosunku do poprzednich lat (55,6 procent od 2021 roku). W 2024 roku liczba pełnoetatowych lobbystów technologicznych działających wokół instytucji unijnych wynosiła 890 – w tym samym czasie Parlament Europejski liczył 720 europosłów. Cyfrowi kolonialiści wysłali więc całkiem sporo wojska do Europy. Ilu żołnierzy mamy w Polsce?

Chociaż od 2005 roku lobbing w Polsce jest legalny, to prowadzony przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji rejestr zawodowych lobbystów i firm lobbingowych pozostawia wiele do życzenia i zdecydowanie odbiega od standardu unijnego *Rejestru przejrzystości*. Nie dowiemy się z niego, które osoby i podmioty działają na rzecz firm technologicznych ani o jakiej skali inwestycji finansowej w lobbing tej branży możemy mówić w Polsce. Nie znajdziemy tam także lobbystów technologicznych. W dodatku, podobnie jak na forum europejskim także w Polsce demaskacyjna praca dziennikarzy oraz kolejne opracowania tematu – jak choćby *Nastolatki. Raport z ogólnopolskiego badania uczniów i rodziców* NASK-u – wywołały efekt odwrotny. VLOP-y zainwestowały w *goodwashing* oraz reklamę. Jesienią Google opublikował – przygotowany we współpracy z brytyjską agencją doradczą Livity – *The Future Report. Nastolatki w internecie*, z troską pochylając się nad samotnością nieletnich w sieci, choć od lat YouTube (ta sama grupa kapitałowa, co Google) karmi dzieci patostreamingiem. Nazwa raportu przypominała wydany zaledwie kilka tygodni wcześniej wspomniany raport NASK-u. Różnica była taka, że przedstawicielka Google zapewniała w mediach, iż młodzież daje radę, a nawet radzi sobie lepiej niż rodzice, raport NASK-u zaś donosił, że co siódmy nastolatek korzysta codziennie z pornografii. Ale to wyniki „badania" Google podało wiele dużych mediów, na premierze raportu VLOP-u obecni byli politycy rządzącej koalicji, a o wydarzeniu przeczytamy nawet na stronie Rzeczniczki Praw Dziecka. Przedstawicielka Google o raporcie opowiadała także w debacie podczas (sic!) Igrzysk Wolności, których jednym ze sponsorów była jej firma. Jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że praktyki rynkowe Google wobec wydawców – opisywane w *Bóg techach* – doprowadziły do kryzysu prasy lokalnej i problemów wielu dużych wydawców, obecność takiego podmiotu na Igrzyskach *nomen omen* Wolności jest ponurym żartem.

W kraju nad Wisłą wciąż wielu buduje swój wizerunek za pomocą pieczątki amerykańskiej korporacji. Chociaż jak się za chwilę przekonacie, chińska też jest spoko.

Dlaczego? Bo krótko po Google swój raport zaprezentował TikTok. I to wspólnie z Fundacją SEXEDPL. Wynikało z niego, że większość nastolatków używa tej platformy w celach edukacyjnych. Mniej więcej w tym samym czasie podczas konferencji *Open Eyes Economy Summit* przedstawicielka TikToka opowiadała, że łączy on obywateli z kulturą.

Kiedy w mediach hulała kampania wizerunkowa TikToka, zespół polskich naukowców pod egidą Fundacji Dbam o Mój Zasięg opublikował w listopadzie tego roku raport *Dobre i złe wiadomości. Życie online i offline a zdrowie psychiczne polskich nastolatków*. Jego autorzy – doktor Maciej Dębski, doktorka Halszka Witkowska, doktorka Judyta Borchet i profesor Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu Jacek Pyżalski – alarmują: nastolatkowie w mediach społecznościowych są zalewani treściami suicydalnymi. I to do tego stopnia, że 45 procent nieletnich przyznających się do myśli samobójczych w ciągu roku poprzedzającego badanie potwierdziło, że serwowano im takie treści, choć wcale ich nie szukali.

VLOP-y w Polsce bardzo sprawnie rozgrywają media i liderów opinii. Dlatego tak trudno prowadzić debatę publiczną, która mogłaby wypchnąć kolonialistów na bezpieczne pozycje. A wbrew pozorom przydałoby się to także gospodarce, bo właśnie z VLOP-ami mamy przecież największy problem. O unikaniu dialogu na temat odpowiedzialności za rozwój technologii, pohamowaniu chciwości i braku etyki piszą w książce *Nadchodząca fala. Sztuczna inteligencja, władza i najważniejszy dylemat ludzkości w XXI wieku* Mustafa Suleyman i Michael Bhaskar, nazywając tę postawę „pułapką niechęci do pesymizmu". Twierdzą, że „to błąd poznawczy pojawiający się wtedy, gdy ogarnia nas lęk przed konfrontacją z potencjalnie nieprzyjemnymi faktami, wywołujący w nas skłonność do odwracania od nich wzroku".

Wszyscy kolonialiści od zarania dziejów mieli jednak jedną wspólną cechę: nie doceniali siły, jaką jest ludzka godność. W cyfrowych koloniach także jest na to szansa. Rodzice, nauczyciele i młode pokolenie jeszcze nieobecne na rynku pracy to osoby, których nie dotyczy „pułapka niechęci do pesymizmu". Jeszcze nic VLOP-om nie zawdzięczają, za to dostrzegają negatywne konsekwencje ich działania. Może dlatego coraz częściej pytają: „Jak to możliwe, że politycy dopuścili do takiej sytuacji?".

eprasa.pl fc0d95e1fd

AGATA ROMANIUK
(ur. 1978), doktorka nauk społecznych, reporterka i bajkopisarka. Absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu. Inicjatorka projektu reportersko-badawczego Światła Małego Miasta.

FELIETON // COŚ NA RZECZY

Mała troska

tekst AGATA ROMANIUK

Drobne historie o wielkich rzeczach. Felietony o ludzkich sprawach widzianych przez pryzmat przedmiotów codziennego użytku.

Więcej na **magazynpismo.pl/cos-na-rzeczy**

Mieści się w dłoni. Jego chropowata powierzchnia w kolorze czekolady, z czerwonymi przebłyskami, jest ciepła w dotyku. Niewielki, cztery centymetry na półtora, nie robi wrażenia. Jeden kąt prosty, dwa ostre. Trzy ścianki. Jego górna płaszczyzna wspina się niespiesznie. Żadnych gwałtownych ruchów. Cała moc wynika z tego, że wznosi się delikatnie. Im jest dłuższy względem swojej własnej wysokości, tym większą ma możliwość oddziaływania na świat. Nie potrzeba jednak wielkiej siły, żeby go użyć.

Znam ten przedmiot, widziałam go wiele razy. Jednak patrząc na ten konkretny, nie potrafię się domyślić, do czego służy. Wiem, że jest zrobiony z kawałka mahoniu, być może pochodzącego z gruszy afrykańskiej. To wysokie proste drzewo, które rośnie w lasach deszczowych zachodniej Afryki. Ma charakterystyczne skrętne włókno, a po ścięciu i obróbce – jedwabisty połysk. Ceni się je w produkcji mebli i statków. Ta historia mogłaby się jednak potoczyć inaczej. Kawałek, który trzymam teraz w zamkniętej dłoni, mógłby być elementem gitary, wtedy jej brzmienie byłoby ciężkie, mięsiste. Mógłby się też kłaść równą powierzchnią pokładu jachtu, po której ktoś gdzieś stąpałby mokrą stopą. Można by z niego zrobić śmigło. Mógłby trafić do zdobionej nogi stołu, poręczy schodów, oparcia krzesła. A jest klinem. Trójkątnym klinem, którego wykonanie zajmuje wprawnemu stolarzowi kilka chwil. Ani finezyjny, ani cenny. Ten konkretny powstał ze ścinków, z deski, która miała trafić na burtę starego żaglowca. Musiała mieć jakiś feler. Być może była za bardzo skręcona albo słoje miała nie takie. Dość powiedzieć, że długo leżała w hali w mieście portowym, na stercie, niepotrzebna. Aż powstał z niej klin, nie pojedynczy zresztą. Cała rzecz polega bowiem na tym, że trzeba mieć ich więcej. Czasem pracują w parach. Najlepiej więc nosić przy sobie kilka. Poza tym raz użyty klin już na zawsze zostaje na służbie. Bez szemrania bierze na siebie zadaną misję. Taka już jest natura klinów – skromne, niewidoczne, pokornie przyjmują nacisk. Nie są na pokaz, nie są paradne, nie do podziwiania. Ot, po cichu wykonują swoją robotę. Należą do klasycznych pięciu maszyn prostych, obok dźwigni, równi pochyłej, kołowrotka i bloczka. Nie cieszą się jednak wielką sławą. Na freskach w Galerii Uffizi zobaczymy Archimedesa poruszającego Ziemię za pomocą dźwigni. Na obrazach Józefa Chełmońskiego – drewniane studnie z tradycyjnym kołowrotem. Równię pochyłą uważny obserwator wypatrzy na fotografiach z wodowania statków. Męczyli nią nas także na lekcjach fizyki. A klin jest niewidoczny, bo taki ma być.

Mężczyzna, którego pokochałam, robi kliny. Nie spieszy się. Nie musi niczego odmierzać. Jego chropowate dłonie, przypominające skorupkę orzecha włoskiego, są ciepłe i pewne swego. Lata doświadczeń podpowiadają mu, jak poprowadzić cięcie. Kładzie drewniany klocek na blacie stolarskim. Rozpięta między dwoma kołowrotkami taśma bezkońcowa czyni swoją powinność, a on w milczeniu nadzoruje jej pracę. Mahoniowe kliny potrafi zrobić w minutę. Nosi je zawsze przy sobie. Wozi w plecaku, kiedy jedziemy na górzystą wyspę. Chowa do walizki, kiedy ruszamy do wietrznego San Francisco. Ma przy sobie w czeskiej gospodzie, w eleganckim hotelu, w barze mlecznym, w modnym bistro.

Ratuje nimi randki, nasze i cudze, kawy na chybotliwych stolikach, śniadania emerytów o niepewnych ruchach i nerwy przepracowanej kelnerki. Zamiast kląć pod nosem, mieć pretensje do obsługi, tracić humor, bo rozlała się herbata – wsuwa je dyskretnie pod nogi rozkołysanych stolików. Takie niby nic, a jednak wiele, bo mahoniowe kliny mojego męża są narzędziem troski. Czynią świat nieco lepszym. Nie zatrzymają globalnego ocieplenia, nie zawrócą biegu wojny, nie usuną hejtu. Służą małej trosce, tu i teraz, o kogoś, kto siedzi obok, a może jeszcze wcale nie przyszedł. Niewidoczne, a skuteczne w służbie lepszej codzienności. Myślę, że w naszym rozedrganym, niepewnym i chybotliwym świecie przydałoby się więcej takich klinów. Przydałoby się więcej małej troski. A jej narzędziem wcale nie musi być klin. Może być gest. Albo słowo.

rysunek ANNA GŁĄBICKA

eprasa.pl fc0d95e1fd

Kulturalny planer

Pismo. MAGAZYN OPINII

MATEUSZ ROESLER
wybiera najciekawsze wydarzenia kulturalne,
na które warto wybrać się niebawem.

Czytaj co miesiąc w serwisie i aplikacji.
Więcej na magazynpismo.pl/rzecz-gustu

rysunek PAWEŁ SMARDZEWSKI

ART & SCIENCE

Przybliżamy świat kultury i nauki. Dzielimy się emocjami i wiedzą.
Mecenasem kultury w „Piśmie" jest **ORLEN Art&Science**.

eprasa.pl fc0d95e1fd

BMWARTCLUB2025
PRZYSZŁOŚĆ TO SZTUKA
ZACHĘTA
CHRISTELLE OYIRI
GHOST RIDER
20.11.2025 – 1.02.2026
Dowiedz się więcej:
bmw.pl/art-club
zacheta.art.pl
Zachęta — Narodowa Galeria Sztuki
pl. Małachowskiego 3, Warszawa

partnerzy medialni
media partners

VOGUE chillizet LABE artinfo.pl K MAG TVP KULTURA ForbesWomen Forbes Newsweek onet NOIZZ

instytucja finansowana przez
institution financed by

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Zachętę wspiera
Zachęta is supported by

TOWARZYSTWO ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH

eprasa.pl fc0d95e1fd